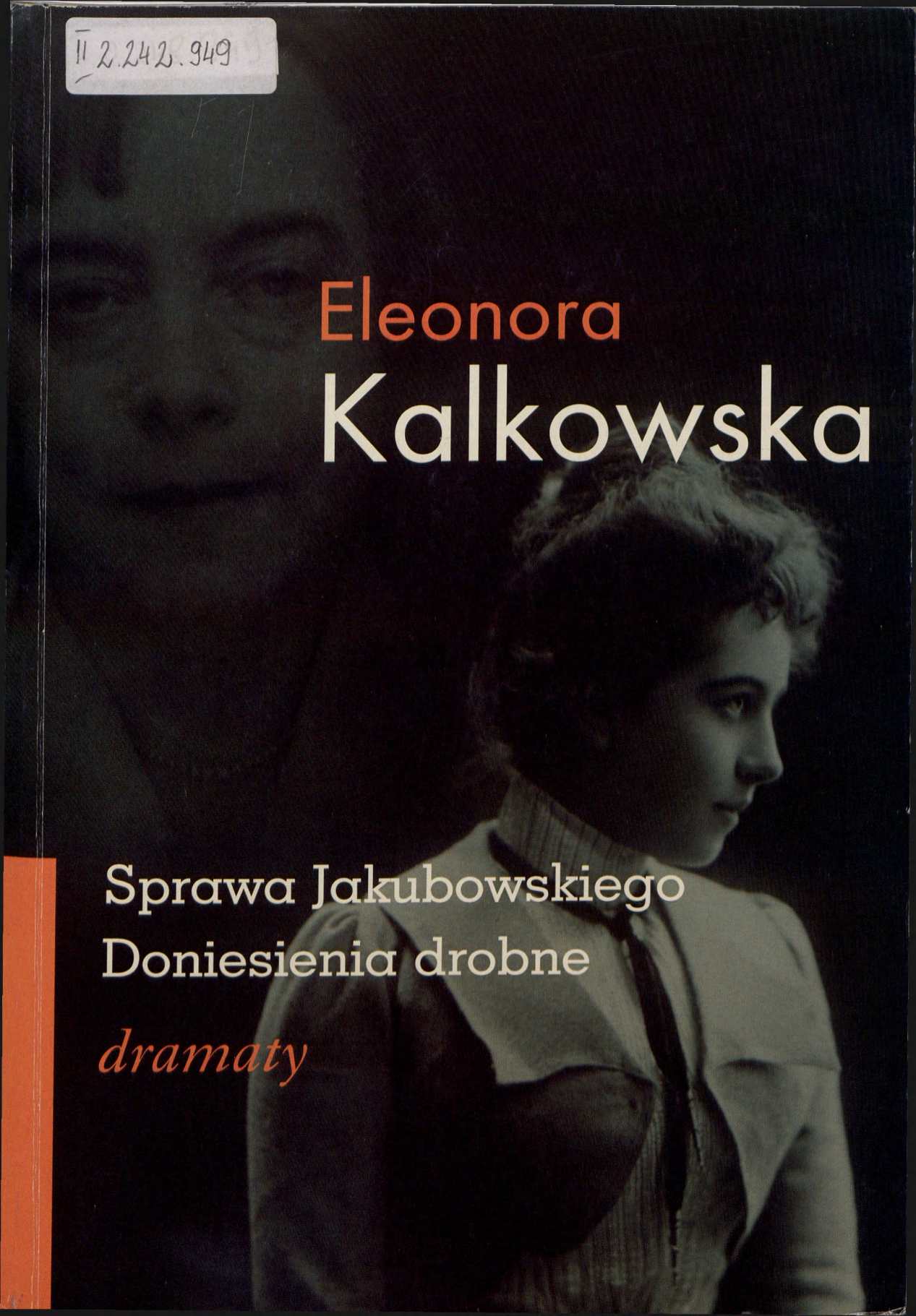
II 2.242.949



Eleonora Kalkowska

Sprawa Jakubowskiego
Doniesienia drobne

dramaty

Eleonora Kalkowska

Sprawa Jakubowskiego
Doniesienia drobne

dramaty

:nstytut+eatralny
im. Zbigniewa Raszewskiego

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001002818385



II 2.242.949

© Copyright for the Polish translation of *Sprawa Jakubowskiego* by Alina Brodzka-Wald
© Copyright for the Polish translation of *Doniesienia drobne* by Barbara Bernhardt
© Copyright by Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego, Warszawa 2005

Projekt okładki: Marek Popławski

Redakcja: Dorota Buchwald
Rekonstrukcja tekstu *Sprawa Jakubowskiego*: Monika Krawul

Autorka wstępu, tłumaczka i redaktorzy tego tomu składają serdeczne podziękowania Panu Profesorowi Tomaszowi Szarocie za wszechstronną pomoc udzieloną w trakcie pracy nad przygotowaniem dramatów Eleonory Kalkowskiej do druku. Dziękujemy również za udostępnienie zdjęć z domowego archiwum.

ISBN 83-923331-0-1

Łamanie, druk i oprawa
PPGK S.A. Drukarnia KART
Warszawa, ul. Pstrowskiego 10

2006 e 581

Jagoda Hernik Spalińska

Eleonora Kalkowska – przywracanie pamięci

Eleonora Kalkowska jest jedną z najbardziej fascynujących postaci w historii polskiego teatru – i jedną z najmniej znanych.

O przywrócenie pamięci o tej niezwykłej kobiecie i autorce ważnych dramatów upominał się w 1972 roku na łamach *Twórczości* Zbigniew Herbert. Przypomniał wtedy postać Kalkowskiej „w nadziei, że zainteresuje ona literaturoznawców i komparatystów"[1]. Podczas trzydziestu lat, jakie minęły od tamtego apelu, Kalkowska wzbudza minimalne zainteresowanie[2] i nadal nie weszła w Polsce do kanonu rozpoznawalnych nazwisk. Jednym z powodów tej nieobecności jest na pewno fakt, że nie było możliwości zapoznania się z utworami Kalkowskiej, że kilka jej wierszy ukazało się w polskim tłumaczeniu dopiero dziesięć lat temu, zaś jej dramaty po wojnie w ogóle nie były grane ani drukowane.

Tymczasem teksty Kalkowskiej należą do nurtu tak zwanej literatury postępowej, czyli wywodzącej się z tradycji lewicowej, z tego nurtu, który wcześniej wypaczany na potrzeby ideologii państw komunistycznych, dziś odzyskał rację bytu w swej prawdziwej postaci i obecnie jest jednym z najbardziej płodnych i wartościowych gatunków. Jego przedstawicielka, Elfriede Jelinek, otrzymała za swą twórczość Nagrodę Nobla w 2004 roku. Jest to o tyle symboliczne wydarzenie, że Jelinek jest Austriaczką, a u zarania zaangażowanego społecznie i politycznie dramatu stoi właśnie twórczość autorów niemieckojęzycznych jak Friedrich Wolf, Ferdinand Bruckner, Ernst Toller czy Eleonora Kalkowska.

---

[1] Zbigniew Herbert *Eleonora Kalkowska*, [w:] *Węzeł gordyjski oraz inne pisma rozproszone 1948-1998*, Biblioteka *Więzi*, Warszawa 2001, pierwodruk *Twórczość* nr 7/1972.

[2] Postacią Eleonory Kalkowskiej interesują się: Piotr Lachmann (reżyser, tłumacz i pisarz zakorzeniony w kulturze niemieckiej i polskiej) i Jan Zieliński (wykładowca literatury polskiej na Uniwersytecie w Bernie), którzy mówili o swej fascynacji tą postacią w programie Bożeny Markowskiej (*Pokochać później*, emisja w II programie Polskiego Radia 5 czerwca 2005). Obaj planują dłuższe publikacje poświęcone tej autorce. Większą pracę o Kalkowskiej chciał napisać też Jan Koprowski, który poświęcił jej felieton w 1978 na łamach *Argumentów* (Jan Koprowski, *Gawędy miesięczne*, *Argumenty* nr 53/1978). Na temat Eleonory Kalkowskiej i jej sztuki *Josef* patrz też. Jagoda Hernik Spalińska *Sprawa Jakubowskiego*, *Dialog* nr 2/2005.

Zeittheater

Lata dwudzieste i trzydzieste XX stulecia są ważne w teatrze europejskim przede wszystkim z powodu narodzin kierunku zwanego „Zeittheater". Twórca tego nurtu, Niemiec Erwin Piscator, stworzył w latach dwudziestych teatr, który odpowiadał na niespokojną społecznie atmosferę epoki. Czasy, gdy robotnicy zaczynali dochodzić do głosu, gdy filozofia społeczna Marksa i Engelsa wybuchała kolejnymi przemianami społecznymi, zarówno na wschodzie jak i na zachodzie Europy, potrzebowały nowej formy teatru. I tę właśnie – adekwatną do swych czasów formę – zaproponował niemiecki reżyser, rozpoczynając nurt przedstawień odchodzących od literatury jako tworzywa, a opierających się na reportażowym odwzorowaniu rzeczywistości. Nie chodziło jednak o to, by pokazać rzeczywistość tak, jak to robił Konstanty Stanisławski w Rosji – czyli oddać życie w jego najbardziej realistycznej postaci – lecz by w teatrze, który dotąd pełnił rolę rozrywkową, a w najlepszym razie był miejscem refleksji – ukazać publiczności bolesny obraz świata i nierozwiązane problemy socjalne. „Zeittheater" chciał pokazać swój czas. Czas rozwarstwienia społecznego, nędzy ludzi „drugiej kategorii", dla których państwo nie miało żadnej propozycji poza wycieńczającą pracą, opresyjnymi rozporządzeniami i tendencyjnym sądownictwem. Utwory te, oparte zwykle na prawdziwych historiach, w stylu inspirowanym gazetowym reportażem, przedstawiały indywidualne historie skrzywdzonych ludzi.

Teatr społecznego niepokoju, jak możemy to dziś nazwać, zajmował istotne miejsce w pejzażu teatralnym Niemiec. Był jednak bezpośrednio kojarzony z partią komunistyczną, której członkiem był Erwin Piscator.

W Polsce – gdzie kryzys społeczny nie ustępował swymi rozmiarami innym państwom europejskim – ten nurt także się pojawił i miał swoich wybitnych przedstawicieli. Na ich czele stał Leon Schiller – reżyser o skali światowej, wizjoner, którego koncepcje są ważne i inspirujące do dziś. Jednym z trzech typów teatru przez niego uprawianego był właśnie teatr społecznie zaangażowany, któremu towarzyszyło tak zwane „komunizowanie". W 1932 Schiller reżyserował we Lwowie sztukę z tego nurtu, *Krzyczcie Chiny* Siergieja Trietiakowa, i podpisał w tym czasie ulotkę komunistyczną. W wyniku tego trafił do aresztu i choć został wypuszczony jeszcze tego samego dnia, to jednak owo doświadczenie, zwane „borbą lwowską", było zarówno dla niego, jak i dla innych osób ewentualnie zainteresowanych włączeniem się w podobny nurt, dające do myślenia.

Przedstawienia tego twórcy posiadały jednak walory wynikające nie tylko z ich przesłania społecznego – były także pokazami sztuki reżyserii najwyższej próby. Mimo jednak, iż Schiller dwukrotnie uzyskiwał dyrekcje lub współdyrekcje teatrów, nie zdecydował się na stworzenie sceny jednego oblicza. Sztuki z nurtu „Zeittheater" pojawiały się na scenie kierowanego przez niego Teatru im. Bogusławskiego w Warszawie, lecz towarzyszły im przedstawienia z nurtu monumentalnego czy ludowego. Nie był więc teatr Schillera odpo-

wiednikiem Volksbühne Piscatora. Nie stworzył takiej sceny również Karol Adwentowicz, który uzyskawszy dyrekcję w Łodzi (1929/30) też próbował uprawiać teatr polityczny i powierzył współdyrekcję Schillerowi. Przetrwali jeden sezon, a w swym teatrze warszawskim Adwentowicz już nie próbował budować tak zdecydowanego wizerunku. Sceną robotniczą był nazywany teatr Stefana Jaracza, założony w warszawskim Domu Kolejarza. Sam Jaracz, mając robotniczo-chłopskie pochodzenie, ponadprzeciętną inteligencję i talent aktorski, był niejako predystynowany do zajęcia się tego typu teatrem. Mimo jednak umiejętności odtwarzania na scenie wyrazistego typu skrzywdzonego przez los człowieka, nie miał tak wyrazistej potrzeby stworzenia sceny robotniczej. Zastępowała go w tym poniekąd Stanisława Perzanowska reżyserująca w teatrze, którym kierował. Jej silna, w dużym stopniu bezkompromisowa osobowość, wywarła wpływ na oblicze sceny w Domu Kolejarza, lecz nie był to nadal „teatr ludu", który udało się stworzyć w Berlinie Piscatorowi.

Aspiracją otwarcia sceny w duchu piscatorowskim kierowała się Maria Strońska – zapomniana dyrektorka Teatru „Ateneum" – owej sceny Jaracza, która zrosła się z nazwiskiem wybitnego aktora, lecz założona została wcześniej i pod dyrekcją Strońskiej działała właśnie z tym prorobotniczym przesłaniem, które Jaracz niejako tylko kontynuował. Strońska w manifeście zamieszczonym w programie do inauguracyjnego przedstawienia pisała: „będziemy grali te utwory sceniczne, które stanowią artystyczny wyraz rzeczywistości dzisiejszej". Teatr definiowała jako miejsce, gdzie „przepływa tak wezbrana dziś fala idei społecznych". Chciała sceny „bez szyldu politycznego, lecz z wyraźnym obliczem społecznym". Teatru, który „zgłasza swój protest przeciwko wszystkiemu, co obraża sumienie" i „będzie wołał o sprawiedliwość i wolność"[3]. To nieomal definicja tego, co nazywamy „Zeittheater".

Maria Strońska szukała dla inauguracji swojej sceny sztuki, która by była spełnieniem tego manifestu. Naturalną koleją rzeczy sięgnęła po utwór wystawiony już w teatrze Piscatora. Atrakcyjność pozycji wzmagał fakt, że bohaterem opowieści był polski robotnik rolny, a napisała utwór autorka o polskobrzmiącym nazwisku – Eleonora Kalkowska. Strońska nie mogła trafić lepiej. Idee, które wyłożyła w swym manifeście, to wartości, którym autorka *Josefa* hołdowała całe życie.

Kartki z biografii

Nazwisko Kalkowskiej było dla widza teatralnego w Polsce Anno Domini 1929 całkowicie obce. Jak doszło do tego, że ta autorka zdołała zadebiutować jako dramatopisarka na scenie berlińskiej – i to na bardzo dobrej scenie?

---

[3] *Do naszej Publiczności*, program *Sprawy Jakubowskiego*, Teatr Ateneum, Warszawa wrzesień 1929. Zbiory Działu Dokumentacji Teatru IS PAN, Warszawa.

Eleonora Kalkowska była kilkujęzyczna[4]. Urodziła się 22 czerwca 1883 w rodzinie polsko-niemieckiej. Jej ojciec, Emil Kalkowski, pochodził z Poznańskiego i był architektem. Ożenił się z Marią z von Spitzbarthów – ze szlachty kurlandzkiej. Matka Marii – z domu Stegemann – pochodziła z baronów von Hünefeld. Z tej samej rodziny wywodzili się wybitni przedstawiciele innych dziedzin, jak lotnik Günther von Hünefeld, który w 1928 przeleciał po raz pierwszy Atlantyk ze wschodu na zachód i Felicitas von Westphali – znana aktorka, występująca również w Ameryce i odnosząca sukcesy w repertuarze szekspirowskim. W bliższej rodzinie Kalkowskiej – polskiej gałęzi Spitzbarthów – również znalazł się przedstawiciel artystycznego zawodu, bratem ciotecznym Kalkowskiej był Karol Benda[5], aktor i reżyser.



Eleonora Kalkowska, około 1900 roku.

Eleonora Kalkowska straciła ojca, mając zaledwie pół roku, i siłą rzeczy większy wpływ na jej dalsze losy miała po części niemiecka rodzina jej matki. Około roku 1895 wraz z matką, babką i starszym bratem Romanem opuszcza Warszawę. Rodzina na krótko zamieszkuje w Breslau (Wrocław), lecz już około 1897 Kalkowska jest w Petersburgu i uczy się w niemieckiej Anneschule. Inteligentna i wrażliwa nie ma kłopotów z nauką. Celująco zdaje maturę i planuje studia filozoficzne w Berlinie. W tym czasie rektorem uniwersytetu berlińskiego jest Adolf von Harnack. Uczony ten teolog jest przeciwny studiom kobiet i nie uznaje matury z Anneschule. W 1901 wyjeżdża więc Kalkowska do Paryża i tam studiuje nauki przyrodnicze na bardziej liberalnej niż niemiecka uczelnia, francuskiej Sorbonie. W tym okresie poznaje zbiegłego więźnia Cytadeli Warszawskiej, działacza PPS Marcelego Szarotę i wychodzi za niego za mąż. Po okresie mieszkania w Paryżu i w Krakowie Kalkowska z matką, mężem

---

[4] Biogram Eleonory Kalkowskiej dla *Polskiego Słownika Biograficznego* sporządził Stanisław Sierotwiński (PSB tom XI/4, z. 51, s. 482-4, Wrocław-Warszawa-Kraków 1965). Jest on również autorem dłuższego studium *Eleonora Kalkowska (1883-1937). Przyczynek do kultury polskiej na obczyźnie, Przegląd Humanistyczny* z. 2/1968. Sierotwiński, upartą i żmudną dwuletnią kwerendą, opartą na zaledwie dwóch notatkach prasowych dotyczących śmierci Kalkowskiej, odtworzył życiorys pisarki i położył w ten sposób podwaliny pod późniejszą recepcję jej twórczości. Oprócz tego po polsku ukazały się wspomnienia jej córki Elidy Marii Szaroty i tekst Krzysztofa Bartosa *Eleonore Kalkowska: „Josef" und „Zeitungsnotizen". Ein Beitrag zur Geschichte des Zeittheaters in der Weimarer Republik*, zamieszczony w księdze pamiątkowej dla Elidy M. Szaroty (*Theatrum Europaeum*, München 1982). Ostatnio Bogusław Drewniak poświęcił tej autorce rozdział w swej książce *Polsko-niemieckie zbliżenia w kręgu kultury 1919-1939. Studia-Szkice-Sylwetki*, Gdańsk 2005.

[5] Karol Benda, właściwie von Spitzbarth, był – podobnie jak jego siostra cioteczna Eleonora – człowiekiem wielu kultur i swe życie artystyczne spędzał m.in. na scenach Krakowa, Wiednia i Paryża. Osiadł na koniec w Warszawie. Podczas II wojny światowej nie podporządkował się uchwale ZASP zabraniającej polskim artystom występów w teatrach jawnych i grał na scenie teatru Komedia, na której też, w trakcie przedstawienia, zmarł 25 VIII 1942 roku.

i dziećmi – synem Ralfem i córką Elidą – przenoszą się do Breslau, następnie do Goerlitz. Kalkowska ma już za sobą debiut poetycki i wydanie opowiadań po polsku[6].

Wydaje się jednak, że jej zainteresowanie skupia się głównie na teatrze, bo w okresie wrocławskim zarówno gra na scenie[7], jak i rozpoczyna studia aktorskie w Berlinie w szkole Maxa Reinhardta. Pisze też swój pierwszy dramat, *März*[8], którego akcja rozgrywa się w Berlinie podczas Wiosny Ludów (1848).

Lecz to nie ten „berliński" dramat, lecz następny utwór Kalkowskiej, *Josef*, wzbudza zainteresowanie Erwina Piscatora, mimo iż dotyczył pozornie odległej od niemieckiej stolicy tematyki. *Josef* bowiem trafił dokładnie w puls swoich czasów, był idealnym wręcz przykładem „Zeittheater". Po pierwsze oparty był na prawdziwej historii. Po drugie jego wymowa była interwencyjna. Po trzecie – mówił coś ważnego o społeczeństwie pierwszej połowy XX wieku, o ksenofobii, niechęci do obcych. W Republice Weimarskiej narastają w tym czasie bowiem nastroje antypolskie. O ich skali można się przekonać, wertując zbiór karykatur antypolskich z tego okresu. Można tam zobaczyć na przykład polskiego żołnierza z wszą zamiast orła na czapce[9]. Już od końca XIX wieku w niemieckim poczytnym piśmie *Gartenlaube* propagowano wizerunek Polaka-Słowianina, który wzbudzał niechęć i podejrzliwość: „Na rynku polskiego Wartenburga elementy słowiańskie wszędzie – rzetelne niemieckie rysy twarzy wyparte zostały przez przebiegłe, bezczelne lub uniżone fizjonomie rasy słowiańskiej, której cechy szczególne, jak szeroki podbródek i kości policzkowe, wąskie, przymrużone, prawie skośne oczy, skąpe brody i długie strąkowate włosy, znaleźć można prawie u każdej z otaczających nas, czasem bardzo podejrzanych postaci"[10]. Szczególnie jednak zła atmosfera otaczała po I wojnie światowej w Republice Weimarskiej polskich robotników rolnych. Postrzegano ich jako konkurentów dla niemieckiego, ubogiego wieśniaka,



[6] Kalkowska debiutowała w 1904 zbiorem opowiadań *Głód życia* (wyd. w Krakowie) napisanych po polsku, następnie wydała w 1912 tomik wierszy pisanych po niemiecku *Die Oktave* (Oktawa), w 1916 kolejny zbiór wierszy *Der Rauch des Opfers. Ein Franenbuch zum Kriege* (Dym ofiary). Około 1918 dokonała też przekładu *Kordiana* Słowackiego na niemiecki. W 1964 został on opublikowany w *Mickiewicz Blätter.*

[7] Kalkowska grała w Zjednoczonych Teatrach Wrocławskich.

[8] Dramat *März* (Marzec) został wydany w 1928 u Heitza w Strasburgu.

[9] Zob. Tomasz Szarota *Gdańsk w karykaturze niemieckiej (1919-1939), Mazowieckie Studia Humanistyczne nr 2*/1999 oraz katalog do wystawy w Muzeum Karykatury *Niemcy i Polacy – od obrazu wroga ku pojednaniu. Satyryczne vis-à-vis*, wystawa, listopad 1991 – styczeń 1992.

[10] Cyt. za: Angela Koch *...niczym ujarzmiona tygrysica. O analogii między Polską a kobiecością w «Gartenlaube»*, *Katedra* nr 4/2001. Cytaty pochodzą z tekstu Cronaua w *Gartenlaube* z roku 1879.

który szuka zatrudnienia u bogatego gospodarza. Stereotyp chłopa-Polaka został jednak ukształtowany wcześniej i w okresie, gdy na niemieckich ziemiach pojawiło się wielu byłych polskich jeńców wojennych, obraz polskiego chłopa szkicowany przez *Gartenlaube* był już silnie zakorzeniony w niemieckiej świadomości: „poza skłonnością do pijaństwa bez umiaru lenistwo w pracach gospodarczych i pewna fatalistyczna otępiałość niszczą polskiego chłopa. Wykształcenie i oświatę z uporem odrzuca, tym bardziej podatny jest więc na niesamowitą moc przesądu"[11].

Zdając sobie sprawę z tego problemu, Kalkowska w 1924 bierze w Niemczech udział w konferencji poświęconej podręcznikom szkolnym[12]. Swoje wystąpienie poświęca kwestii przełamania stereotypu postrzegania przez Niemców Polaka i polskiej kultury. Przede wszystkim jednak pisze *Josefa.*

Josef czyli *Sprawa Jakubowskiego*

Józef Jakubowski, tytułowy bohater dramatu Kalkowskiej, był postacią autentyczną. Jego los pisarka poznała z gazet. Pochodził z polskiej wsi i przybył na teren Niemiec podczas I wojny światowej jako wzięty do niewoli poddany rosyjski. Znalazł zatrudnienie we wsi Palingen (Maklenburgia, w okolicach Lubeki) jako robotnik rolny i pozostał tam po wojnie. Wydaje się, że na decyzję Jakubowskiego o pozostaniu pod Lubeką wpłynęło bezrobocie w Polsce oraz emocjonalny związek z kobietą, Niemką[13]. Słabo znający język niemiecki, prawdopodobnie wyobcowany w środowisku zamożnych niemieckich chłopów, Jakubowski związał się z dziewczyną z patologicznej rodziny, której nie przeszkadzał jego bardzo niski status społeczny. Miała ona wcześniej syna Ewalda, dziecko pochodzące prawdopodobnie z aktu kazirodczego. Dziewczyna ta zmarła wkrótce po urodzeniu drugiego dziecka, córki, którą miała z Jakubowskim. On sam, po śmierci matki, zajmował się obojgiem dzieci. Mord dokonany na trzyletnim Ewaldzie stał się powodem oskarżenia i skazania Jakubowskiego na ścięcie w 1928.

Kalkowska swym dramatem, napisanym tuż po wykonaniu wyroku, przyłączyła się do grupy osób, które żądały procesu rewizyjnego. Na czele tej grupy stali przedstawiciele Ligi Obrony Praw Człowieka z Henrykiem Mannem, Albertem Einsteinem i Stefanem Zweigiem na czele. Pomyłki czy zbrodnie sądowe, których ofiarami padali ludzie biedni lub ubodzy cudzoziemcy, były

---

[11] Ibidem.

[12] Por. Eleonora Kalkowska *Polen und Deutschland* (*Randglossen zur Psychologie beider Völker*), [w:] *Die ewige Rewolution*, wyd. Siegfried Kawerau, Berlin 1925, s. 242-245

[13] Takie powody pozostania Jakubowskiego w Niemczech pojawiają się w książce Theo Harycha opowiadającej jego historię (Theo Harych *Morderstwo bez kary. Sprawa Jakubowskiego*, Katowice 1965, tłum. Irena T. Sławińska. Tytuł oryginału *Im Namen des Volkes. Der Fall Jakubowski*, Berlin 1958). Harych (1903-1958) był robotnikiem rolnym urodzonym w Wielkopolsce. Po okresie pracy w majątkach niemieckich junkrów zadebiutował jako literat (w 1950). W swych utworach krytykował wyzysk klasowy, głównie na wsi.

w tym okresie częste zarówno w Europie, jak i w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Słynny był w tym czasie proces amerykański (trwał od 1920 do 1927), w którym zostali skazani na śmierć na krześle elektrycznym dwaj anarchiści, emigranci z Włoch, Bartolomeo Vanzetti i Nicola Sacco, sądzeni za rozbój, którego prawdopodobnie nie dokonali. Oni staną się bohaterami sztuki, napisanej przez niemieckiego autora Bernarda Blume'a, utrzymanej w reportażowym stylu. Prapremiera sztuki Blume'a odbyła się prawdopodobnie w Nowym Jorku, zaś dramat Kalkowskiej wziął na swoją Volksbühne w Berlinie Erwin Piscator. Premiera odbyła się w kwietniu 1929, w reżyserii Alfreda Trostlera, ze scenografią Ernsta Karchowa. Recenzje podkreślały, że Kalkowska „wystąpiła w obronie dobrej sprawy", utwór „świadczy o czujnym sumieniu autorki", która ma „piękne serce". Podobała się też sama sztuka: „pełna życia, tętni odwagą, przenika rzeczywistość, świadczy o prawdziwym talencie", „całość ułożona bardzo zręcznie. Postać Józefa oddana z niezwykłą plastyką, inne postacie – psychologicznie wierne", „ma wielkie napięcie dramatyczne", „reportaż poetycki najlepszego gatunku". I na koniec jeszcze jeden głos: „Dobry Józef z jednej strony i złośliwe robactwo ludzkie z drugiej. Męczennik i mordercza zgraja. Naiwność i okrucieństwo, wiara w ludzi i nikczemność sadystów. Eleonora Kalkowska ukazała ten kontrast w sposób niezwykle plastyczny. To talent"[14]. Gazety wspomniały też o incydencie, który towarzyszył premierze. Otóż Piscator musiał już wtedy zapewne przeczuwać, że jego teatr będzie miał kłopoty i być może dlatego ocenzurował tekst Kalkowskiej. Zamiast zakończyć przedstawienie wykonaniem wyroku na Jakubowskim i końcowym okrzykiem strażnika: „Zabiliście niewinnego człowieka!", akcja została ucięta w momencie, gdy Jakubowski idzie na śmierć, a duchowny pomaga mu oddać duszę pod opiekę Jezusa. Taki koniec wstrząsnął obecną na premierze autorką, która wbiegła na scenę, by zaprotestować przeciwko wypaczeniu jej idei i przesłania. Lektura następnych sztuk Kalkowskiej przekonuje, że zakończenie, jakie *Josef* otrzymał w Volksbühne było dla tej bezkompromisowo do świata nastawionej autorki nie do przyjęcia. Kalkowska chciała, by bezpośrednie oskarżenie zabrzmiało głośno ze sceny, by padły słowa nie pozostawiające wątpliwości co do charakteru zbrodni sądowej, która się odbyła za przyzwoleniem zarówno władz, jak i zwykłych obywateli. Ludzi takich jak widzowie, którzy przyszli do teatru i którzy na co dzień nie protestowali przeciw podobnym do Jakubowskiego przypadkom.

Protest Kalkowskiej odniósł taki skutek, że Piscator chciał dograć końcówkę, lecz w tym czasie zasłabł główny aktor i już nic nie dało się zrobić, ale gazety odnotowały tę premierę również z powodu tego małego skandalu, choć na pewno nie taka była intencja Kalkowskiej.[15]

---

[14] Cytaty z: *Berliner Tageblatt*, *Die Welt am Montag*, *Vossische Zeitung*, *B. Z. am Mittag*, *Frankfurter Zeitung*, *Leipziger Volkszeitung*, *Neue Freie Presse*. Cyt. za *Prasa niemiecka o sztuce Eleonory Kalkowskiej* w programie do *Sprawy Jakubowskiego* w Teatrze Ateneum w Warszwie, 1929.

[15] Z Volksbühne, gdzie *Josef* był jakiś czas grany na przedstawieniach przedpołudniowych, sztuka przeszła do Lessingtheater, bezpośrednio powiązanego z niemiecką partią komunistyczną.

Może dzięki aferze z zakończeniem wiadomość o utworze Kalkowskiej dotarła dość szybko do Warszawy i Maria Strońska, która szykowała się do otwarcia sceny robotniczej „Ateneum", zdecydowała się zainaugurować jej działalność właśnie historią o niewinnie skazanym w Niemczech polskim robotniku rolnym. W tym czasie jeszcze toczył się proces rewizyjny[16] i sprawa Jakubowskiego stała się w Republice Weimarskiej na tyle głośna, że nawet w znanym piśmie satyrycznym *Simplicissimus* ukazał się rysunek przedstawiający Jakubowskiego, który pokazuje obciętą głowę swoim oprawcom.



Janusz Strachocki w roli Jakubowskiego. Teatr Ateneum, Warszawa 1929

Premiera *Sprawy Jakubowskiego*, w tłumaczeniu Józefa Brodzkiego i w reżyserii współpracownika Leona Schillera, Janusza Strachockiego (który też zagrał rolę tytułową), odbyła się 13 IX 1929.

Sztuka Kalkowskiej w Niemczech była interwencją w sprawie obcokrajowców traktowanych jako ludzie „drugiej kategorii". Tymczasem w Polsce tekst *Josefa* zabrzmiał zupełnie inaczej, antyniemiecko, właśnie nacjonalistycznie – z polskich pozycji. Jak napisał Antoni Słonimski, sztuka ta zostawia wrażenie, że Niemcy „to kazirodcy, mordercy i zdrajcy"[17]. Podobnie Tadeusz Boy-Żeleński: „sztuka idzie głębiej niż sama – choćby tak okrutna – omyłka sądowa. Uderza ona zarazem w najczulszy punkt niemieckości: w kwestię tzw. kultury, wyższości kulturalnej i głębokich nieporozumień, jakie mogą tkwić w tym pojęciu. Z jednej strony cywilizacja czysto materialna, pod którą gnieździ sie dzikość i zbrodnia; z drugiej ewangeliczna dobroć brana za głupotę i padająca ofiarą własnej naiwnej szlachetności"[18]. Sztuka uzyskała więc w polskim tłumaczeniu wymowę antyniemiecką – zamierzenie czy nie – tymczasem przecież, jak na pewno słusznie zauważał Słonimski „zbrodnia nikczemnych sądów wstrząsnęła Niemcy [...] Obok skrajnych szowinistów są tam liczni ludzie walczący o sprawiedliwość i braterstwo. [Dlatego] możliwe było w sercu Niemiec, w Berlinie, wystawienie tej tragedii policzkującej niemiecki nacjonalizm"[19].

---

[16] O kolejnych procesach wyjaśniających okoliczności śmierci małego Ewalda Nogensa patrz: Józef Jan Bossowski *Materiały do sprawy Józefa Jakubowskiego*, *Przegląd Socjologiczny* 1934, t.2. W wyniku procesów rewizyjnych Jakubowski wprawdzie nie został nigdy ostatecznie oczyszczony z zarzutu zabójstwa, lecz ograniczono jego rolę do tzw. współdziałania. Głównym winnym śmierci Ewalda uznano jednego z braci matki dziecka, jak również obciążono winą współudziału babcię dziecka. Osoby te jednak nie poniosły, koniec końców, odpowiedzialności karnej. Dramatycznie zaś potoczyły się losy osób, które występowały na rzecz Jakubowskiego w procesach rewizyjnych i prokuratora oskarżającego rodzinę Nogensów. Mieli oni problemy po dojściu Hitlera do władzy.

[17] Antoni Słonimski *Inauguracja Ateneum*, *Wiadomości Literackie* nr 38/1929.

[18] Tadeusz Boy-Żeleński *Kalkowska: „Sprawa Jakubowskiego"*, [w:] *Flirt z Melpomeną. Wieczór dziewiąty i dziesiąty*, [w:] Pisma, t. 23, Warszawa 1965, s.101-107, tu s.103.

[19] Antoni Słonimski, op.cit.

Dwuznaczna wymowa sztuki w polskiej realizacji, wypominana przez krytykę, nie zniechęcała publiczności i inauguracja była sukcesem nowej dyrekcji.

Przy całym powodzeniu, jakie sztuka osiągnęła, niedosyt musiała pozostawiać strona techniczna przedsięwzięcia. Zmiany dekoracji, przejścia od sceny do sceny, odbywały się za długo i stały w jawnym konflikcie z główną ideą tego typu dramaturgii, czyli naśladowaniem reportażu. Michał Weichert, wystawiając w roku 1933 w Teatrze im. Żeromskiego w Warszawie *Boston* – sztukę opartą na utworze o Sacco i Vanzettim, może mądrzejszy już o premierę *Sprawy Jakubowskiego,* problem szybkich zman akcji rozwiązał umieszczając aktorów w kilku miejscach akcji i oświetlając światłem punktowym potrzebną do granej sceny przestrzeń. Grał jednak w specjalnie zakomponowanym do tego celu wnętrzu[20]. Tradycyjna scena Teatru Ateneum nie dawała takich możliwości[21].

Premiera *Sprawy Jakubowskiego* miała szansę w pełni się powieść na scenie obrotowej, jaką dysponował w Warszawie tylko Teatr Polski. Lecz w tym teatrze pojawienie się sztuki Kalkowskiej było raczej niemożliwe. Twórca, budowniczy i dyrektor tej sceny, Arnold Szyfman, dbał o zupełnie inną widownię niż ta, do której zwracała się w swoim manifeście Maria Strońska. Najnowocześniejszy teatr w Warszawie grał dla elity, zarówno tej finansowej, jak i intelektualnej. Tymczasem te kręgi od dramaturgii, jaką tworzyła Kalkowska, oddzielały się „trzaśnięciem drzwiami". Na scenie Polskiego oglądano zwykle dzieje trójkątów małżeńskich pióra autorów typu Stefana Kiedrzyńskiego, w najlepszym razie prezentowano jakiś utwór z teki wieszczów. Utwór Kalkowskiej żadną miarą nie mieścił się w profilu takiego teatru. Po pierwsze: była to literatura w swej wymowie interwencyjna, lewicowa, a tego nie lubili w Polsce nawet inni lewicowi autorzy w rodzaju Karola Irzykowskiego, który o Kalkowskiej wypowiadał się wręcz z pogardą, pisząc w swym dzienniku: „należała do tego typu literackiego, nieznośnego dla mnie, który szantażował sprawiedliwością społeczną"[22]. Kalkowska więc swym utworem naraziła się naraz dwóm silnym w Polsce grupom. Z jednej strony lewicowy charakter tekstu zniechęcał „zozonizowaną" część elit. Z drugiej propolski i antyniemiecki wyraz odstręczał „postępowców".

Po drugie: Kalkowska napisała swój dramat po niemiecku i jej pochodzenie było też skażone związkami z niedawnym wrogiem Polski. Lepiej było trzymać się od niej, na wszelki wypadek, z daleka. Po trzecie – była kobietą. Dramaturgia kobieca[23] przeżywała w tym czasie w Polsce swój bardzo bogaty rozwój, który przyjmowany był przez większość krytyki teatralnej i lite-

---

[20] Projekt Szymona Syrkusa.

[21] *Sprawa Jakubowskiego* (pod tytułem *Jakubowski)* była brana pod uwagę do wystawienia przez Teatr Miejski we Lwowie, lecz prawdopodobnie do realizacji nie doszło.

[22] Karol Irzykowski *Notatki z życia, obserwacje i motywy*, Warszawa 1964, s. 396.

[23] Na ten temat zob. Jagoda Hernik Spalińska *Rodzaju żeńskiego*, *Dialog* nr 3/1996.

rackiej w najlepszym razie z protekcjonalnym uśmiechem, w najgorszym – z wyzwiskami. Model patriarchalny kazał, by kobieta albo wcale nie działała na polu sztuki oryginalnej, albo by przestrzegała w niej kanonu sztuki kobiecej – lekkiej, łatwej i przyjemnej. Kobieta poruszająca trudne społecznie, drażliwe obyczajowo tematy, w zasadzie sama skazywała się tym aktem na opinię osoby zepsutej.

Tymczasem mężczyźni, którym nie odmiawiano prawa do „naprawy świata", wcale z tego przywileju korzystać nie mieli zamiaru i w okresie międzywojennym nie wychodzi spod pióra męskiego ani jedna sztuka interwencyjna. „Zeittheater" w dziedzinie dramaturgii tworzony jest w Polsce wyłącznie przez kobiety. Mężczyźni jednak reżyserują utwory z tego nurtu, jak wspomniani już Leon Schiller , Karol Adwentowicz i Janusz Strachocki. Z kobiet zaś Zofia Modrzewska (prywatnie przez jakiś czas żona Schillera).

Na dodatek repertuar zaangażowany kojarzono z działalnością teatrów mniejszości narodowych, głównie żydowskiej, ponieważ najwybitniejszym zjawiskiem tego rodzaju była w okresie międzywojennym trupa „Jung Teater", kierowana przez Michała Weicherta[24]. Ich spektakl, *Boston*[25], według sztuki Blume'a o Sacco i Vanzettim, to odtworzenie procesu, wystawione tak ciekawie i nowocześnie, że realizacja wyszła poza obieg teatrów mniejszościowych, ale tylko w wersji wystawionej przez Teatr im. Żeromskiego Ireny Solskiej, będącej powtórzeniem, po polsku, premiery w jidisz.

Scena Ateneum pod kierownictwem Strońskiej, po inauguracji sztuką Kalkowskiej, nadal daje premiery sztuk z nurtu „Zeitheater", jak na przykład *Hinkemanna* Ernsta Tollera – drastyczny obyczajowo dramat o wymowie antywojennej, czy komedię Rolanda Betscha *Władza się nie myli!*, która jest niezwykle zabawną satyrą na bezmyślność i bezduszność pruskiej, ale też każdej innej, władzy. Dyrekcja Strońskiej upada jednak już po roku, z powodu trudności finansowych. W 1930 Eleonora Kalkowska zwraca się do Stefana Jaracza, który po Strońskiej przejął Ateneum i deklarował swe zainteresowanie dla problemów ludzi pokrzywdzonych, z listowną prośbą o wystawienie jej kolejnego dramatu. Sądząc po dacie odpowiedzi Jaracza[26], Kalkowska proponowała wystawienie sztuki *Sein oder Nichtsein,* która w 1931 dostała nominację do nagrody Kleista. Jest to znów, jak poprzednio przy *Josefie*, bezkompromisowe rozliczenie z aktualną rzeczywistością, analiza spustoszenia psychicznego i moralnego, jakie przyniosła I wojna światowa. Nagrodę Kleista ostatecznie dostał wtedy Friedrich

---

[24] O „Jung Teater" zob. Elinor Rubel *Teatr Młodych (Jung Teater). Materiały,* przeł. Józef Weichert, *Pamiętnik Teatralny* z. 1-4/1992; Michał Weichert *Studio Teatralne i Jung Teater. Fragment wspomnień,* przeł. Tomasz Kuberczyk, *Pamiętnik Teatralny* z. 1-4/1992; *Jung Teater w Wilnie. Materiały do dziejów teatru żydowskiego w Wilnie (1935-1939),* opr. Rafał Węgrzyniak, *Pamiętnik Teatralny* z. 3-4/1994; Mirosława Bułat *Jung Teater i Naj Teater w Krakowie, Pamiętnik Teatralny* z. 3-4/1996.

[25] Oryginalny tytuł sztuki Blume'a brzmiał *Im Namen des Volkes.* Zmieniony został przez niemiecką cenzurę na *Sacco i Vanzetti.*

[26] List Stefana Jaracza do Eleonory Kalkowskiej z 13 XII 1930. Oryginał w archiwum domowym Tomasza Szaroty.

Wolf[27] i nie bez powodu wspominamy tu o tym, bo nazwisko tego twórcy z jego najsłynniejszą sztuką *Cjankali* należy do podstawowego zestawu najwybitniejszych autorów z nurtu „Zeittheater". Towarzystwo Wolfa, w którym znalazła się Kalkowska, jeszcze raz pokazuje nie tylko rodzaj komunikatu, jaki próbowała przekazać, ale i wartość czysto artystyczną tworzonej przez nią dramaturgii. Jednak te właśnie skojarzenia, atmosfera otaczająca dramaturgię interwencyjną kojarzoną z wpływami komunistycznymi, niemieckimi i żydowskimi, zaszkodziły recepcji Kalkowskiej w Polsce. Jaracz odpisuje jej w bardzo miłym tonie, lecz kieruje Kalkowską do... Szyfmana. Jaracz – sam w wieloletnim konflikcie ideowym z twórcą TKKT[28] – musiał wiedzieć, jak absurdalna to rada.

Zeitungsnotizen czyli *Doniesienia drobne*

Tymczasem Kalkowska, mimo braku zainteresowania ze strony polskiej sceny, pisze dalej – jak zawsze z myślą o pokrzywdzonych. Pokrzywdzonych jednostkach – jak Jakubowski, pokrzywdzonych pokoleniach – jak ludzie dotknięci wojną, lub pokrzywdzonych grupach społecznych. Tego właśnie dotyczyła jej kolejna sztuka, której premiera w Berlinie w 1932 zdecydowała o dalszych losach pisarki.

Zeitungsnotizen czyli *Doniesienia drobne* to utwór powstały w oparciu o notatki prasowe dotyczące samobójstw, które popełniali ludzie bezrobotni w dotkniętej zapaścią gospodarczą Republice Weimarskiej. Dramat został wystawiony (1932) w Schillertheater w Berlinie i ta premiera była największym sukcesem scenicznym Kalkowskiej. Publiczności podobała się zarówno inscenizacja, jak i sam tekst dramatu. Wśród osób pochlebnie wyrażających się o sztuce znalazł się Henryk Mann, który w *Berliner Tageblatt* napisał: „każda scena sztuki jest krzykiem, choć rozwija się z rozwagą i w zgodzie z prawidłami sztuki, wszystkie razem tworzą prawdę"[29].

Paradoksem jest fakt, że w Berlinie początku lat trzydziestych właśnie członkowie NSDAP byli najbardziej urażeni dramatem Kalkowskiej. Nędza i niezgoda społeczna, czyli pożywka na której wyhodowana została III Rzesza, ukazana na scenie raziła. Od premiery w 1932 roku zaczynają się demon-

[27] Friedrich Wolf (1888-1953), niemiecki lekarz i dramatopisarz żydowskiego pochodzenia. Autor bestsellerowej książki o naturze jako lekarzu (*Die Natur als Arzt und Helfer*, 1927) i słynnych sztuk *Profesor Mamlock* (1933) i *Cjankali* (1929, poruszającej problem nielegalnych aborcji). Wolf w 1930 otrzymał nagrodę Kleista za dramat *Die Matrosen von Cattaro*. Sztuka ta, traktująca o buncie w marynarce austriackiej w 1918, była wystawiona w Volksbühne, a następnie w Wiedniu przez kobietę-reżysera Marię Gutmann. W 1933 Wolf, podobnie jak Kalkowska, musiał opuścić Niemcy. Udał się na emigrację do ZSRR. Po wojnie mieszkał w NRD.

[28] Towarzystwo Krzewienia Kultury Teatralnej było instytucją dotowaną przez państwo, wymyśloną przez Szyfmana dla ratowania sytuacji finansowej Teatru Polskiego, skupiającą kilka warszawskich scen, obliczoną głównie na uchronienie ich przed skutkami kryzysu gospodarczego w latach trzydziestych.

[29] Henryk Mann, *Die Macht des Gefühls* (Potęga uczucia), *Berliner Tageblatt*, 12 II 1932. Tekst w tłumaczeniu Barbary Bernhardt w niniejszej edycji dramatów.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

stracje bojówek hitlerowskich pod teatrem, gdzie grano utwór Kalkowskiej. W 1933, po zwycięstwie partii narodowosocjalistycznej, „oszczercza" sztuka musi zejść z afisza, a autorka trafia do aresztu. Dzięki interwencji polskiego posła w Berlinie, Alfreda Wysockiego, Kalkowska wychodzi na wolność[30]. Zostaje jednak wydalona z terenu III Rzeszy.

Ostatnie lata

Kalkowska początkowo udaje się na emigrację do Paryża. Utalentowana językowo szybko na powrót staje się biegła we francuskim, którego już używała przecież w młodości, studiując na Sorbonie. Pisze też po francusku sztukę[31], jak również wraca do polszczyzny i pisze dramat o nieznanym żołnierzu[32]. Próbuje doprowadzić do wystawienia napisanej jeszcze po niemiecku *Die Unvollendete*[33]. Atmosfera świata artystycznego Francji rozczarowuje ją jednak i Kalkowska przenosi się do Anglii, gdzie odnajduje bardziej sprzyjające środowisko artystyczne i intelektualne. Porzuca niemiecki, niejako na znak protestu przeciwko rozwijającemu się hitleryzmowi w Niemczech, i przechodzi całkowicie na angielski. BBC emituje sceny z życia Disraeliego jej autorstwa. Kalkowska tym tematem próbuje jeszcze raz zdystansować się wobec polityki III Rzeszy – tym razem jej rasistowskiego nastawienia. BBC emituje też angielskie tłumaczenie *Zeitungsnotizen.* Kalkowska planuje dramat o Federico Garcii Lorce (który został właśnie rozstrzelany w Hiszpanii), jako o ofierze wojny domowej[34], wojny która dla Kalkowskiej była kolejną psychiczną traumą.

Klimat intelektualny Anglii, który sprzyja Kalkowskiej, nie idzie jednak w parze z klimatem atmosferycznym. Jak przypuszcza jej córka, to właśnie wilgoć i zbyt duża obecność jodu w powietrzu wyspy doprowadzają do poważnych kłopotów Kalkowskiej z tarczycą. Na wiosnę 1937 wyjeżdża więc do Szwajcarii, gdzie poddaje się operacji. Wydaje się jednak, że ten zabieg

---

[30] Kalkowska do końca życia zachowała polskie obywatelstwo.

[31] Tytuł sztuki brzmiał *Arc de Triomphe.*Ciekawa jest zbieżność tego tytułu z tytułem powieści E.M Remarque'a, *Łuk Triumfalny*, która powstała w mniej więcej tym samym czasie (1935). Prawdopodobnie dramat Kalkowskiej miał również, jak powieść Remarque'a, antywojenne przesłanie. Sztuka została przetłumaczona na niemiecki.

[32] Tekst sztuki niestety zaginął.

[33] Sztuką *Die Unvollendete* (Niedokończona) interesował się Gaston Baty, lecz powtórzyła się sytuacja, która już raz miała miejsce, gdy chciał ten dramat wystawić Max Reinhardt. Był już skierowany do prób w teatrze, gdy aktorka mająca grać główną rolę, czterdziestoletniej kobiety, odrzuciła ją ze względu na wiek postaci. Inna sztuka Kalkowskiej pisana po niemiecku, *Kain* (inny tytuł *Am Anfang*), nie doczekała się wystawienia.

[34] Federico Garcia Lorca, hiszpański poeta, dramatopisarz, również malarz, pianista i kompozytor, przedstawiciel tzw. Generacji 27, wprowadzającej nurty awangardowe do sztuki i literatury. Lorca znany ze swych socjalistycznych poglądów i homoseksualnych skłonności został aresztowany i rozstrzelany w 1936 roku, w 38. roku życia, na samym początku wojny domowej w Hiszpanii. Komitet Pomocy Hiszpanii (Spanish Relief Committee) wystawił w Londynie, w 1938, czyli już po śmierci Kalkowskiej, jej sztukę *Sein oder Nichtsein,* pod angielskim tytułem *To Be Or Not To Be.*

tylko przyśpieszył rozwój choroby i Kalkowska wkrótce po operacji umiera. Jej śmierć, poprzedzona wielkim fizycznym cierpieniem, była na miarę tej kobiety, która cierpienie miała niejako wpisane w swój los. Cierpienie psychiczne i duchowe wywołane widokiem nieszczęścia i niesprawiedliwości. Cierpienie, które ją pchało do występowania w imieniu słabszych i pokrzywdzonych. Umiała uczucie empatii przetworzyć w działanie, choćby własnym kosztem.

Córka

Życie dopisało do historii Eleonory Kalkowskiej pointę czy może tylko kolejny epizod tego, co czasem obserwujemy w niektórych rodach – wspólnoty losu, który układa się podobnie, bo członkowie tej samej rodziny opierają swe działania na podobnych wartościach. W rodzie Kalkowskich-Szarotów też możemy obserwować takie pokoleniowe podobieństwa losów wynikające z podobieństwa postaw. Dzieci Kalkowskiej i Marcelego Szaroty – Elida i Ralf, wróciły do Polski, zgodnie z prośbą matki, o której pisze Elida Szarota w swym wspomnieniu[35].



Rafał Blüth

Już po śmierci Eleonory Kalkowskiej, jej córka Elida Maria Szarota, wyszła za mąż za literata Rafała Marcelego Blütha. Wybrała człowieka, który był typem jakby z jej rodziny – intelektualista, rozdarty wewnętrznie (katolik pochodzenia żydowskiego), który związał się z najbardziej nowoczesnym odłamem polskiego kościoła, czyli ze środowiskiem kwartalnika religijno-kulturalnego *Verbum*[36], narażając się tym krokiem w pewnych kręgach na szyderstwo. Echa tego możemy zobaczyć znów w dzienniku Karola Irzykowskiego, który ironicznie nazywa Blütha „filarem domu rekolekcyjnego Lasek".



Elida Maria Szarota

Blüth znał twórczość swej zmarłej teściowej, i choć nigdy nie poznał Kalkowskiej osobiście, to

[35] Elida M. Szarota pisze o ostatnich dniach Eleonory Kalkowskiej: „Odnalazłam matkę w klinice berneńskiej i miałam jeszcze parę dni, żeby z nią porozmawiać. Powiedziała mi. «Musisz pojechać do Polski, będziesz ją later kochać.» (Elida Maria Szarota *Pożegnanie z matką i z Niemcami*, [w:] *Poetki z ciemności*, *WIR*, Berlin, listopad 1995.)

[36] *Verbum* zostało utworzone przez księdza Władysława Korniłowicza, jednego z twórcówi Zakładu dla Ociemniałych w Laskach. Blütha łączyła z Korniłowiczem długoletnia przyjaźń, rozpoczęta jeszcze na początku lat dwudziestych.

[37] E.M.Szarota, op. cit. (Blüth jest autorem studiów o Conradzie).

rozumiał i doceniał moralny wymiar jej życia i twórczości. Nazywał ją „Conradem w spódnicy"[37]. Elida Szarota poślubia Blütha w 1938, w czasie, gdy traci on pracę w Polskiej Agencji Telegraficznej i jest usuwany, ze względu na swe pochodzenie, z twórczych zrzeszeń i stałych posad. Zarabia wtedy już tylko dorywczymi pracami i jako członek redakcji *Verbum* – skąd nie został wydalony. We wrześniu 1939 Blüthowie mieszkali w Warszawie w Alejach Ujazdowskich. Spodziewali się pierwszego dziecka. W tym mniej więcej czasie spotkali Stefana Jaracza. Zamierzał on pierwszy powojenny sezon, który jak wówczas sądzono miał niedługo się zacząć, inaugurować *Sprawą Jakubowskiego*. Ponieważ tłumaczenie Brodzkiego, którym posłużyła się Strońska, miało opinię słabego, Blüthowie mieli przygotować wspólnie nowe tłumaczenie. W ramach przygotowań do defilady zwycięstwa, którą 5 X 1939 miał przyjmować w Warszawie Adolf Hilter, w przeddzień do mieszkania Blüthów weszli żandarmi. Zainteresował ich tekst na biurku, który skonfiskowali i kazali małżeństwu pozostać w areszcie domowym. 6 X przyszło Gestapo. Rafał Blüth nigdy już z Al. Szucha nie powrócił. Zginął rozstrzelany w Natolinie, 17 XI 1939[38], w jednej z pierwszych warszawskich egzekucji. Elida, także aresztowana, została wypuszczona ze względu na swój stan. Urodziła syna – Tomasza. O losie męża dowiedziała się dwa lata później, będąc więźniarką Pawiaka. Dziś wnuk Elonory Kalkowskiej, prof. Tomasz Szarota, jest historykiem, specjalistą w zakresie II wojny światowej, autorytetem w dziedzinie stosunków polsko-niemieckich.

Córka Elonory Kalkowskiej po wojnie została naukowcem, germanistką, wybitną znawczynią dramatu jezuickiego. Już w 1948 zaczęła starania o uratowanie z niepamięci spuścizny po matce. Elementem tych działań był list, który napisała do Edmunda Osmańczyka. Przypominając sylwetkę matki, próbowała przekonać autora niedawno wydanych *Spraw Polaków*[39], że postać Kalkowskiej może się przysłużyć uregulowaniu zdewastowanych wojną stosunków między Polakami a Niemcami. Czy to jednak atmosfera antyniemiecka w Polsce tuż po wojnie, czy niechęć komunistycznych polskich władz do ludzi, których lewicowe poglądy – jak u Kalkowskiej – wynikały z ideowego nastawienia, dość że Elida Szarota nigdy się nie doczekała od Osmańczyka odpowiedzi. Z brakiem zainteresowania dla osoby Kalkowskiej w Polsce po wojnie w jakimś stopniu kontrastuje jej recepcja w Niemczech. Egzemplarze jej sztuk i ocalałe dokumenty przechowywane są w Deutsche Akademie der

[38] Zwłoki Rafała Blütha odnaleziono i zidentyfikowano dopiero w 1971. Datę śmierci Blütha podaję za PSB (hasło *Eleonora Kalkowska*, op.cit.) i słownikiem biobibliograficznym *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury*, opr. zespół pod red. Jadwigi Czachowskiej i Alicji Szałagan, Warszawa 1994, t.1.

[39] Edmund Osmańczyk, pisarz i publicysta, był tuż po II wojnie światowej korespondentem wydawnictw prasowych Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" na okupowane Niemcy (1945-51). Jako korespondent zagraniczny Polskiego Radia i Polskiej Agencji Prasowej był sprawozdawcą z Konferencji Poczdamskiej i z procesu norymberskiego. W 1946 prowadził w *Przekroju* cykl *Sprawy Polaków*. W tych szkicach rozważał problematykę niemiecką i stosunków polsko-niemieckich. Wyszły jako książka w 1946 (za: *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury*, op.cit., t.6.).

Künste w Berlinie, gdzie utworzono Eleonore Kalkowska-Archiv. Część spuścizny znajduje się też w archiwum literackim w Maarbach. Nie wystawiano jednak jej sztuk.

Nie zabijaj

Kalkowska mogła zadowolić się budowaniem swojej kariery literackiej, mając ku temu dobre prawo, jako osoba niezwykle utalentowana i na tyle dobrze ustosunkowana, by ten talent przetworzyć na kolejne tomy poezji i prozy oraz zdobywanie coraz większego prestiżu w środowisku intelektualnym. Na przykład działając w związkach twórczych i uzyskując w ten sposób sformalizowanie swej pozycji. Przy łatwości pisania i talencie publicystycznym szybko zrobiłaby karierę. Ona tymczasem działa w sposób przysparzający jej problemów, a nie profitów. Jako kobieta, poruszając współczesną tematykę społeczną, wyrzucała się dobrowolnie poza nawias środowiskowych układów i towarzyskich salonów. Wyznawane przez nią idee lewicowe, postrzegane jako komunistyczne, nie wynikały z jej przekonań światopoglądowych, lecz społecznych. Kalkowska była osobą głęboko wierzącą. Jej córka wspomina o specjalnym stosunku, jaki zawsze miała do Jezusa Chrystusa. Konając, ściskała w dłoni krucyfiks.

Żyła z odwagą i bezkompromisowo. To właśnie ta jej niepartykularna natura sprawiła, że wbiegła na scenę Volksbühne, domagając się właściwego zakończenia jej utworu. Nie chciała swą sztuką zachwycać – chciała wstrząsać. Ryzykowała, że zostanie odrzucona.

Kalkowska, mimo iż próbowano ją zepchnąć w bezpieczną dla „płci pięknej" działalność marginalną, reprezentuje bardzo odważny, nowoczesny nurt zarówno w dramaturgii, jak i myśleniu społecznym. Bezwzględnie negatywny stosunek Kalkowskiej do kary śmierci, przeciwko której od pierwszych swych utworów protestowała, przywodzi na myśl Stanisławę Przybyszewską, której polsko-niemiecka tożsamość również zbliża obie autorki. Nastawienie antywojenne Kalkowskiej, śmiała propaganda pacyfizmu, stawia ją w jednym rzędzie także z innymi wielkimi kobietami tego czasu, jak Virginia Woolf, autorka antywojennego eseju *Trzy gwinee* z 1938 roku[40].

Wyznawanie poglądów pacyfistycznych w latach trzydziestych XX wieku nie było popularne. Dla Kalkowskiej była to naturalna konsekwencja jej postawy. Związane z tym uwarunkowania i komplikacje zamykają się w słowach Wilfreda Owena, angielskiego poety, który zginął podczas I wojny światwej: „Wydaj się raczej na pośmiewisko i zniewagi, pozwól się zabić, ale

[40] Może warto też w tym miejscu zaznaczyć, że Virginia Woolf swój wykład dla kobiecego collegu *Własny pokój*, o litearturze kobiecej i trudnościach z jakimi się muszą borykać jej twórczynie, napisała i opublikowała w tym samym mniej więcej czasie (1929), gdy Kalkowska napisała i wystawiła *Josefa*.

[41] Cytat z Owena za: Virginia Woolf *Trzy gwinee*, przeł. Ewa Krasińska, Warszawa 2005, s.152.

nie zabijaj... Widzisz więc, że czystego chrześcijaństwa nie da się pogodzić z czystym patriotyzmem."[41]

Świadomość złożoności natury ludzkiej i świata, jaki człowiek wytworzył, wywoływały u skłonnej do melancholii, wrażliwej obserwatorki rzeczywistości sprzeczne uczucia. W tej sprzeczności widać jednak najgłębszy humanizm. Kalkowska pisała: „moje nastawienie do świata coraz silniej skłaniało się ku stanowi *nienawistnej miłości* – mieszanki pogardy, odrazy i zgrozy ze swojego rodzaju podziwem i uwielbieniem – w którym, pomimo całego przerażenia okrucieństwem dziejów ludzkich i uwikłanej bezwyjściowości sytuacji człowieka, pełna byłam najczystszego i najprawdziwszego zachwytu nad każdorazową próbą wyrażenia siebie czy świata, podejmowaną przez jednostkę."[42]

Można byłoby w rozmaity sposób analizować twórczość Eleonory Kalkowskiej i jej przesłanie. Rozważyć wpływ jej wielonarodowej tożsamości na sposób odbierania świata, analizować jej poezję i prozę w kontekście opętania problematyką *vanitas,* ukazać jej twórczość w świetle krytyki feministycznej, porównać osobowość twórczą z fenomenem Stanisławy Przybyszewskiej, czy wreszcie – spojrzeć na jej twórczość pod kątem zakorzenienia tej autorki w chrześcijaństwie. Tutaj, siłą rzeczy, trzeba było się skupić głównie na jej związkach z teatrem. Polski czytelnik i widz teatralny ma bowiem wreszcie okazję zapoznać się z dwoma dramatami tej niezwykłej autorki. Warto, by za tą publikacją poszły następne wydania jej utworów, które dadzą podstawę do dyskusji o jej twórczości. Apel autora *Przesłania Pana Cogito* pozostaje aktualny.

[42] Eleonora Kalkowska *Dlaczego zostałam dramatopisarką?*, tłum. Barbara Bernhardt. Oryginalny tekst niemiecki zamieszczony w programie do prapremiery *Josefa*. Polskie tłumaczenie w niniejszym wydaniu dramatów.

Eleonora Kalkowska

Dlaczego zostałam dramatopisarką?

Przełożyła Barbara Bernhardt

Być może dlatego, że mieszanka krwi w mych żyłach – niemieckiej, polskiej, ale również w mniejszym stopniu francuskiej i szwedzkiej – wywołała we mnie stan napięcia, który swoją korelację, rozładowanie – a przez to w pewnym sensie rozwiązanie – mógł odnaleźć wyłącznie w twórczości dramatycznej.

Być może dlatego, że pochodzę z rodziny, która dała scenie wielu wspaniałych aktorów, a która atawistycznie opętała mnie namiętnością do teatru i słowo poetyckie ożywa dla mnie tylko wtedy, kiedy towarzyszy mu dźwięk.

Być może również dlatego, że moje nastawienie do świata coraz silniej skłaniało się ku stanowi „nienawistnej miłości" – mieszanki pogardy, odrazy i zgrozy ze swojego rodzaju podziwem i uwielbieniem – w którym, pomimo całego przerażenia okrucieństwem dziejów ludzkich i uwikłaniem człowieka w sytuację bez wyjścia, pełna byłam najczystszego i najprawdziwszego zachwytu nad każdorazową próbą wyrażenia siebie czy świata, podejmowaną przez jednostkę. Zachwyt ten znajdował swój najpełniejszy wyraz tylko w fizycznej bliskości sceny, w kreacji prawdziwych, poruszających się, oddychających, przemawiających ludzi...

Być może dlatego, że cud p r z e m i a n y jest według mnie największym cudem świata i w przeciwieństwie do wielu innych pisarzy nigdy nie doznaję uczucia rozczarowania w zetknięciu z transformacją, jakiej podlega moja wizja poetycka wskutek różnorodnych postaw i opinii reżyserów i aktorów, stale stając się przez to czymś nowym – wręcz przeciwnie, zawsze jest dla mnie radosną i ekscytującą niespodzianką.

A może też – i choć wspominam to na końcu zdecydowanie nie jest to najmniej ważne – ponieważ czuję, że istota świata ujawnia się w najbardziej

podstawowy sposób w burzach i zamieciach dramatu, które popychają zdarzenia i stają się oddechem aktorów, znajdującym swe wyzwolenie w postaci krzyków, westchnień, bredni lub ekstazy radości.

Może właśnie ze wszystkich wyżej wymienionych powodów razem wziętych zostałam dramatopisarką. A może z jeszcze innych, które umykają teraz mojej świadomości lub może raczej umiejętności sformułowania – w każdym bądź razie, zostałam dramatopisarką, bo nią zostać musiałam!

Odkąd pamiętam, zawsze miałam słabość i inklinacje do twórczości dramatycznej, chociaż moja potrzeba twórcza doszła do głosu początkowo w poezji. Z punktu widzenia treści i formalnej budowy – ekspozycji, konfliktu i rozwiązania – skonstruowałam swój pierwszy, podyktowany, gdyż pisać jeszcze wówczas nie potrafiłam, dramacik w wieku lat czterech i pół. Z moich najwcześniejszych lat szkolnych, które spędziłam we Wrocławiu, zachowało się oprócz wierszy kilka nieśmiałych szkiców dramatycznych.

Z czasów nieco późniejszych – miałam wówczas 15 lat i chodziłam do niemieckiego gimnazjum w Petersburgu – przypominam sobie istotną rozmowę z jedną z moich koleżanek. Był przezroczysty wczesnowiosenny dzień, spacerowałyśmy przez Letnij Sad, po Newie przesuwały się kry lodowe i delikatny powiew wiatru pełen był znaków zapytania. Moja koleżanka poczuła potrzebę wyznań i bez zahamowań wylała przede mną to wszystko, co wyobrażała sobie jako cel i punkt szczytowy swego życia.

Potem przyszła kolej na mnie. Chciałam, a nawet uważałam to za swój obowiązek, być tak szczera i otwarta jak ona, więc zaglądnęłam głęboko we własne wnętrze. I nagle w i e d z i a ł a m, zobaczyłam z jednoznaczną wyrazistością, dokąd zmierzało moje życie i gdzie musiało znaleźć swe ujście. Przed oczami pojawiła się półoświetlona sala, teatr, rozległy się głosy, które wypowiadały m o j e słowa, ludzie poruszali się, wykonywali gesty, które ja uprzednio sobie wyobraziłam. Ale ja stałam nieco w oddali i z pulsującym w żyłach tętnem obserwowałam zdarzenia na scenie...

Nie bez skrępowania zwierzyłam się koleżance z tych myśli i nigdy nie zapomnę pół-szydzącego, pół-urażonego spojrzenia, z jakim przyjęła moje słowa. Ja jednak patrzyłam gdzieś poza nią, w powietrze, gdzie ciągle jeszcze, widoczna tylko dla moich oczu, unosiła się właśnie mi ujawniona wizja życia. Wiedziałam, że nigdy nie utraci ważności. W tej ekscytującej chwili nie przypuszczałam jednak, jakimi to krętymi ścieżkami będzie prowadzić mnie do celu.

Chciałabym jeszcze dodać słowo o zasadniczej istocie moich dzieł. Miłość do świata, jego barw i różnorodności zdarzeń i zjawisk, którą noszę w sercu, sama w sobie nie mogłaby być, jak sądzę, wystarczającą siłą twórczą. Każde z moich dzieł, gdzieś w swym jądrze jest rezulatatem ja-

kiegoś pierwotnego przeżycia, któremu musiałam nadać kształt, aby się z nim uporać i od niego uwolnić. Przełożenie tego przeżycia – więc znowu p r z e m i a n a – na całkiem inny obszar, całkiem inne układy jest tak absolutne, że tylko ja sama jestem w stanie rozpoznać to powiązanie. Zresztą cały ten proces nie ma nic wspólnego ze świadomą mistyfikacją – przemiana dokonuje się całkowicie w podświadomości, błyskawicznie i doskonale, na ogół w półsnach albo w stanie transopodobnym i ma, jak czuję, tak niepodważalny Byt, że przyszłe dzieło już od samego początku, w samym zarysie i często też aż do ostatnich drobiazgów – jest całkowicie i nienaruszalnie ustalone.



Okładka programu występu recytatorskiego w Berlinie, około 1912 roku.

Sprawa Jakubowskiego

Tragedia współczesna
w 22 obrazach

Przełożył Józef Brodzki

O s o b y:

JÓZEF JAKUBOWSKI, Polak, robotnik rolny, jeniec wojenny z armii rosyjskiej
MAŁGORZATA BEINIG
MARIA
GUSTAW
PAWEŁ
HENRYCZEK } jej dzieci
KREUZ, mieszka u Beinigów
KREISCHER, robotnik rolny
WDOWA STOSS
HAKENOWA, sąsiadka
PRZEWODNICZĄCY SĄDU
PROKURATOR
SĘDZIA
APTEKARZ
NAUCZYCIEL } przysięgli
SPIESOWA, świadek
KSIĄDZ
OBROŃCA
RECHT, dozorca więzienny
MŁODSZY DOZORCA
BINDEROWA, właścicielka oberży
REDLICH, świadek
PIJANY PAROBEK
TRZEŹWY PAROBEK
SKROMNA DZIEWCZYNA WIEJSKA
I
II
III } ZUCHWAŁE DZIEWCZĘTA
WIĘZIEŃ GRUND
WOŹNY SĄDOWY
ZJAWA SENNA MATKI JÓZEFA

* * *

Rzecz dzieje się w małej wiosce w Prusach Wschodnich, pomiędzy 1923 a 1926 rokiem.

* * *

Pomiędzy pierwszym a drugim obrazem upływa miesiąc, pomiędzy drugim a trzecim – dwa lata.

* * *

OBRAZ I

Przed wielką, szeroko otwartą stodołą, w której widać świeżo zwiezione snopy zżętego zboża. Naprzeciw rozwartych wrót stodoły wielki stół drewniany, na którym stoją kufle piwa, resztki jedzenia. Długie ławy dokoła stołu – teraz próżne. W głębi kilku wioskowych grajków, zacięcie grających. U węgła stodoły, niemal ukryty, stoi Józef. Środek sceny zajęty przez tańczących młodych parobczaków i dziewczęta. Wszyscy są podochoceni, trochę podpici, ubrani odświętnie.

Kiedy kurtyna idzie w górę, na scenie wre zabawa, śmiechy, pijane okrzyki. Za chwilę muzyka przestanie grać. Tańczące pary powracają na swoje miejsca przy stołach lub stają przy muzyce.

PIJANY PAROBEK

(*pozostał na środku sceny, z pijanym uporem wymachuje rękami*) Dalej, grać muzyka! (*chwyta jedną z dziewcząt, chce ją zmusić do tańca, ta opiera się*)

II DZIEWCZYNA

A odczepże się... Widzisz go...

PIJANY PAROBEK

Hej! Muzyka! Grać dalej, jak ja każę!...

TRZEŹWY PAROBEK

(*podchodzi do niego*) Nie drzyj się!... Przecież muzyka też musi odpocząć!...

PIJANY PAROBEK

(*z pięściami do niego*) Widzisz go... Będzie mnie tu uczył... Jak mi się podoba, to się będę darł!... Muzyka!... Ja tak chcę!... Basta!

TRZEŹWY PAROBEK

(*wzrusza ramionami*) Ale... patrzcie... masz najwięcej ziemi, ale rozumu, to ci brak!

PIJANY PAROBEK

(*przyskakuje do niego*) A ty dziadu zatracony... Żebraku!... Ty do mnie?... Tyle masz swojej ziemi, że ci własnego łajna na nawóz starczy – a jeszcze się stawiasz!...

TRZEŹWY PAROBEK

Ty świnio harda...

Rzucają się na siebie i tłukąc się znikają ze węgłem stodoły. Dziewczęta i chłopcy tworzą grupki. Trzy śmiejące się dziewczęta, trzymając się za ręce, zbliżają się do Józefa, który cały czas stoi, przyglądając się.

I DZIEWCZYNA

(*drwiąc i pokpiwując*) A ty czemu nie tańczysz, Józef?...

II DZIEWCZYNA

(*podobnie*) Stoisz tu jak malowany, koło stodoły...

III DZIEWCZYNA

Ładny kawaler, co by się patrzył na to, jak inni się bawią...

Pauza

I DZIEWCZYNA

No, i czemu mi nie odpowiadasz?

II DZIEWCZYNA

Zapomniał języka w gębie.

JÓZEF

(*wymijająco i niedowierzając*) A jak co po waszemu powiem – to się ze mnie uśmiejecie...

I DZIEWCZYNA

A ty się z nas śmiej... Nie potrafisz?...

JÓZEF

(*westchnąwszy*) Ba, kiej nie poradzę... za ładne jesteście.

I DZIEWCZYNA

(*zatacza się od śmiechu*) A to ci dopiero heca... Dziewczęta... Józef się na komplementy wysadza... (*wszystkie śmieją się do rozpuku*)

II DZIEWCZYNA

(*niby poważnie*) Ale naprawdę powiedz, dlaczego nie tańczysz z dziewuchami, jak inni, co?...

JÓZEF

(*usprawiedliwia się, jest zaskoczony i onieśmielony*) Ja tylko nasze tańce umiem... Mazura, oberka, krakowiaka... Waszych tańców nie potrafię...

III DZIEWCZYNA

Spróbuj tylko, a wnet się nauczysz.

JÓZEF

(*niedowierzając*) Żadnaby ze mną tańczyć nie chciała... Wstydziwszy się...

I DZIEWCZYNA

Ale bo też zaraz byś chciał potańczyć z córką młynarza... Spróbuj z inną...

JÓZEF

Ja tam wolę nie próbować...

II DZIEWCZYNA

(*z udaną powagą*) A wiesz, co ci powiem... Jak będziesz od ludzi stronił, to nigdy sobie narzeczonej nie znajdziesz...

III DZIEWCZYNA

A przecież z ciebie chłopak na schwał, jak dębczak!

I DZIEWCZYNA

A silny... widać to po nim... jurny!

II DZIEWCZYNA

Wyłaźże zza tego węgła, no!...

Wyciągają go na środek sceny.

JÓZEF

(*broni się*) Dajcie mi pokój, dziewczyny! Ot psotnice...

Otaczają go, popychają coraz bardziej ku przodowi sceny. Muzyka zaczyna z cicha przygrywać.

I DZIEWCZYNA

(*szturchając Józefa*) No, bądźże odważny – żywo!...

Józef obraca się dokoła, z ogromnym zakłopotaniem i rozbrajającą nieśmiałością, kłania się, prosząc do tańca I Dziewczynę.

I DZIEWCZYNA

(*z udanym zdziwieniem, siląc się na „miejską mowę"*) Przepraszam bardzo, czego pan sobie życzy?... (*do koleżanek*) To jakiś prosty człowiek... (*udaje niedołężnie dystynkcję miejskiej panny*)

JÓZEF

(*uśmiechając się, naiwny, łatwowierny*) Mieliśmy ano zatańczyć...

I DZIEWCZYNA

(*z udanym zdziwieniem*) Ze mną?... Ach tak... bardzo żałuję, ale nie mogę, bo mnie mały paluszek na prawej nodze boli... (*powstrzymuje z trudem śmiech, jej koleżanki tłumią wybuchy śmiechu. Józef patrzy na II Dziewczynę*)

II DZIEWCZYNA

A mnie na lewej...

JÓZEF

(*już rozumie, że dziewczęta kpią sobie z niego, ale z wysiłkiem kłania się III Dziewczynie, prosząc ja do tańca, również udając kawalera z miasta*)

Czy mogę prosić panienkę do tańca?

III DZIEWCZYNA:

Ach, bardzo żałuję, alem sobie nóżkę skręciła...

Wszystkie śmieją się do rozpuku i kpiąc z Józefa, który stoi bezradny i ośmieszony, znikają za sceną. Józef ogląda się za nimi, wzrusza ramionami, wreszcie podchodzi do stołu i siada na brzegu ławy.

PIJANY PAROBEK

(*wtacza się na scenę i siada niemal naprzeciw Józefa na ławie*) Hej!... tam!... Piwa mi tu dajcie!...

Maria zbliża się z wolna, niosąc drewnianą tacę z kuflami napełnionymi piwem. Stawia przed pijanym kufel piwa. Jest to młoda, ładna dziewczyna. Spod obcisłego fartucha widoczne są ładne kształty kobiece. Spojrzała na Józefa i uczyniła gest, jak gdyby chcąc i przed nim postawić kufel piwa.

PIJANY PAROBEK

Zwariowałaś?... Będę tu przy jednym stole z przybłędą polskim pił... Z tym zawszonym Maćkiem!... Polake!...

MARIA

(*stawia kufel z powrotem na tacę*) Myślałam, że dziś, przy dożynkach...

JÓZEF

(*uśmiecha się dobrotliwie*) Nie trzeba... nie chce mi się pić...

PIJANY PAROBEK

(*kładzie ręce w kieszenie, wyzywająco i bezczelnie*) A ten, co tu ma do roboty?... Ta polska świnia, co?...

JÓZEF

(*unikająco*) Ano nic... Siedzę sobie tu na ławie...

PIJANY PAROBEK

(*szukając zaczepki, przedrzeźnia jego śpiewną mowę*) Siedzę sobie... (*chwyta się naraz za ramię, jakby go coś ugryzło*) A ty, wszarzu zatracony, świnio obca... Wszy po nim łażą, jak cielaki... On nam tu wszystkim prezenty posprawia.

JÓZEF

(*przerażony i zawstydzony*) Nieprawda... Wczoraj głowę wymywszy, całe ciało wyparzył... Wszystkie wszy (*śmieje się*) – wszystkie wszy potonąwszy...

I DZIEWCZYNA

(*wchodzi, do Pijanego*) Za kołnierz dziś nie wylewałeś...

PIJANY PAROBEK

(*rzuca w Józefa kuflem piwa, które rozlewa się*) A teraz potonąwszy w piwie... H...ha!...

I DZIEWCZYNA

(*złośliwie*) No, Józef... piwo zimne... rozgrzej się... pobijcie się...

JÓZEF

(*bezradny, przygnębiony*) Ma rację... Jedzą mnie wszy...

PIJANY PAROBEK

(*do dziewczyny*) Chodź, zatańczymy... (*chwyta ją wpół*)

I DZIEWCZYNA

(*zadowolona*) Z przyjemnością... (*wybiegają ze sceny*)

MARIA

(*zbliża się do Józefa z ręcznikiem i wyciera na nim piwo. Szeptem, nieśmiało*) Józef... no, nie trap się... Popatrz na mnie... Przecie i ja jestem dziewczyną...

JÓZEF

(*spojrzał na nią*) Ano widzę...

MARIA

A przyszedłbyś do mnie?... Nie chciałbyś?...

JÓZEF

Ho, ho... Jeszcze jak...

MARIA

A wiesz, gdzie mieszkam?

JÓZEF

Nie wiem...

MARIA

Za wioską... na mokradłach... w białej chałupie...

JÓZEF

(*uśmiecha się błogo*) Przyjdę...

MARIA

Ale nie do chałupy... Za wiele tam złych oczu...

JÓZEF

A gdzież mam przyjść?...

MARIA

Na łące, za chatą... Tam taki głęboki rów... Spokojnie w nim i cicho, jak w gnieździe...

JÓZEF

Przyjdę dziś wieczorem...

MARIA

Będę czekała... Jak słońce zajdzie...

KURTYNA

* * *

OBRAZ II

Uboga izba wieśniacza. Gliniana podłoga, ubogie, zniszczone sprzęty. W środkowej ścianie okno, obok drzwi. Pośrodku stół, ławy, stołki. Przy piecu stoi Maria, pierze bieliznę. Obok niej stoi, maczając ręce w brudnej wodzie i oblizując palce, Henryczek, skretyniały wyrostek kilkuletni, jej brat. Przy stole, nad opróżnioną już prawie misą z jedzeniem, Józef.

MARIA

(*do Henryczka*) Nie papraj się w tym brudzie...

HENRYCZEK

(*z uśmiechem idioty*) Smaczne...

MARIA

(*odpędza go mokrą szmatą*) Ty durny prosiaku...

HENRYCZEK

(*odskoczył, podbiegł do stołu, skowycze ze strachu jak pies*) Nie... nie... nie...

JÓZEF

(*patrzy na niego z litością*) A zjedzże sobie ze mną...

MARIA

(*szorstko*) On już swoje dostał... Nie bój się... nażarł się...

HENRYCZEK

(*stanął z daleka, patrzy na misę Józefa. Usta złożył i splunął, wprost w miskę*) Trafiłem... trafiłem...

MARIA

(*rozgniewana, grozi mu mokrym gałganem*) Jak jeszcze raz to zrobisz, ja ci pokażę, ty szczeniaku...

JÓZEF

(*nic sobie z tego nie robi, łyżką oczyszcza jedzenie, je dalej*) Nie sierdź się, Maryjko, nie ma o co...

Henryczek schował się w kącie i patrzy spode łba. Maria wzruszyła ramionami, wraca do prania.

JÓZEF

(*odsunął od siebie próżną już misę, do chłopca*) A chcesz feniga? (*wyciąga z kieszeni garść monet miedzianych*)

HENRYCZEK

(*podbiega, wyciąga ręce, żebrząc*) Feniga!... Feniga!...

JÓZEF

(*otworzył drzwi*) Wyłaź z chałupy, to dostaniesz... No, żywo...

HENRYCZEK

(*czepia się jego rąk*) Feniga!... Feniga!... Daj... daj feniga!...

JÓZEF

(*podrzucił pieniądz w górę*) Na... szukaj... tam...

HENRYCZEK

(*wybiega z płaczem*) Feniga!... Feniga!...

JÓZEF

(*zamyka za nim drzwi na klucz. Powoli zbliża się do Marii, przygląda się jej w milczeniu*) Maryjko... No... czemuś dziś taka zła... powiedzże...

MARIA

(*porywczo*) Co ci to tam... Wcale nie zła...

JÓZEF

(*chytrze i z uśmiechem, wskazując na miskę na stole*) Garnek mi powiedział, i to, co w nim było... Jak nie dopilnujesz, żeby zupa gorąca była,... to już znak, żeś zła tego dnia...

MARIA

Głupstwa pleciesz...

JÓZEF

(*ciągnąc dalej*) A jak jest gorące i tłuste jedzenie – to już całkiem inna jesteś... Wesoła. Śmiejesz się... A jak się śmiejesz, toś ładna. Lubię, jak się śmiejesz i jesteś wesoła...

MARIA

(*wzdycha ciężko*) Dużo mi z tego przyjdzie...

Pukanie do drzwi.

MARIA

Kto tam?

Józef otworzył drzwi.

KREUZ

(*wchodzi z garnkiem w ręce*) Dzień dobry... Nie masz ognia w piecu, Mario?... Chciałem sobie klej podgrzać...

MARIA

(*nie odrywając się od pracy*) A cóż to, twoja żona ognia w piecu nie ma?... W zimnym piecu obiad ci uwarzyła?

KREUZ

Cały piec ma zastawiony, na mój garnczek miejsca nie ma... A u ciebie przestronno...

MARIA

(*przesuwa garnki*) Ano postaw...

KREUZ

(*staje przy piecu i miesza w swoim garnku*) No, Józef... Co tam słychać u ciebie?... Zadowolony jesteś ze swego nowego gospodarza?...

JÓZEF

Zadowolony, czemu nie?... Porządne ludzie są! Nie wymyślają, po ludzku się obchodzą... (*pokazuje lewą rękę, obwiązaną gałgankiem*) Przy rąbaniu zaciąwszy się wczoraj, to mi gospodyni rękę opatrzyła... czystym gałgankiem...

MARIA

(*z przekąsem*) Wielkie rzeczy, może miałeś krwią spłynąć, jak na nich tak ciężko harujesz. (*do Kreuza*) Powiadam wam, że ten Józef to już taki człowiek, że jak rękę utną, to też jeszcze podziękuje, że nie głowę...

KREUZ

Oni tacy już tam są... Wszystko dla nich dobre... Ot... dzicy ludzie – Polaki! Tu im brak klepki! (*pokazuje na czoło*)

MARIA

(*niezadowolona*) Zagrzało ci się?

KREUZ

(*bezczelnie*) A czego ci tak spieszno?... Będziesz miała dosyć czasu na gruchanie z twoim gołąbkiem... Gustaw mi mówił, że dziś późno wróci, a tego bękarta i tak z chaty na dwór wyganiacie... Matka na noc nie wróci, włóczy się... Że też taka baba... I brudne to, i stare...

MARIA

(*zła*) Nie wtrącaj się do cudzych śmieci...

KREUZ

Czego się tak gniewasz, widzicie ją!... (*zdejmuje garnek z pieca*) Już mi się klajster zagotował... Dziękuję... Dobrej nocy... (*idzie ku wyjściu*)

JÓZEF

(*przyjaźnie*) Ostawajcie z Bogiem... Zobaczymy się jutro...

Kreuz wyszedł. Dłuższa pauza.

JÓZEF

Chodźże tu, Maryjko... Nie bądź zła, no...

MARIA

(*wyciera ręce, siada obok niego*) Co ci się też przywidziało... A ty czego taki rady!... Na loterii wygrałeś?...

JÓZEF

Nie mam żadnego losu... to i nic wygrać nie mógłszy.

MARIA

(*dobrotliwie*) „Nie mam losu", „nie mógłszy"... Eh, ty duszo poczciwa, a cóż ty masz?

JÓZEF

(*mocno obejmując ją*) Siłę mam, dobrze wiesz... Zdrów jestem, zdatny... (*przyciska jej piersi*) Lubisz, co?... No, powiedz, lubisz moją siłę?...

MARIA

(*chce się uwolnić*) Dajże mi pokój... Nie mam ochoty...

JÓZEF

(*trzyma ją*) Ale ja mam ochotę... Chodźże tu... (*dotyka jej piersi, bioder i nóg. Naraz cofnął się*) Jezus Maria... A to co?... (*trzyma rękę na brzuchu Marii*) Czemuś mi nie mówiła? Przecie nie moje, bo miesiąc tylko razem... Rany Boskie!...

MARIA

(*udając, że nie wie, o co chodzi*) Czego tam znowu?... Co ci się przyśniło?...

JÓZEF

(*ociera pot z czoła*) Trza mi było powiedzieć.

MARIA

(*bezczelnie i wykrętnie*) Patrzno go... Ale... A ty cóżeś myślał, że ja na ciebie czekałam?... Panna byłam...

JÓZEF

To nie to... nie. Ale trza mi było naprzód powiedzieć...

Pauza.

MARIA

(*zawstydzona*) Nie mogłam... Jakżeby to było... Myślałam, że się obejdzie...

JÓZEF

(*z nieoczekiwaną w nim zaciętością*) Czyje?

MARIA

(*opryskliwie*) A co ci do tego?... Bądź zadowolony, że nie twoje.

JÓZEF

Chcę wiedzieć, czyje?

MARIA

Nie powiem ci.

JÓZEF

(*po chwili*) Po cóżeś sobie mnie brała, kiej innego miałaś...

MARIA

Tamtego dawno już nie mam...

JÓZEF

Prawdę mówisz?...

Pauza.

JÓZEF

(*rozpina koszulę, wyjmuje krzyżyk*) Przysięgnij... Na Pana Jezusa przysięgnij!...

MARIA

Ja nie katoliczka. A przysiąc mogę...

Chwila milczenia. Dobijanie do drzwi.

GŁOS PAWŁA

Otwórzże, Mario!...

MARIA

Paweł wraca. (*podchodzi do drzwi i otwiera je*)

JÓZEF

Nie otwieraj.

Paweł wchodzi, zauważył Józefa, roześmiał się bezczelnie.

MARIA

A cóż to, Józefa nie widzisz?

PAWEŁ

Klucz w zamku mi powiedział, że jest tutaj...

MARIA

Przywitaj się z nim, bo ci jeść nie dam.

PAWEŁ

(*wykręca się*) Dobry wieczór jaśnie wielmożnemu panu... (*do Marii*) Dajże mi co zjeść...

JÓZEF

Paweł... Weźże miskę i wyjdź na dwór, przed chałupę.

PAWEŁ

(*trzymając miskę, którą mu dała Maria. Je z grymasem*) Ani mi się śni.

JÓZEF

Dam ci pięć fenigów.

PAWEŁ

(*ma usta pełne jedzenia*) Za mało...

JÓZEF

Dam ci dziesięć...

PAWEŁ

Mało...

JÓZEF

(*zrywa się*) Dam ci wszystko, co mam w kieszeni...

PAWEŁ

Za wszystko można wszystko zrobić... (*kładzie rękę do kieszeni Józefa, wyjmuje garść miedziaków*)... Ho, ho... Kupa monety!...

JÓZEF

Możesz se na dworze policzyć.

PAWEŁ

(*wychodzi z miską jedzenia*) Jak zjem, to wrócę...

JÓZEF

(*idzie do drzwi, zamyka je za nim na klucz)* A dlaczego ojciec... nie ożenił się z tobą?...

MARIA

(*potrząsa głową*) Nie mógł.

JÓZEF:

Był żeniaty?

Maria milczy.

JÓZEF

Powiedz mi, kto to był?... No... nic mu nie zrobię... Nie bój się, nic mu nie zrobię...

MARIA

Nie mogę powiedzieć.

JÓZEF

Nie możesz... wstydasz się... Któż to był?... Koniokrad, czy jaki złodziej?... Po cóś się z nim zadawała?...

MARIA

Siłą mnie wziął.

JÓZEF

Nie łżesz?... Siłą cię wziął?... Kości temu draniowi połamię, siłą cię wziął... (*wybuchnął i po chwili zgasł*)

MARIA

Widzisz, jak cię rzuca... Nie powiem ci...

Pauza.

JÓZEF

A co będzie z dzieckiem?...

MARIA

A czy ja wiem?... Przecież go nie utopię... A sama sobie nie poradzę...

JÓZEF

(*zamyślony, medytuje nad czymś*) No, nie pięknie, jak dziecko ojca nie ma... U nas w wiosce był taki... Znajda... wszyscy go palcami wytykali...

MARIA

(*obojętnie*) Byle miał co do gęby wziąć... o resztę mało stoję...

Pauza.

JÓZEF

(*drapiąc się w głowę*) Ale zawsze to źle... Żeby ten ojciec był żebrak, albo kaleka, albo inna nędzota, czy bez rozumu – a zawsze ojciec... Lepszy taki, niż żaden...

MARIA

(*podchodzi do niego, kładzie mu ręce na ramionach*) Józef... To ty byś chciał? Co?... (*walczy ze wzruszeniem*) Chciałbyś?... Dobry z ciebie człowiek... serdeczny...

JÓZEF

(*z zakłopotanym uśmiechem*) To tam nic wielkiego, Maryjko... Czemuż bym ja nie miał przygarnąć maleństwa cudzego?... Żebym był pierwej przyszedł, to byłoby moje... Aboż to nie wszystko jedno?...

MARIA

(*płacząc, opiera swą głowę o niego, głaszcze go po twarzy*) Józef, Józef... dobry z ciebie chłopak... serdeczny...

JÓZEF

Przecie to i dla ciebie lepiej będzie, i dla mnie... Śmieliby się ze mnie w wiosce... a tak... to albo wiedzieć nie będą, albo zapomną...

Za drzwiami rumor i dobijanie się.

GŁOS GUSTAWA

Otwórzcie no!...

JÓZEF

Otrzyj oczy, Maryjko... Niech ta Gustaw nic nie obaczy... Po co ma wiedzieć?... No nie?...

MARIA

(*westchnąwszy*) Po co ma wiedzieć?... (*idzie do drzwi, otwiera je*)

GUSTAW

(*wchodzi. Grubiańsko i porywczo*) Co wam też do głowy przyszło?... Nie możecie sobie gdzie na dwór za chałupę iść. Patrzcie ich... Do własnego domu będę się dobijał... Na klucz się zamykają... (*splunął, rzuca się i miota*)

KURTYNA

* * *

OBRAZ III

Podwórko przedzielone zniszczonym, drewnianym ogrodzeniem sztachetowym. Mała, krzywa furtka w ogrodzeniu. W głębi chałupa Beinigów, przed nią drewniany stół i ławki. Na ławce siedzi Kreuz i Gustaw. Z przeciwnej strony stołu stoi Józef.

KREUZ

(*rzuca z kubka na stół duże kostki do gry*) Dziewięć!... (*zbiera je, wrzuca do kubka i podaje Józefowi*)

JÓZEF

(*oddaje Gustawowi*) Gustaw przede mną.

GUSTAW

(*rzuca kości*) Jedenaście.

JÓZEF

(*grając z namaszczeniem*) Osiemnaście!... (*jest szczerze uradowany*)

GUSTAW

Ten ci ma szczęście, no...

KREUZ

(*przysuwa mu parę groszy leżących na stole*) A teraz grajmy po dwa fenigi stawka. Dobra? (*każdy kładzie na stole miedziaki*) Zaczynaj, Józef...

JÓZEF

Ja wolę być ostatni...

GUSTAW

Myślisz, że ci to szczęście przyniesie?... Ja też chcę raz wygrać...

JÓZEF

(*gra*) Ano, jak chcesz... Mnie wszystko jedno. (*rzuca kości na stół*) Osiemnaście!

GUSTAW

(*wściekły*) Oszukujesz!... Poczekaj, ja ci będę na palce patrzył... (*przysuwa się do niego... Nagle krzyknął... w pośladek wlazła drzazga z ławy*)

JÓZEF

Cóżeś sobie zrobił?

GUSTAW

A to ci cholera, po samą kość wlazła... Niech was szlag trafi z takimi stołkami. (*wyciąga drzazgę*) Jak tu ten po podatki gruntowe przyjedzie, to go na tej ławie posadzimy... Niechby mu też w pośladek taki kawał drewna wlazł... Akurat, jak cała moja ziemia...

JÓZEF

To by się prędko tu uwinął, co?... (*śmieje się*)

KREUZ

Jabym tam był zadowolony, gdybym chociaż taki kawałek gruntu miał, jak twój. Jeszcze się skarżysz... Abo ci źle?

GUSTAW

„Abo ci źle"?... Zwariowałeś!

KREUZ

A nie?... Pierwszy jesteś gospodarz u siebie, po matce, bo stara się nie liczy... Dwie izby macie, a ja tyle tylko, co taką ciupkę...

GUSTAW

Tobie ino cudze zawsze oczy kole...Takie masz chciwe... Innym zazdrość – nie mnie... Też sobie wybrałeś...

KREUZ

(*pokazuje na prawą stronę sceny*) O! Stara idzie!... Ale się zalała znowu... Nie może do furtki trafić... (*wstaje, chce jej iść naprzeciw*) Ej, stara, stara... Do własnych drzwi nie może trafić... Chodź, pomogę ci...

GUSTAW

(*zatrzymuje go*) Nie mieszaj się do cudzych rzeczy... (*skoczył ku furtce, wpuścił matkę... szeptem i groźnie*) Oddaj flaszkę, matka...

MAŁGORZATA

(*chwieje się na nogach... Trzyma oburącz flaszkę, bełkocąc niezrozumiale*) Moja flaszka... Moja... Nie oddam ci, nie wolno mi, czy co?... Flaszka to przyjaciel, z nią sobie można dać radę, a z chłopem to nie wiadomo czy pogłaska, czy uderzy. A flaszka nic złego nie zrobi, ona dobra. Rozweseli, uraduje... (*przytyka ją do ust*)

GUSTAW

(*wepchnął matkę do izby*) Chlać możesz w izbie, nie na dworze!... No, żywo!... *Małgorzata, chwiejąc się, znika we drzwiach.*

KREUZ

To tak bywa, jak się baby mocno w garści nie trzyma... Twój ojciec był za słaby chłop!...

GUSTAW

(*porywczo*) Nie wścibiaj nosa między cudze drzwi... Twój interes?... Co?... Trzymaj język za zębami...

KREUZ

(*wstaje*) Nie ciskaj się... Nie ciskaj... bo twój przytnę.

JÓZEF

(*łagodząc ich*) Przecie mieliśmy grać... (*potrząsa kubkiem*)

GUSTAW

Ale porządnie kości mieszać...

JÓZEF

(*czyni to, rzuca kości na stół... Niemal lękliwie*) Osiemnaście!...

KREUZ

(*wściekły*) A to drań!... To mu idzie!... Diabła masz pod skórą, czy co?

JÓZEF

(*przestraszony, odrzuca kubek z kośćmi*) Nie będę więcej grał... Aż mi samemu straszno...

GUSTAW

(*śmiejąc się uderza go w ramię*) Czego się boisz, głupi?...

JÓZEF

Jak za dużo szczęścia do gry, to go mniej w życiu... Maryjka chora...

GUSTAW

Poprawi się... nic jej nie będzie... Rzucaj...

JÓZEF

(*potrząsa głową*) Nie... nie... (*przesądnie*) A może tam diabeł w tych kościach siedzi?

KREUZ

We dwóch to żadna gra... Grajże, przydadzą ci się fenigi... Korzystaj, jak ci idzie...

JÓZEF

Nie, nie chcę... Nie będę grał...

GUSTAW

(*wstając*) No, to sobie pójdę... (*wychodzi*)

KREUZ

Weź sobie swoje grosze – twoje są, wygrałeś.

JÓZEF

Nie liczy się... Masz tu swoje dwa fenigi...

KREUZ

Jaki honorowy... (*chowa pieniądze*) Jak gospodarski syn... Patrzcie go!...

JÓZEF

Jestem gospodarski syn. Mój ojciec swoją mają ziemię, niedużo, ale swoją i gospodarstwo.

KREUZ

Taak?... A czemuś po wojnie do domu nie wrócił, tylko tu został?...

JÓZEF

Ojciec stary, matka stara. Bracia są młodsze... Na wszystkich nie starczy...

KREUZ

To niechby na ciebie starczyło... Niech inni bracia robotę sobie znajdą...

JÓZEF

Za młode są... Gdzieżby tam u obcych mieli pracować.

KREUZ

A dlaczego do siebie, do swego nie wracasz – nie byłoby ci lepiej?

JÓZEF

Jak do siebie – to na własne. A tak, to lepiej nie wracać. (*po chwili*) U was tu ładnie... Niemce ładny kraj, czysty... Wszystko tu u was porządek – pierwsza rzecz. Ładny kraj... podoba mi się...

GŁOS MARII

(*z chałupy*) Józef!... Józef!...

JÓZEF

Stara się znowu rozbija... O!... Idę już, Maryjko!... (*wybiega*)

KREUZ

(*został sam, rzuca kości*) 13... 6... 12... (*wstrzymał rękę, zastanowił się*) Jak mniej będzie, niż 12 – to nie!... Jak więcej – to tak!... (*rzuca*) 13!... Ano – tak!

JÓZEF

(*wrócił z chałupy, siadł obok Kreuza, zasmucony*) Kiepska sprawa... Krew idzie... Całą miskę wylała...

KREUZ

(*z udanym współczuciem*) Bo tam powietrze złe w chałupie. Wilgoć... Trza podłogę drewnianą zrobić... Od gliny wilgoć idzie...

JÓZEF:

Skądże desek wezmę?... Nie mam desek...

KREUZ

Nie masz desek?... A otwórzże tylko oczy...

JÓZEF

(*oczy szeroko otworzył, nie rozumiejąc*) Nic nie widzę...

KREUZ

Durnyś... tak to nic nie zobaczysz... Trza rozum mieć... U Pelza za chałupą cała sterta desek leży... Okna z tamtej strony nie ma... Przyjdź w nocy i weź, ile ci potrzeba...

JÓZEF

(*przestraszony*) Ja mam kraść... nie... Lepiej niech gliniana będzie... Ja, kraść?...

KREUZ

(*urażony*) A któż ci to mówi, żebyś kradł?... Bogatemu Pelzowi nie ubędzie, jak będzie miał parę desek mniej.

JÓZEF

(*niedowierzając, podejrzliwie*) A czemu mi tak doradzasz?... Co ci z tego przyjdzie, że będę miał deski?...

KREUZ

Bom ci życzliwy... Przydadzą ci się – a może i dla mnie kilka zostanie, to sobie wezmę.

JÓZEF

Po co ci deski?...

KREUZ

U mnie też gliniana podłoga... jeszcze gorsza od waszej... Brud od tego i choroba... Te, Józik, co myślisz?... Sekwestrujmy, jak na wojnie... no!...

JÓZEF

A jak nas złapią?... Do lochu mnie wsadzą?... Nie... nie... nie zrobię tego!... A co by Maryjka beze mnie robiła?...

KREUZ

(*nachyla się nad nim*) To bez Marię tylko? A jak jej nie będzie?... To przynajmniej popilnujesz – ja sam wezmę, dobrze?

JÓZEF

(*roześmiał się*) A dlaczego ma jej nie być? Co?... Maryjka będzie...

KREUZ

Kto tam wie, może będzie – ale tam... (*pokazuje palcem na ziemię*)

JÓZEF

(*zerwał się*) Nie gadaj, w złą godzinę powiesz!... Grzech!...

KREUZ

Wielki tam grzech... (*klepie go po ramieniu*) A może jeszcze krewniakami będziemy... Nie masz się czego gniewać... Moja siostra Lotka to by cię wzięła... He, he!... To byśmy byli krewniakami...

KURTYNA

* * *

OBRAZ IV

Dekoracja z Obrazu II. Maria w łóżku. Obok niej na krześle siedzi Józef. Drzwi do sąsiedniej izby są otwarte.

JÓZEF

(*patrzy, milcząc, na Marię, jest zaniepokojony*) Co ci jest, Maryjko... Dlaczego nic nie gadasz?...

MARIA

(*zmienionym, słabym głosem*) Ciężko mi mówić...

JÓZEF

Co cię boli?... Może cię natrzeć... albo wody na piersi dać?...

MARIA

Nic... mnie... już... nie boli...

Milczenie.

JÓZEF

Chyba ci gorzej nie jest, Maryjko... Może po doktora pojechać do miasteczka... Doktór drogi... ale pojadę... Maryjko... Takaś zmieniona... Może lekarstwo dobre da...

MARIA

Lekarstwo niepotrzebne...

JÓZEF

(*uradowany*) Myślisz, że samo przejdzie, że ozdrowiejesz?... Wstaniesz?...

MARIA

Wstanę... ale do grobu... do trumny...

JÓZEF

(*wziął ją za rękę, gładzi czoło, wylękniony*) To nieprawda, Maryjko... Ozdrowiejesz, zobaczysz... Młoda jesteś przecież... Skąd do trumny...

MARIA

Dla śmierci wszystko jedno – młody, czy stary?... W piersiach mi się kotłuje... Mocowałam się ze śmiercią, a teraz ona ode mnie silniejsza...

JÓZEF

(*wylękniony*) Nie gadaj cięgiem o śmierci... Jakże to mnie samego chcesz ostawić... Maryjko...

MARIA

(*gładzi go ręką po twarzy*) Sama bym chciała jeszcze przy tobie pożyć... Tak bym chciała...

JÓZEF

Ano, uśmiechasz się... Maryjko... Już ci lepiej... Zobaczysz, będzie dobrze... Pieniądze zarobię, nową chałupę postawim...

MARIA

I ogródek z kwiatkami...

JÓZEF

I jabłonkę – jabłka czerwone będziem mieli, wielkie...

MARIA

Nie doczekam ja jabłek... ani kwiatków... Nie będzie mnie już... (*wybucha płaczem*)

JÓZEF

(*pochyla się nad nią, sam bliski płaczu*) Nie płacz, Maryjko, nie płacz... Gorzej ci będzie... nie płacz...

MARIA

(*wyciąga ręce przed siebie, z trudem*) Przynieś... tu... dziecko – przynieś!...

JÓZEF

Chcesz się z dzieciakiem pobawić?... Zaraz ci go dam... (*wychodzi. Po chwili przynosi w powijakach niemowlę, kładzie je na łóżku obok Marii*) Ładny chłopak... jak malowanie!... Obacz no...

MARIA

(*chce wziąć dziecko, braknie jej sił, opada*) Józek, Józek... tak mi straszno... tak mi żal... Co z nim... będzie, jak... ja stąd pójdę?... Matka go nie chce... Gustaw... też nie... A przecież to nie twoje... Cóż cię ono obchodzi...

JÓZEF

Chocia nie moje – będę dbał, jak o własne... Przeciem ci przysięgał, Maryjko... Pamiętasz?

MARIA

(*płacze nad dzieckiem*) Kto się nad tobą ulituje?... Kto przytuli... Jaki cię los czeka, sieroto?...

JÓZEF

(*z trudem powstrzymuje łzy, jest bezradny, złamany*) Zabiorę ci je do kołyski... Jeszcze ci gorzej będzie... od tego płakania... Maryjko... (*zabiera dziecko, wynosi do sąsiedniej izby*)

MARIA

(*unosi się na łóżku, wyciąga ręce, zduszony okrzyk*) Józek... (*opada, rzęzi chrapliwie i milknie*)

JÓZEF

(*wraca*) Poleż se teraz spokojnie... Odpocznij... (*zbliża się do łóżka*) Może uśniesz trocha?... (*spojrzał na nią, stanął skamieniały i ryknął naraz*) Jezus Maria! Jezus Maria!... (*biegnie – krzycząc*) Matka, matka!... Chodźcie tu... Maryjka... Maryjko... Odezwijże się ... Odezwij do mnie...

MAŁGORZATA

(*matka Marii, wchodzi, jest trochę podpita*) A cóż to tam za brewerie?... Mariechen, no, Mariechen... (*podchodzi do łóżka, bierze córkę za rękę, ręka opada...*) To już i po wszystkiem – koniec...

JÓZEF

(*krzyknął znów*) Maryjko... Maryjko...

MAŁGORZATA

Już cię nie usłyszy... Już nie usłyszy... Tak się biedaczyna nacierpiała, to może i lepiej, że już śmierć po nią przyszła... Całe noce kaszlała... ani spać nie można było... To już może i lepiej... że się męczyć przestała... I spokój będzie... Mariechen, Mariechen... Taka dziewczyna piękna była... (*pokazuje na drugą izbę*) Ale tego bękarta to mogłaby wziąć ze sobą... Co nam tu po nim?

JÓZEF

(*nie słysząc tego, co stara mówi, pada przed łóżkiem na kolana*) Jezusiczku najdroższy... Jezusie najsłodszy – toś mi tu umarła... Maryjko... Maryjko...

Ostawiłaś mnie samego, samego jednego... Cóż ja teraz pocznę bez ciebie?... Obudź się, obudź, Maryjko... Maryjko!... Chryste Panie, przywróć ją do życia... Mario, Królowo Niebieska... (*płacze, tłucze głową o kant łóżka*)

MAŁGORZATA

(*kładzie mu rękę na ramieniu, potrząsa nim*) Józef, no... a dałżebyś pokój... Co było – to było... Nie ma jej i nie wróci... Nie ruszaj jej, bo od niej choroba ucieka... Na ciebie przejdzie... Józef...

Józef oprzytomniał powoli, wstaje, opada na ławę, całym ciałem wstrząsa płacz niepowstrzymany.

MAŁGORZATA

Czego tak znowu beczysz?... Jak stara baba.... Chłop jesteś... Nie masz się czego zabijać... Józef...

JÓZEF

(*wstaje po pewnym czasie, ociera łzy*) Trza trumnę sporządzić...

MAŁGORZATA

(*zawiązuje szybko chustkę na głowie*) To i ja z tobą pójdę...

JÓZEF

A Maryjka?... (*podchodzi znów do łóżka*) Jakże tu sama ostanie?

MAŁGORZATA

Ja tu sama z nią nie zostanę... Ani w dzień, ani w nocy... Ja się umarłego boję strasznie... Ani chwili tu sama nie będę... (*podchodzi do łóżka, zarzuca na twarz Marii białe płótno, siłą wyciąga Józefa z ławy, przyciska się do niego całym ciałem*) Ja się boję umarłych... Józef... Józef... A jaki ty silny... mocny... chłop z ciebie...

JÓZEF

(*przy łóżku*) Maryjko moja, Maryjko!...

MAŁGORZATA

(*coraz natarczywiej przyciska się do niego*) Józef... Józef... Ja się będę bała sama w nocy spać... Ja się będę bała... A ty dobry chłop... Ja cię zawsze lubiłam... tak... Jak długo Maria żyła... toś był dla niej... ale teraz... Ja mam schowane pieniądze... tak... dla ciebie będą... Józef...

JÓZEF

(*otrząsa się*) Jezus Maria... Toście oszaleli, matko... (*żegna się znakiem krzyża kilka razy*) Co też wy mówicie... Grzech, największy grzech... Rany boskie... Co z wami jest?...

MAŁGORZATA

(*odrzucona przez niego nagle zmienia się, poczyna wymyślać mu jadowitym szeptem*) Ty Polaku zatracony... To ty taki... Ja cię jeszcze nauczę... Ja ci się odpłacę... widzisz go... Ruszaj po trumnę... no, żywo...

Józef na wpół obłąkanym wzrokiem, nic nie rozumiejąc, patrzy na starą, która nie może się uspokoić – wybiega szybko. Małgorzata stoi chwilę, wybiega również. Z sąsiedniej izby rozlega się płacz dziecka, coraz głośniejszy i żałośniejszy.

KURTYNA

* * *

OBRAZ V

Oberża wioskowa. Obszerna weranda, zastawiona stołami i ławkami. Ulica wiejska, z której parę schodków prowadzi na werandę. Przy jednym ze stołów siedzą: Kreuz, Kreischer i Gustaw.

KREUZ
Zagramy w co?
GUSTAW
W co?
KREUZ
W skata... (*klaszcze w ręce*) Gospodyni... dawać tu karty!...
GOSPODYNI
Czegoście chcieli?...
KREUZ
Głucha jesteście, Binderowa... Karty tu dawać...
BONDEROWA
Musicie trochę zaczekać... Zajęte teraz... (*chce odejść*)
KREUZ
(*zły, woła za nią*) A to ci gospoda.... Nie możecie sobie drugiej talii kart kupić?
KREISCHER
Nie ciskaj się... I tak bym nie grał...
GUSTAW
A cóż ty myślisz, że bez ciebie nie moglibyśmy grać?
KREUZ
(*do Kreischera, który wciąż ziewa*) A przestańże człeku ziewać, bo całe powietrze wypompujesz...
KREISCHER
(*ziewając*) Nie bój się, starczy go i dla ciebie... Och... jakie to życie nudne... Niech to szlag trafi...
KREUZ
Najlepsze lekarstwo na nudy – w karty zagrać...
KREISCHER
Co mi tam za lekarstwo – ryzykować pieniądze. Nie mam szczęścia do gry... Zagram, ale niech inny frycowe płaci.
KREUZ
Takiś chytry...
KREISCHER
Alboś ty inny – też tak samo robisz...
KREUZ
(*zaniepokojony*) Co chcesz powiedzieć?...
KREISCHER
Nie udawaj... dobrze wiesz, o co chodzi... Sprytnieś to wykombinował... z Józefem.
KREUZ
Czego się drzesz?... Moja to wina, że jest głupi, jak baran?... Któżby uwierzył, że będę trzymał język za zębami.

KREISCHER

Tak... to było sprytnie... Tyś deski skradł, a jego do paki wsadzili. Żeby się tylko nie namyślił i nie wyszczekał wszystkiego...

KREUZ

(*triumfująco*) Teraz, bratku – za późno... Może się sto razy zaklinać przed sądem – teraz mu sąd nie uwierzy.

KREISCHER

Nie wiadomo. W sądzie może wyśpiewać.

KREUZ

A jakże? Wcale do sądu nie będzie gadał... On by tam komu co zrobił, ten baran. Przecież to głupie, jak głąb. Drugiego takiego nie znajdzie... (*po chwili*) Byłby przecie tego nie zrobił z tym małym bękartem Mariechen... No nie?

GUSTAW

O czym gadasz, co? Gadaj wyraźnie.

KREUZ

Nie udawaj głupiego... Przecież wiesz, że ten pędrak nie jego – Józefa...

GUSTAW

(*bezczelnie*) A skąd ja mam wiedzieć... Pod łóżkiem nie leżałem...

KREUZ

No, no... Chłopak do ciebie podobny, jak ulał...

GUSTAW

(*bezczelnie*) A no, nic dziwnego, siostrzeniec rodzony... No to i co z tego?

KREUZ

(*cofając się*) Mnie tam wszystko jedno...

KREISCHER

(*śmieje się do rozpuku*) Co też ty mówisz... To ten bękart nie Józefa?... A to dobre!... Skąd wiesz?

KREUZ

Jak bym nie wiedział?... W jednej chałupie z nimi mieszkam... tyle czasu... Przecież wiem, kiedy Józef zaczął do Mariechen chodzić....

KREISCHER

Patrzcie ludzie... Dziewczyna do każdego leciała, a on cudzego bachora na siebie bierze. A to bałwan. Wodę ma chyba w głowie...

GUSTAW

A tak... przecież się tak mówi – „Wasserpolak"... To on jeden z takich...

KREUZ

Wasserpolaki to gdzie indziej – z innych stron.

GUSTAW

Ale zawsze Polak – z jednej mąki taki chleb.

Pauza.

KREUZ

(*chytrze*) Temu Józefowi toby się było udało, żeby nie ten Oswaldek Mariechen, bachor, on za wcześnie i niepotrzebnie na świat przyszedł.

GUSTAW

Albo to mało bachorów rodzi się co dzień?... Czy to każdy z nich potrzebny?...

KREUZ

Ten to ci już chyba najmniej... Ja bym tam wolał, żeby się był wcale nie narodził...

KREISCHER

(*zdziwiony*) A cóż on tobie zawadza?...

KREUZ

Mnie?... (*po chwili*) Ano... wziąłbym sobie Józefa na szwagra... Lotkę, moją siostrę, niech chłop tłucze do śmierci... Z dzieciakami nie znalazłaby innego. Józef w sam raz... Pracowity, jak wół... Jużem mu to nie raz mówił... Takiego wołu warto mieć w rodzinie, za wszystkich by harował... harował...

GUSTAW

A ty myślisz, że ja temu bękartowi rad jestem?

KREUZ

(*podstępnie*) A tobie co na tym zależy?...

GUSTAW

(*wymijająco*) Eee, wolałbym, żeby go nie było...

KREUZ

Masz chyba jakąś przyczynę... tyle tylko, że jej wypowiedzieć nie chcesz...

GUSTAW

Myślisz, że nie chcę... Ja nie mam żadnych tajemnic... Ja ci powiem, jak jest, czystą prawdę... Żeby tego bękarta nie było, toby ci stara jeszcze drugą izbę wynajęła... przecież od dawna chciałbyś ją wziąć... A jak miałaby trochę więcej groszy – toby ci ze spodni moich groszy nie kradła co dzień...

Milczenie.

KREUZ

(*patrzy badawczo na Gustawa, zaczyna mówić powoli, jak gdyby niechętnie, cedząc słowa*) Jak się jakie stworzenie pęta po świecie nie wiadomo po co – a innym zawadza – to się powinno właściwie...

KREISCHER

(*twarz mu się naraz zmieniła, nabrała jakiegoś zbrodniczego wyrazu... Nachyla się nad stołem, świszczącym szeptem*) Przysuńcie no tu głowy...

Trzy głowy, zbliżone do siebie, nachylają się nad stołem.

KREUZ

(*zduszonym głosem*) – ... to się właściwie powinno... odesłać je tam ... skąd przyszło...

GUSTAW

Tym bardziej, że nikomu nie jest potrzebne... Co to kogo może obchodzić... ani się kto upomni za nim...

Pauza.

KREISCHER

Jak to każdemu z was potrzebne.... i jednakowej jesteście myśli, to trza tylko pomyśleć, jak to zrobić...

KREUZ

(*niepewny*) Niby co?

KREISCHER

Przysuńcie tu łby... (*głowy są tak blisko, że twarz dotyka twarzy*) Mógłby który... pójść na ten przykład... kąpać się z małym...

GUSTAW

Kąpać?... Razem...

KREISCHER

Nie potrzebuje się znowu kąpać, może się umyć nad wodą – nie razem... Miejsce może być rozmokłe.... Mało tu miejsc takich... same trzęsawiska... Ja bym tam z wami też poszedł... niby wszyscy razem... a miejsce mokre... nad wodą...

KREUZ

A policja... Jakby się pytali?...

KREISCHER

Kto by się tam pytał o cudzego bękarta?... Bez matki, bez ojca...

GUSTAW

Ale, będą się troszczyć o niego... A czy policja troszczy się o to, z czego żyje?... To niech ich nie obchodzi – dlaczego zdechł...

Pauza.

KREUZ

A jak się wyda?...

KREISCHER

Przysuńcie łby!... (*z szyderczym, szatańskim, zduszonym śmiechem*) Jak się wyda... to pomyślą, że to pewnie ... Józef... He... he... he...

KREUZ

To go dopiero przymkną na zawsze... do śmierci...

GUSTAW

Może wcale do tego nie dojdzie... Kto by się tam o takiego dwuletniego bękarta upominał...

KREISCHER

A jakby nawet Józefa wzięli – puszczą go potem... Posiedzi, puszczą go... Najwyżej nałożą mu po tym zakutym łbie...

GUSTAW

A jak wyjdzie, to i jeszcze lepiej mu będzie... Nie będzie potrzebował za dzieciaka płacić... I tak mu ciężko, co miesiąc tyle pieniędzy...

KREUZ

Ja tak myślę, że to nawet dla Józefa byłoby zmiłowanie boskie... Chłop wolny... Dlaczego mu nie pomóc?

KREISCHER

(*niecierpliwie*) No – to kiedy?

KREUZ

Co ci się tak śpieszy?... Aż ci oczy błyszczą... jakbyś się w to wsmakował... Nawet, patrzcie, ziewać przestał... ha... ha...

GUSTAW

(*oprzytomniał trochę*) To trzeba sobie jeszcze dobrze przełożyć... To nie można tak łapu-capu... Przecież zawsze to boskie stworzenie...

BINDEROWA

(*otwiera nagle drzwi*) Macie tu karty!...

Wszyscy trzej przerażeni i zaskoczeni odsunęli raptownie zbliżone do siebie głowy.

GUSTAW

(*wstaje, wyciąga rękę po karty, z udaną obojętnością*) Dawać tu karty!... I podwójnego sznapsa na szczęście...

KREUZ

(*naśladując go*) I dla mnie także, pani Binder... Ale pełniutko!...

KREISCHER

(*wyciąga z kieszeni fajkę*) Ano, zapalimy sobie... (*po chwili*) Dawaj karty, Gustaw, ja zaczynam.

GUSTAW

Co ci na tym zależy?

KREISCHER

Bo ja tak robię... Albo szczęście, albo nieszczęście, wygrana albo przegrana... a wszystko w swojej garści trzymam... (*tasuje karty*)

Józef przechodzi przez ulicę, przed werandą. Wchodzi na stopnie oberży.

GUSTAW

Józef idzie...

KREUZ

No i co... I ciebie tu przyniosło?

JÓZEF

(*wchodzi, niezbyt śmiały*) Chciałem i ja coś przetrącić... kieliszek mocnej...

KREUZ

(*z udaną życzliwością*) Masz rację, siadaj tu znowu... Rzadko tu przecie bywasz...

JÓZEF

Skąd wziąć pieniędzy?... (*wzdycha ciężko*) Wszystko muszę na chłopaka łożyć... A to kupić tego, a to owego...

KREUZ

Ciężko ci, co?

JÓZEF

Zarobić ciężko – a wydać jeszcze trudniej...

GUSTAW

(*do Kreuza i Kreischera*) A co, nie mówiłem?...

JÓZEF

(*patrzy na nich*) Co mówiłeś...

KREUZ

Nie... to tam nic ważnego... Umiesz grać w karty?...

JÓZEF

(*uradowany*) Umiem... w niewoli się nauczyłem... Przedtem to tylko w sołdackie gry grywałem, w duraka... a teraz i w skata...

GUSTAW

No, to weź sobie karty...

JÓZEF

(*sięga po karty*) To chcecie ze mną grać?...

KREUZ

No tak... Ty wychodzisz ostatni...

Nagle ukazuje się głowa Pawła, wyłażącego zza ogrodzenia werandy. Nachyla się całym ciałem i przeskakuje przez płotek. Podchodzi do grających.

KREISCHER

To ty, Paweł?... A ty tu skąd się bierzesz?

PAWEŁ

Ja tu cały czas jestem... Tylko... za płotem... (*śmieje się porozumiewawczo*) Wszystko rozumiem!...

GUSTAW

Stul pysk, gamoniu... Za płotem... Co ty tam rozumiesz, łbie kapuściany!

PAWEŁ

Czego się ciskasz?... Patrzcie go!... Jeszcze się okaże, czyja to głowa kapuściana... Myślisz, żeś najmądrzejszy!... Oho!...

KURTYNA

* * *

OBRAZ VI

Duża, widna, czysto utrzymana izba. Na ścianie zegar. Na drugiej kalendarz. Na krawędzi łóżka siedzą Józef i wdowa Stoss, zdrowa, tęga kobieta około czterdziestu lat. Siedzą, obejmując się, ona na wpół rozebrana, on bez marynarki... Przez okno wpada światło księżyca...

STOSS

Dosyć już... dosyć... Ale z ciebie chłop!... Mocna bestia... Mój nieboszczyk przy tobie – to... (*pogardliwy ruch ręką*)

JÓZEF

Przecie był rzeźnik – a oni silne chłopy...

STOSS

(*drwiąco*) Ale, silny... ale przy wieprzach... Nożem to każdy potrafi być silny... (*przymila się do niego*) Ale ty... Ho, ho... Chłop jak się patrzy... Potrafisz...

JÓZEF

(*zadowolony*) Ano, tak przecie musi być... Po to Pan Bóg chłopom siłę dał... Tyle tylko tej radości na ziemi... że człek siłę ma...

STOSS

(*wstaje*) Poczekaj, puść mnie... Przyrządzę ci co do zjedzenia... (*wstaje, poprawia na sobie ubranie, zapala lampkę, stawia ją na stole, podchodzi do pieca*)

JÓZEF

(*wstaje, przeciąga się całym ciałem*) Wiesz, Anno, to i dobrze, że mogę do ciebie przyjść... to i dobrze... A i tobie dobrze ze mną, co?...

STOSSOWA

(*przechodząc poklepała go po głowie*) A tak... W samą porę przyszedłeś... przecież to już rok, jak bez chłopa jestem...

JÓZEF

(*uśmiechając się*) Toś się wygłodziła... ho... ho...

STOSSOWA

(*przy piecu*) Ba, żebyś tak mógł co noc przylecieć... albo i być tu całkiem...

JÓZEF

A dlaczego nie mogę?... Ja mogę... (*podchodzi do niej*)

STOSSOWA

A ludzie?... Mieliby dopiero co gadać... A czyś aby teraz dobrze uważał, nikt cię nie widział, jakeś tu szedł?...

JÓZEF

Zawsze przecie uważam... Wiem, że nie chcesz, żeby ludzie wiedzieli, że do ciebie... „sołdat" chodzi...

STOSSOWA

Brata tu mam, chce sołtysem zostać... Jakby się co o mnie dowiedział, toby mi kości połamał.

JÓZEF

(*drapie się w głowę, trochę zasmucony*) Ano tak... „sołdat" jestem... a i jeszcze Polak... obcy...

STOSSOWA

Żeby jeszcze było inaczej... żeby tyle o tobie nie gadali... No, może by inaczej było...

JÓZEF

Gadają?... O mnie? – Niby co??

STOSSOWA

Widzicie go... nie wiesz!... O tego Oswalda, małego bękarta Marii, co umarła...

JÓZEF

A cóż on tobie szkodzi?

STOSSOWA

Co mi szkodzi? ... W tej samej wiosce?...

JÓZEF

To go mogę do innej oddać.

STOSSOWA

Płacić musisz za niego wciąż... E tam... Z cudzym dzieckiem to żadne życie...

Pauza.

JÓZEF

Nie zrozumiałem tego całkiem... Co ci niby na chłopaku zależy?... Co ty masz do Oswalda?

STOSSOWA

(*ociągając się*) Co?... Ano nic wielkiego... Ale... żeby nie ten bękart... to kto wie... może bym tak i wyszła za ciebie... Chłop z ciebie dobry... silny... może bym i wyszła...

JÓZEF

(*uszczęśliwiony, zaskoczony*) Wyszłabyś. Za mnie... Anno... Abo to prawda?... Za mnie... „sołdata"... a i jeszcze obcego?... Z polskiej ziemi... Chciałabyś?... (*podnosi ją na rękach w górę, zakręcił parę razy*) Wyszłabyś... pobralibyśmy się... uczciwie... w kościele... Anno... Ho, ho...

STOSSOWA

(*ledwie mogła odsapnąć*) A ustatkujże się... Józefie... Całkiem oszalałeś!...

Józef siada na ławie, ociera pot z czoła.

STOSSOWA

Tak... powiedziałam, że... gdyby nie było tego bachora, to... kto wie...

JÓZEF

(*energicznie*) Zabiorę go od starej... Ona i tak na dziecko nie uważa. Rośnie w gnoju, jak prosiak... Oddam go do innej wsi, jakiej kobiecie dobrej... Nie będziesz go więcej widywała... A wtedy... pobierzemy się... fajne wesele... z muzyką, z drużbami... Jedzenia nagotujem całe gary... Wieprza zakłujem... I piwa, i wódki... I będę tu z tobą gospodarzył wespół... na swojem... Mój Boże... Ziemia i dom, i gospodarstwo... I już nie będę dla was obcy we wsi... Nie będą mnie wyzywać „Polak zawszony"... Wasz będę, wioskowy. Anno... jakieby życie było... Nowe, inne... swoje... Anno... którego dziś mamy na kalendarzu?... Popatrz no!...

STOSSOWA

(*przy kalendarzu*) 9-go listopada... A po co ci wiedzieć?...

JÓZEF

Bo to święto największe, dzisiejszy dzień dla mnie... Na całe życie już może... wielkie święto... A która godzina?... (*podchodzi do zegara*) Szósta... prosto stoją wskazówki... wyprostowały się... (*rozrzewniony, przejęty... Przeżegnał się kilka razy... Anna przyniosła mu jedzenie, postawiła na stole. Józef w najwyższym rozczuleniu, opada przy niej na kolana*) Już nic gadać nie mogę... mój Boże... Jezusie najsłodszy... Jezusie najsłodszy... Takie szczęście mnie czeka...

STOSSOWA

(*również rozrzewniona, obejmuje go*) Józef... dobry z ciebie chłop... i serce masz miękkie... dobre... A cóż ty, płaczesz?... Józef... no... (*nachyla się nad nim*)

KURTYNA

* * *

OBRAZ VII

Późny zmrok. Błotnista okolica, torfowisko, bajora. Przez scenę prowadzi wąska ścieżka, po której skradają się Kreuz, Kreischer i Gustaw. Pierwszy idzie Kreuz.

KREUZ

O... tu... krok jeden do wody...

GUSTAW

Czy aby dosyć tej wody?

KREISCHER

Wszystko jedno... tu trzęsawisko... w nim się utopi...

KREUZ

Eh... nie, jak woda nie będzie głęboka, to jeszcze wypłynie na wierzch.

KREISCHER

(*wyciąga spod płaszcza jakieś zawiniątko, przywiązuje do niego drewniany kloc*) Teraz będzie cięższy...

GUSTAW

(*wyciąga rękę*) Daj mi go...

KREISCHER

Nie...Ja...

KREUZ

Czegóżeś się tak uparł?

KREISCHER

(*podniósł zawiniątko go góry, rozkołysał je w ramionach*) Raz... dwa... trzy... (*rzucił do wody*)

Chlupnęło... Dłuższa chwila ciszy... Nasłuchują i wpatrują się.

KREUZ

Oo... poruszyło się... wypłynie!

GUSTAW

Durnie z nas... przecież kloc drewniany...

KREISCHER

Sameś dureń... A kamienia tam myślisz nie ma... Aż trzy...

KREUZ

(*patrzy w głąb sceny*) Tam woda głębsza.

GUSTAW

A jak się tam dostać... Sam się chcesz utopić?...

KREISCHER:

Wody jest dosyć... Ale trzeba było przedtem bachora... (*pokazuje ręką na szyję*)

GUSTAW

Zacząłby się drzeć...

KREUZ

Jakby się darł?... Przecie nie miałby powietrza.

KREISCHER

(*parokrotnie zaciska palce w powietrzu*) Toż to jak kurczak... gardziel cienka... Raz, dwa i po wszystkim...

KREUZ

Na co tu czekamy?

GUSTAW

Udusić – powiadasz – trza było... To już beze mnie chyba...

KREISCHER

Wielkie rzeczy... Anibyś wiedział, kiedy i jak... Jabym się migiem z nim załatwił bez ciebie.

GUSTAW

Z tobą by nie poszedł.

KREISCHER

A ręce od czego mam? Złapałbym za kark i tyle.

GUSTAW

Toby się darł... Cała wieś by się zbiegła...

KREISCHER

Zatkałbym mu gębę... Nie bój się... Oo... popatrz... (*wyciąga z kieszeni cukier*) Cukier... Pomamiłbym go... „Chodź no tu, Oswald, dostaniesz coś"... a jakby podszedł... Chyc!... (*skoczył. Udaje, że chwycił dziecko, zdusił i cisnął je do wody*) Raz, dwa i po wszystkim... (*śmieje się zduszonym, bestialskim śmiechem. Kreuz i Gustaw wtórują mu*)

KURTYNA

* * *

OBRAZ VIII

W chałupie Anny, wdowy Stoss. Anna siedzi przy stole, przy zapalonej lampie, szyje. Józef wchodzi, zatroskany. Przy drzwiach zatrzymał się.

JÓZEF

(*zduszonym głosem*) Dobry wieczór, Anno.

STOSSOWA

(*podnosi głowę, zdziwiona*) No... co się stało?... Chodźże bliżej.

Józef powoli zbliża się do niej.

STOSSOWA

(*odkłada szycie*) Co ci jest?... Cóżeś takie oczy zrobił?... Złego ducha spotkałeś, czy co?

JÓZEF

(*zdławionym głosem*) Oswalda nie ma...

STOSSOWA

(*zajęta przy szafie, wyjmuje butelkę i kieliszki*) Ale... niechby tak było... Nie bój się, wróci... nie zginie... Pewnie gdzie wlazł... (*nalewa do kieliszka*) Prosit, Józef...

JÓZEF

(*ciągle przygnębiony, wypija*) Prosit... rozgrzewa...

STOSSOWA

Zaraz ci będzie weselej... (*siada obok niego, obejmuje go ramieniem, gładzi go po głowie*) A co ci jest... Zimnym potem się oblałeś?... (*obciera rękę z obrzydzeniem*)

JÓZEF

(*głucho, patrząc przed siebie*) Już trzy godziny, jak Oswalda nie ma... Gdzieżby się dzieciak zapodział?.... Stara mi mówiła, od trzech godzin...

STOSSOWA

I to cię tak gryzie?... Zawsze mówiłam, że ci ten bachor miły... Pewnie był twój... bo jakżeby inaczej...

JÓZEF

Nie... nie był mój... Ale takie to było maleństwo... robak... Jak ja do domu przyszedłszy... uwiesi się koło rąk... okręca się z nim po izbie... a to robaczek śmieje się... Nikt się z nim przecie nie bawił... (*po chwili*) A może mu kto co złego zrobił?...

STOSSOWA

Co ci też do głowy przyszło?... Kto by się ta na takiego bachora łakomił?

JÓZEF

Tak mi markotno, Anno... Tak mnie w piersiach strach ściska... jak na wojnie... jak my w okopach leżeli... przed bitwą... O, tu ściska... sztyk błyszczy... pulomioty grają... a tu ściska...

STOSSOWA

Boisz się... Czego się masz bać, Józef... Tybyś się miał bać – taki chłop?...

JÓZEF

Sam nie wiem... Coś mnie ściska... tu...

STOSSOWA

Ktoby tam miał chłopakowi co zrobić... Może sam gdzie zabłądził... albo w wodę wlazł... w bagna...

JÓZEF

(*zerwał się*) W bagna?... Dlaczego w bagna?

STOSSOWA

Tak mi to przez myśl przeszło... (*po chwili*) A co mnie tam wreszcie ten bachor obchodzi... (*coraz gniewniejsza*) A tom sobie chłopa znalazła... patrzcie... Do mnie przyszedł – a nad swoim bękartem płacze... (*po chwili*) – Chcesz jeszcze sznapsa?...

JÓZEF

(*otrząsnął się*) Daj...

Anna nalewa mu.

JÓZEF

(*wypił duszkiem, otarł usta*) Pff.....

STOSSOWA

No... dobrze już, co?... (*przysunęła się bliżej, usiadła mu prawie na kolanach*)

JÓZEF

(*trochę podochocony*) Gorąca jesteś... a tłusta... (*obejmuje ją*) A smaczna... (*chwycił ją mocno i trzyma*) Trzymaj się mnie, Anna, mocno się trzymaj...

STOSSOWA

(*przytuliła się cała... jedną ręką skręca płomień lampy...*) Cicho... no... cicho...

KURTYNA

* * *

OBRAZ IX

Komóreczka, w której mieszka Józef. Przed nim stoi w mundurze Strażnik gminny.

JÓZEF

Przecież już panu strażnikowi trzeci raz mówię... ale mi pan strażnik nie chcą wierzyć... To już lepiej, niech pan strażnik do miasta wezmą... a tam panowie z sądu same zobaczą, że ja nawet takiej myśli nie miał, żeby małemu krzywdę robić...

STRAŻNIK

To sam prosisz, żeby cię aresztować?...

JÓZEF

Dlaczego aresztować?... Powiedziałem, żeby mnie pan strażnik do miasta dostawił.... to się w sądzie okaże... przecie ja niewinowaty... Cobym tam miał chłopakowi krzywdę robić?... Czepiał się rąk... jakem do domu wracał... Taki robak...

STRAŻNIK

(*cynicznie*) To bardzo pięknie, że sami chcecie do miasta jechać... do sądu... Chytry z was... Ale i tak bym was wziął – bo tu mam nakaz... (*wyciąga papier z kieszeni*) sprowadzenia was do sądu...

JÓZEF

No i dobrze... W sądzie okaże się... Panowie w sądzie niemieckim są mądre... (*naraz się zaniepokoił*) A może dziś nie będą mieli czasu... Trza będzie przez noc zostać...

STRAŻNIK

Musicie być przygotowanie na to, że zostaniecie dłużej... Przesłuchanie potrwa parę dni...

JÓZEF

Dobrze... A mogę koszulę czystą wziąć?... Jakżebym przed sądem w brudnej koszuli stanął?... Powiedzą: „Polak, w brudnej koszuli do sądu się stawił!"

STRAŻNIK

To weźcie ze sobą...

JÓZEF

(*nachyla się nad drewnianym kuferkiem, wyjmuje stamtąd koszulę, robi zawiniątko*) Szkoda... ta koszula, co ją mam od święta, już przybrudzona... Nie mam innej... Ale jeszcze czysta...

STRAŻNIK

No, żywo, żywo...

JÓZEF

(*nieco przerażony*) Już idę... (*wychodzi, odwrócił się w drzwiach*) W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego... (*wychodzą*)

KURTYNA

* * *

OBRAZ X

U wdowy Stoss. Wdowa układa jajka w koszyku. Pukanie do drzwi.

STOSSOWA

(*chowa szybko koszyk z jajkami*) Kogo Bóg prowadzi?...

HAKENOWA

(*sąsiadka, wchodzi*) Morgen...

STOSSOWA

Morgen...

Hakenowa stoi, przyglądając się badawczo.

STOSSOWA

(*opryskliwie*) Siądźcie...

HAKENOWA

(*siada na brzeżku ławy, uśmiechając się obłudnie*) Nie chcę wam przeszkadzać, Stossowa... Chciałam się zapytać... nie moglibyście mi tak z dziesięciu jaj pożyczyć, co?...

STOSSOWA

Skądżebym wzięła?... Nie mam ani jednego jajka w domu...

HAKENOWA

Nie macie... No?... A tyle kur u was na podwórzu... Chore są?... Nie niosą się?...

STOSSOWA

Może są leniwe... Chore nie są...

HAKENOWA

To trza nowego koguta sprawić...

Pauza.

STOSSOWA

Chcielibyście jeszcze czego?... Bo muszę właśnie wyjść...

HAKENOWA

(*powoli wstaje*) Nie chcę wam, Stossowa, przeszkadzać... (*chytrze*) A może macie co... bardzo pilnego do załatwienia?...

STOSSOWA

Nie... nic pilnego... Cobym tam mogła mieć takiego bardzo pilnego?...

HAKENOWA

Myślałam sobie, że może macie co pilnego... Że musicie jechać do miasta...

STOSSOWA

(*zła*) A po co miałabym do miasta?... Nic nie mam w mieście do robienia...

HAKENOWA

(*wciąż z chytrą miną, niby niewinnie*) Myślałam, że może... do sądu...

STOSSOWA

Do sądu?... A niby po co?...

HAKENOWA

Myślałam sobie, że może wedle Józefa...

STOSSOWA

(*rozgniewana*) A wam co też do głowy przyszło?... A co ja mam do Józefa?... Co mnie Józef obchodzi?...

HAKENOWA

Nie macie się o co gniewać, moja Stossowa... (*z obłudą*) Może i u was co ukradł... Bo kto morduje, ten i kradnie. A przecież tu czasem do was zachodził... Może co i ukradł...

STOSSOWA

(*nie panując nad sobą*) A kto to powiedział, że Józef do mnie chodzi, co?... Językami trzepią ludzie nie wiedzieć co... „Sołdat" tam jakiś... Przyszedł kiedy drzewa narąbać... to mu z litości jeść dałam... Okna mi na zimę opatrzył... płot naprawił... Tylem go tu widziała... A wy zaraz... „zachodził"... „Zachodził do was"...

HAKENOWA

A nie ukradł wam czego?...

STOSSOWA

Niechby spróbował... Dobrze mu na ręce patrzyłam, toć to „Polake"... „sołdat"...

HAKENOWA

To i dobrze, moja Stossowa... No i co wy na to wszystko?... Kto by to pomyślał, że ten sołdat dziecko utopi?

STOSSOWA

Czy to można wiedzieć, co w czyjej duszy siedzi?... Mało go tam zresztą znałam... Może i utopił... Kto go tam wie, tego „Polake"...

Pauza.

HAKENOWA

To już ja sobie pójdę...

STOSSOWA

(*bardzo grzecznie i pozornie życzliwie*) Przypomniałam sobie, moja Hakenowa, że mam tu jeszcze parę jajek... Chciałam je schować pod kurę... Mogę wam parę pożyczyć, jak wam potrzeba...

HAKENOWA

Jaja?... Nie macie przecież żadnych?...

STOSSOWA

Pod kury parę zostawiłam... Jak wam potrzeba...

HAKENOWA

Jakeście łaskawi... Znalazły się jaja... Jak możecie... to i owszem.

Stossowa odlicza z koszyka.

HAKENOWA

To i lepiej, moja Stossowa, że was ta cała sprawa z Józefem nie obchodzi... że go wcale nie znaliście...

STOSSOWA

Ja... skądże znowu?... Że też mogliście tak pomyśleć, moja Hakenowa... A co mi tam do Józefa... Polake... zawszony sołdat...

KURTYNA

* * *

OBRAZ XI

Cela więzienna. Na pryczy siedzi więzień Grund. Dozorca wprowadza do celi Józefa.

DOZORCA

(*do Grunda*) Będziecie tutaj do jutra razem... Jutro przeniesiemy go do innej celi...

(*wychodzi, zamyka celę*)

Józef stoi przy drzwiach. Grund patrzy na niego badawczo.

GRUND

Czego tam stoisz?... Nie bój się... nie ugryzę cię... Tu gryzą tylko szczury w nocy.

JÓZEF

Nie boję się szczurów... W okopach było ich dużo...

Pauza.

GRUND

Ta cię tu przyprowadzili... Co... musiałeś coś fajnego zrobić... że cię tu ze mną zamknęli.

JÓZEF

Nic nie zrobiłem... Nic... Ja niewinowaty... ale oni mówią, że dzieciaka utopiłem...

GRUND

No... przede mną nie masz co udawać... Gadaj, kogoś sprzątnął... dzieciaka?... Ja nie powiem...

JÓZEF

(*uśmiecha się*) Nikogom nie sprzątnął... Gdzieżbym tam mógł... Szczura w okopach zabić nie mogłem, choć mnie gryzł...

GRUND

A jakże?... Już ja ci uwierzę... Ty przecie z tych Polaków, co to podczas wojny na Mazurach niemieckie dzieci szablami kłuli... Ho, ho... ja was znam – Polaki zatracone...

JÓZEF

(*przeżegnał się*) Jezusie najświętszy... Co też wy gadacie... Polaki szablami kłuli dzieci?...

GRUND

Mało tu o tym w gazetach pisało?... Czarno na białym wypisane było... Na Śląsku co było? (*po chwili*) Zresztą... nie masz co ukrywać przede mną... nie lepszy jestem od ciebie...

JÓZEF

(*przerażony*) A cóżeś ty zrobił... człowieku?

GRUND

A no... mówię, jak ty – że nic... Ale oni wiedzą... siekierą... matkę zarąbałem...

JÓZEF

(*odsunął się od niego*) Matkę... mnie mówią, że dziecko...

GRUND

To jakby jedno i to samo... Matkę, albo dziecko... (*pauza)* To nie łatwo zapierać się cały czas... Czasem, w nocy... gniecie na piersiach, jak kamienie...(*pauza*) Dobrze, że cię tu do mnie posadzili... Ty mnie nie wydasz, ja ciebie nie wydam... Matkę moją zabiłem... siekierą! Dokuczała mi stara... wszystko w garści trzymała... Raz w nocy patrzę: śpi... szyja odkryta... głowa w poduszce... Chwyciłem siekierę... w górę! I trach! Raz tylko jękła, a potem nic... Ja zaś krzyknąłem: „Teraz wszystko moje! Już mi rozkazywać nie będziesz! Już nic nie powiesz! Nic a nic!" (*pauza – zmienionym tonem*) I przecież! Już mi nic nie powiedziała. No, powiedziałem ci wszystko. Jakby mi kamień z serca spadł. (*pauza*) Tyle czasu chciałem komu powiedzieć, a teraz zda mi się, jakbym mówił o kimś obcym... To ja miałem to zrobić! Nie,... nie – to był ktoś inny, zupełnie ktoś inny... (*milczy i długo wpatruje się w dal*) Gadaj... Przecie ci powiedziałem... teraz ty gadaj...

JÓZEF

Ja... prawdę ci mówię, kamrad, nicem nie zrobił... nic... nic...

GRUND

(*zerwał się, zły*) Toś ty taki?... Ja ci całą prawdę, a ty się zapierasz... Ty, ścierwo polskie... Polake varflucht... Schwein... Będzie tu niewinnego udawał... świętego... (*pluje mu pod nogi*) Tfuj... takiś ty... teraz mnie wydasz... ty...

JÓZEF

Nie gniewajcie się... Ja niewinowaty... nie mam co udawać... święty nie jestem... Dosyć mam na sumieniu... Kraść innym pomagawszy... tak... ślubowałem to, w kościele całą noc krzyżem leżeć będę... Nie jestem żaden święty – kłamałem

nieraz... alem nie zabił... niewinowaty jestem... Na mękę Chrystusa Pana naszego... niewinowaty jestem... ciebie nie wydam... Jak bratu rodzonemu zawierzyłeś... Nie wydam... kamerad... A tobie nic wyznać nie mogę... bom przecie niewinowaty...

KURTYNA

* * *

OBRAZ XII

Cela więzienna. Józef i Obrońca.

JÓZEF

Pan adwokat nie ma po co tyle sobie trudu zadawać... Przecie nic złego nie zrobiłem... To mi się nic stać nie może... Po co tyle mówić, przecież niewinowaty jestem...

OBROŃCA

Tak... Ale musicie udowodnić, gdzie żeście byli, kiedy zostało dokonane morderstwo. Gdzieście byli – co robili – dokładnie... co do minuty, bo inaczej na was padnie, żeście wy zabili... zrozumieliście mnie?...

JÓZEF

(*śmieje się*) Pan adwokat chyba żartuje... To jak ktoś nie może powiedzieć, co o szóstej takiego i takiego dnia robił – to już zaraz znaczy, że zabił?... Ja nie taki głupi, żeby w to uwierzyć...

OBROŃCA

Nie macie się z czego śmiać, człowieku... Tu nie ma śmiechu... O waszą głowę chodzi... rozumcie mnie wreszcie... o waszą szyję...

JÓZEF

(*instynktownie chwyta się za szyję*) O moją głowę?... O moją szyję?... Jak nie powiem, gdzie byłem o szóstej tego dnia? To nie może być, panie adwokacie... A czy pan adwokat pamięta, gdzie był... dwa miesiące temu... A może w domu, a może gdzie u znajomych... A bo to można pamiętać... zapomniawszy... dalibóg zapomniawszy...

OBROŃCA

Tu nie o to chodzi, żebyście wy sami pamiętali, gdzieście byli... tylko ktoś musi poświadczyć, że was tam widział, że był razem z wami... Jakaś osoba... mężczyzna, czy kobieta... Wszystko jedno...

JÓZEF

Czy mężczyzna, czy kobieta?... (*usiłuje sobie coś przypomnieć z wysiłkiem*)

OBROŃCA

(*sugerując mu*) Przypomnijcie sobie dobrze... no... Józefie... musicie skupić całą swoją uwagę... To była jakaś kobieta?... Byliście z nią... Józefie... musicie sobie przypomnieć... Powtarzam wam, tu chodzi o waszą głowę...

JÓZEF

(*znów się roześmiał*) Pan obrońca będzie się znów na mnie gniewał?... ale ja sobie nie mogę przypomnieć... Nie... żadna kobieta... nie... żadna...

OBROŃCA

(*zirytowany*) Zrozumcie, człowieku, że wszystkie pozory przemawiają za tym, że wy jesteście sprawcą... Mielibyście dosyć powodów, żeby się pozbyć Oswalda. Zwalniało was to od obowiązków płacenia na dziecko...

JÓZEF

(*oburzony*) Chrześcijanin przecie jestem, panie adwokacie, jakżebym rękę na dziecko niewinne podniósł?... Jakżeby?...

OBROŃCA

Już niejeden chrześcijanin był mordercą... to nic nie znaczy... Jeżeli nie potraficie udowodnić swojej niewinności, nikt wam nie uwierzy... Nikt... żaden sędzia...

JÓZEF

(*naiwnie*) Jakże to... przecie w germańskim sądzie mądrzy sędziowie, uczone... Przecie każdą rzecz poznają... Nie ma tego, coby nie wiedzieli... Toć zobaczą, żem niewinowaty...

OBROŃCA

Nie zapominajcie, że jesteście tutaj obcym człowiekiem... z innego kraju, którego tutaj nie lubią... Ta wasza śpiewająca mowa będzie ich drażnić, śmieszyć... Chętnie uwierzą, że taki tam obcy przybłęda, Polak, były żołnierz rosyjski, mógł być zdolny do popełnienia zbrodni... Musicie z podwójną siłą bronić się – dostarczyć dowodów.

JÓZEF

(*myśli nad czymś długo*) ... Przepraszam bardzo pana adwokata... ale przecie to nie może tak być... panowie z germańskiego sądu... Niechże same... mądrzy ludzie... przecie zaświadczą... żem niewinowaty... germańce mądre...

Pauza.

OBROŃCA

(*patrzy na niego z politowaniem*) Biedaczysko... biedaczysko... (*klepie go po ramieniu*) Józefie... (*z dużym współczuciem*) Pomyślcie o tym... przypomnijcie sobie... za wszelką cenę musicie sobie przypomnieć... inaczej będzie źle z wami... każdą chwilę przypomnijcie... Bo... uprzedzam was... sprawa jest bardzo zła...

Józef patrzy na niego szeroko rozwartymi, nie rozumiejącymi oczyma.

KURTYNA

* * *

OBRAZ XIII

W chałupie Beinigów. Wieczór. Skąpe światło małej lampki naftowej. Przy stole siedzi zebrana rodzina Beinigów. Małgorzata Beinig, Gustaw, Paweł i Henryk. Na stole leżą jakieś papiery. Wszyscy są podpici.

MAŁGORZATA

(*podaje Gustawowi papier*) Czytaj...

GUSTAW

(*czyta, sylabizuje*) W sprawie oskarżenia Józefa Jakubowskiego o popełnienie zbrodni zabójstwa... wezwana jest do stawienia się w dniu 15 marca o godzinie 10 z rana na rozprawę sądową w sądzie okręgowym, w sali nr 1, w charakterze świadka Małgorzata Beinig...

Małgorzata podaje mu drugi papier.

GUSTAW

... oskarżenia Józefa Jakubowskiego... zbrodni zabójstwa... stawienia się... w sądzie okręgowym... Gustaw Beinig.

Małgorzata podaje mu trzeci papier.

GUSTAW

To samo dla Pawła...

Małgorzata daje mu jeszcze jeden papier.

GUSTAW

O!... I Heinrichen też wezwany...

PAWEŁ

Co tam po nim?... Co taki pędrak może wiedzieć?

HENRYK

Ja chcę też do sądu... Ja chcę też...

Pauza.

MAŁGORZATA

No, a co powiesz ty, jak będą pytali... (*po chwili*) Powiecie... że Józef chłopaka wciąż bijał...

HENRYK

(*z kretyńską radością*) Bił... bił... Bił... bił... bił...

MAŁGORZATA

Powiecie, że go nieraz chciał zgładzić ze świata...

GUSTAW

(*zduszonym głosem*) A jak każą przysięgać?... Trza prawdę mówić...

MAŁGORZATA

A kto ci będzie mógł udowodnić, czy prawdę mówisz, czy nie?...

GUSTAW

Tak... ale tu wiesz, o co chodzi?...

PAWEŁ

(*pokazuje*) O... szyję... utną mu łeb...

Pauza.

MAŁGORZATA

Pilnuj swojej na karku... Albo tak... Słuchajcie... Ja tam nie wiem – kto zabił... nic nie wiem... Powiedzą, że Józef... Niech będzie, że Józef... Ja nic nie wiem... To nie nasza w tym głowa, niech się sąd kłopoce... A utną mu głowę, powiadasz?... To przecie mógł na wojnie zginąć... no nie? (*namyśla się, wszyscy siedzą, milcząc*) A niech mi który z was co dobrego o nim na sądzie powie... jednym słówkiem... na próg domu nie puszczę... jakem żywa... na próg nie puszczę...

KURTYNA

* * *

OBRAZ XIV

Sala sądowa. Stół sędziowski. Przysięgli. Z lewej ława oskarżonych, na niej Józef, przed nim Obrońca. Naprzeciw Prokurator. Sędziowie.

PRZEWODNICZĄCY

Więc oskarżony twierdzi, że nie może sobie przypomnieć, gdzie się znajdował w dniu popełnienia zbrodni, o godzinie szóstej wieczorem?

JÓZEF

Proszę Wysokiego Sądu... nie mogę pamiętać... to już cztery miesiące... jakżebym miał pamiętać...

PRZEWODNICZĄCY

(*surowo*) Niech się oskarżony nie wykręca. W śledztwie pierwiastkowym, sędziemu śledczemu odmawialiście wszelkich zeznań. A przecież sędzia śledczy badał was w kilka tygodni zaledwie po dokonanym morderstwie.

JÓZEF

Skąd ja, proszę Wysokiego Sądu, mogę wiedzieć, która godzina, kiedy... zegarka nie mam...

PRZEWODNICZĄCY

No... no... to są wykręty... Macie przecież oczy, tak, czy nie?... Wieżę kościelną widać z daleka i ze wszystkich stron. (*po chwili*) Więc oskarżony obstaje przy tym, że w dniu 9 listopada w ogóle małego Oswalda nie widział?... Tak... Ale wystawia sobie oskarżony jednocześnie świadectwo niezbyt dobrego ojca... Cały dzień dziecka nie widział...

JÓZEF

Dużo roboty cały dzień... daleko w polu...

PRZEWODNICZĄCY

No, ale tyle czasu, ażeby na dziecko okiem rzucić, toście mogli znaleźć... Tak przynajmniej wypadałoby kochającemu ojcu. To każdy z nas najlepiej rozumie.

JÓZEF

Jak pracowałem blisko, to chłopak przy mnie się bawił... Buciki mu kupiłem... pończoszki... Małgorzata – ta stara – wszystko dziecku zabierała... przepiła w szynku.

PRZEWODNICZĄCY

Niech się oskarżonemu nie zdaje, że potrafi się zrehabilitować, oskarżając innych. Sąd doskonale orientuje się, z kim ma do czynienia... Wtedy, przy tej kradzieży desek, również nie można było nic z was wydostać...

JÓZEF

(*słucha, zrozumiał tylko ostatnie słowa, uśmiecha się*) ... Przecież, proszę Wysokiego Sądu, wtedy ja też byłem niewinowaty... przecie desek nie ukradłem...

PRZEWODNICZĄCY

Widzę, że oskarżony z uporem trzyma się swojej metody... Uprzedzam, że ta skrytość może oskarżonemu jedynie zaszkodzić... (*pauza)* Więc jeżeli oskarżony zaprzecza, że zabił dziecko, proszę nam powiedzieć, jak sobie to wyobraża, co mogło być przyczyną utonięcia małego Oswalda...

JÓZEF

(*po chwili*) Chyba... zabłądził... wpadł do bagna... utonął...

PROKURATOR

(*bardzo podstępnie*) Taak?... A już po utonięciu wydostał się na brzeg i ... schował w króliczej klatce... Czy tak wyobraża to sobie oskarżony...

JÓZEF

(*uśmiecha się nieśmiało*) Ja nie rozumiem, co Wysoki Sąd do mnie mówi... Jabym poprosił, żeby przetłomaczył kto...

PRZEWODNICZĄCY

Żądanie wysuwane przez oskarżonego ma widocznie na celu przeciąganie i komplikowanie rozprawy sądowej... Oskarżony doskonale rozumie, co się do niego mówi – oczywiście wtedy, kiedy chce rozumieć. Odmawiam życzeniu podsądnego. (*po chwili, surowo i oficjalnie*) Jeżeli więc oskarżony twierdzi, że nie jest sprawcą śmierci Oswalda, z drugiej zaś strony jest oczywiste, że dziecko zginęło śmiercią gwałtowną i zadaną mu przez czyjeś zbrodnicze ręce, może oskarżony nam wyjaśni następujące pytanie: komu mogło zależeć na sprzątnięciu chłopca ze świata, na zgładzeniu go?...

JÓZEF

(*z trudem łowi szybką mowę przewodniczącego, po chwili*) Ja, proszę Wysokiego Sądu, nie jestem Judaszem... Ja nikogo wydawać nie będę... Judasz nie jestem... wydawać nie będę...

PRZEWODNICZĄCY

(*rozgniewany*) Co to za bzdury... plecie oskarżony... nie można go zrozumieć...

JÓZEF

Nie potrafię po niemiecku – proszę o tłomacza...

PRZEWODNICZĄCY

To nie o to chodzi... Oskarżony był w wojsku – tak samo, jak nie potrafi porządnie stać przed sądem – tak samo nie chce mówić przyzwoicie i rozumnie... Jakieś zdemoralizowane do gruntu indywiduum...

Józef zrywa się – wypręża się na baczność.

PRZEWODNICZĄCY

Więc zapytuję oskarżonego jeszcze raz: kto jego zdaniem mógł być sprawcą zbrodni na małym Oswaldzie?

JÓZEF

Ja nikogo nie chcę oskarżać... Pan Wysoki Sędzia sam przecie powiedział, żeby innych nie oskarżać...

PROKURATOR

(*zwraca się do przysięgłych*) Panowie przysięgli widzą, że oskarżony odmawia odpowiedzi na pytania, z uporem usiłuje się wyłgiwać... Tu szkoda wszelkiego wysiłku... Ten człowiek prawdy nie powie...

PRZEWODNICZĄCY

(*do Józefa*) Oskarżony może usiąść. (*do Woźnego*) Przywołać świadka Małgorzatę Beinig.

Małgorzata wchodzi, z wolna zbliża się do stołu.

PRZEWODNICZĄCY

Małgorzata Beinig... Jako krewna oskarżonego... teściowa... świadek ma prawo nie składać zeznań i nie odpowiadać na pytania. Może jednak świadczyć przeciwko oskarżonemu, jeżeli chce to uczynić...

MAŁGORZATA

Wysoki Sądzie... Ja powiedziałam już wszystko.

PRZEWODNICZĄCY

Nas to nie obchodzi, co świadek zeznawał wobec sędziego śledczego. Zapytuję świadka, czy chce składać przed sądem zeznania, czy nie?...

MAŁGORZATA

Powiedziałam już, że to huncwot i nic dobrego... Ten Polake.

PRZEWODNICZĄCY

(*łagodnie*) Widzę, że mnie nie rozumiecie... Proszę posłuchać, Beiningowa. Jeżeli chcecie w ogóle coś powiedzieć... czy coś dobrego, czy złego o oskarżonym, musicie złożyć zeznania. Więc zapytuję was, czy chcecie składać zeznania, czy nie?...

MAŁGORZATA

Ten zbój zabił chłopaka... Nieraz go bił... aż litość brała...

PRZEWODNICZĄCY

(*surowo*) Czy wy rozumiecie, co się do was mówi, czy nie?... Czy chcecie złożyć zeznania jako świadek?

MAŁGORZATA

Ady... (*wzbraniając się*) Nie...

PRZEWODNICZĄCY

W takim razie proszę stąd iść... (*do Woźnego*) Świadek Spiessowa.

Spiessowa wchodzi.

PRZEWODNICZĄCY

Świadek Marta Spiess, urodzona 5 listopada 1882 roku w Ollingen. Czy świadek jest krewną lub powinowatą oskarżonego?

SPIESSOWA

Skądże znowu... ani krewna, ani powinowata... Z tym... tu... Niech ręka boska broni.

PRZEWODNICZĄCY

Proszę podnieść prawą rękę do góry... tak... i powtarzać za mną... Przysięgam...

SPIESSOWA

Przysięgam...

Przewodniczący powtarza szybko formułę przysięgi. Spiessowa powtarza za nim. Józef podczas przysięgi nachyla się do Obrońcy, jest zaniepokojony, wreszcie mówi mu coś.

OBROŃCA

(*wstaje*) Czy oskarżony może złożyć dodatkowe, bardzo ważne oświadczenie?...

PROKURATOR

Ze zdumieniem stwierdzam, że pan obrońca nie zna kardynalnych zasad procedury sądowej.... w trakcie składania przysięgi innego świadka o żadnych dodatkowych wyjaśnieniach z czyjejkolwiek strony nie może być mowy... Zresztą oskarżony złożył już swoje zeznania.

OBROŃCA

Przysięga została już złożona... Oskarżony, jako obcy, nie znający języka i z trudem orientujący się, zasługuje na uwzględnienie swej prośby... w drodze wyjątku.

PRZEWODNICZĄCY

Pan obrońca doskonale powinien wiedzieć o tym, że sąd nie uznaje w obliczu prawa i procedury żadnych wyjątków... (*do Spiessowej*) Więc świadek znajdował się w dniu 9 listopada w drodze z Ollingen do Waldorf. Czy świadek spotkał kogoś w drodze?...

SPIESSOWA

(*namyśla się*) Spotkać nie spotkałam... Ale jakem około szóstej przechodziła koło bagniska, posłyszałam, jak jakieś dziecko krzyczy...

PRZEWODNICZĄCY

A skąd świadek wie, że to była szósta?

SPIESSOWA

Na zegarze kościelnym było za piętnaście minut szósta... Zanim doszłam do bagniska... to jakiś kilometr drogi... to chyba była akurat szósta...

PRZEWODNICZĄCY

I świadek dokładnie przypomina sobie, że to był krzyk dziecka. A może to było miauczenie kota, albo coś podobnego...

SPIESSOWA

Ja mam, proszę Wysokiego Sądu, sześcioro dzieci – to chyba umiem odróżnić płacz dziecka od kociego miauczenia...

PRZEWODNICZĄCY

No i co dalej... Usłyszała Spiessowa płacz dziecka i nie zainteresowała się tym, co to mogło być?...

SPIESSOWA

A po co się mam mieszać do nieswoich rzeczy?... Wiedziałam, że to nie moje – bo moje wszystkie w domu były...

PRZEWODNICZĄCY

(*do Obrońcy*) Czy obrona ma jakieś pytania?

Obrońca milczy.

PRZEWODNICZĄCY

(*do świadka*) Świadek może odejść. (*do Obrońcy*) Pan obrońca widzi więc, że krzyki jakiegoś dziecka, słyszane o godzinie szóstej przez świadka, mogły pochodzić jedynie od mordowanego Oswalda.

OBROŃCA

(*z oburzeniem*) Muszę zwrócić uwagę Wysokiego Sądu na to, że oprócz Oswalda i dzieci Spiessowej są przecież w okolicy i inne dzieci.

PROKURATOR

Trudno przypuścić, aby ten płacz mógł pochodzić od jakiegoś innego dziecka, które by się o tej godzinie znajdowało w tym samym miejscu... Przypuszczam, że jest to dla pana obrońcy dostatecznie jasne!

OBROŃCA

Postawienie tego twierdzenia jest z gruntu fałszywe. Nie chodzi bowiem o to, czy w tym samym czasie jakieś inne dziecko znajdowało się na tym miejscu. Krzyki i płacz, o którym jest obecnie mowa, są jedynymi dowodami, że Oswald właśnie o szóstej miał się znajdować, jak to twierdzi oskarżenie, w pobliżu bagniska i właśnie wtedy został zamordowany. Gdyby więc krzyki pochodziły od innego dziecka, w takim razie wynikałoby, że Oswald został zamordowany o innej porze dnia, co do której oskarżony mógłby dostarczyć dostatecznie przekonujące alibi...

PRZEWODNICZĄCY

To jest sofistyka, panie obrońco, nad którą sąd przechodzi do porządku dziennego...

OBROŃCA

Poza tym, pozwoliłem sobie wyrazić przypuszczenie, że dwuletnie dziecko, mordowane przez silnego człowieka, nie zdążyłoby wydać ani jednego dźwięku...

PROKURATOR

Pan obrońca wkracza w obce kompetencje... To pytanie podlega orzeczeniu rzeczoznawcy – lekarza, z którego zdaniem musi się sąd liczyć poważniej, aniżeli z przypuszczeniem pana obrońcy.

JÓZEF

(*nachyla się do Obrońcy*) Czy wolno mi powiedzieć?...

PRZEWODNICZĄCY

Więc o co chodzi oskarżonemu? Tylko krótko i wyraźnie...

JÓZEF

Proszę Wysokiego Sądu, ośmielam się prosić... ja chcę przysięgać... na krzyż...

PRZEWODNICZĄCY

Co też oskarżony wygaduje... Oskarżony nie ma żadnego prawa do przysięgi...

JÓZEF

(*błagalnie*) Ale ja bym najpokorniej prosił... Ja chcę przysięgać... na krzyż i rany Chrystusa... przysięgać...

PRZEWODNICZĄCY

(*zirytowany*) Czy oskarżony nie zrozumiał tego, co się do niego mówi?!

JÓZEF

(*z uporem, błagalnie*) Proszę Wysokiego Sądu... Jak będę przysięgał... to mi Wysoki Sąd uwierzy... Jak świadek przysięga, to mu się wierzy... to ja muszę podwójną przysięgę złożyć...

PRZEWODNICZĄCY

(*zniecierpliwiony*) Niech oskarżony siada...

JÓZEF

(*do Obrońcy*) Jakże to panie adwokacie?... To nam nie wolno przysięgać?...

Obrońca uspokaja go szeptem.

PRZEWODNICZĄCY

(*do Woźnego*) Świadek Wilhelm Kreuz.

Kreuz wchodzi, kłaniając się uniżenie sądowi.

Józef pochyla się cały na swojej ławie naprzód, wytęża uwagę.

PRZEWODNICZĄCY

(*szybko i niezrozumiale powtarza formułę przysięgi, którą za nim również szybko powtarza Kreuz*) Świadek dobrze zna oskarżonego? Co może o nim sądowi powiedzieć?... Jak zachowywał się oskarżony wobec dziecka i matki tego dziecka?...

KREUZ

Bardzo często bił je... widziałem na własne oczy... matkę i dziecko...

JÓZEF

(*zrywa się*) To nieprawda!... Ja bił... To nieprawda!!

PRZEWODNICZĄCY

(*do Józefa, bardzo surowo, krzycząc na niego*) Cóż to sobie oskarżony myśli?... Krzyczeć!... (*z podwójną uprzejmością do Kreuza*) Tak... proszę nam teraz odpowiedzieć na następujące pytanie: czy oskarżony od czasu śmierci matki dziecka nie czynił przed świadkiem jakichś wynurzeń o tym, że chętnie pozbyłby się kosztów związanych z utrzymaniem dziecka?...

KREUZ

Bardzo często, panie przewodniczący... Klął okropnie na to, że musi płacić na dziecko... Jeszcze obliczał, wiele mógłby sobie za te pieniądze wódki kupić...

JÓZEF

(*zrywa się ponownie*) Ja... ja ci to mówił?... Ja?!... Ty psiakrew sobacza!... Łżesz!...

PRZEWODNICZĄCY

(*bardzo surowo*) Uprzedzam po raz drugi oskarżonego, żeby zachowywał się spokojnie! Świadka nie wolno obrażać!... (*do Kreuza*) Więc świadek uważa oskarżonego za człowieka zdolnego do popełnienia zbrodni z powodów, o których tu mówił?...

KREUZ

(*z udanym przejęciem*) Gotów jestem... dać sobie odrąbać obie ręce, że tak!... Nikt inny, tylko on!...

KURTYNA

* * *

OBRAZ XV

Mała restauracyjka. Stół „stałych gości". Przy nim siedzą: Przewodniczący sądu, Prokurator, Sędzia, Nauczyciel i Aptekarz – przysięgli.

PROKURATOR

Co – już? Ale posiedzimy jeszcze... Zakładam uroczysty protest! ... Ober!... Rundę piwa...

PRZEWODNICZĄCY

Pan jest godzien podziwu, panie prokuratorze. Senior naszego sądownictwa, a młodszy od nas wszystkich... Zawsze wesoły, pełen wigoru, a przecież siedzimy od rana w sądzie... Dziś wieczorne posiedzenie...

PROKURATOR

Posiedzenia sądowe nie męczą mnie wcale, moi panowie!... Wprost przeciwnie. Jestem bardzo zadowolony... Nareszcie mamy dużą sprawę... Po tych wszystkich drobnych kradzieżach, ot, takich małomiasteczkowych sprawach... porządna, gruba sprawa... Przyzwoity proces. Wyrok ciężki. (*pokazuje na gardło*) To odświeża, moi panowie... Czuję przynajmniej, że mam krew w żyłach...

PRZEWODNICZĄCY

Muszę przyznać, że jestem szczerze zadowolony z tego, że w tej sprawie, gdzie chodzi o byłego żołnierza armii nieprzyjacielskiej i człowieka przynależnego do

wrogiego i nieprzyjaznego nam narodu, jesteśmy w możności działać – że tak powiem – wychowawczo. Rozprawa dla naszej rdzennej ludności, która zaniedbuje swoje obowiązki familijne, jest rozluźniona w poczuciu prawomyślności i bojaźni bożej, będzie miała znaczenie pedagogiczne. Przykład będzie odstraszający – mam nadzieję...

SĘDZIA

(*znudzonym głosem*) Przypuszczam, że jutro skończymy... W ogóle sprawa ciągnie się za długo... Uważam, że przesłuchiwanie świadków było całkowicie zbyteczne... Sprawa jest jasna: jedynym człowiekiem, któremu mogło zależeć na zgładzeniu dziecka, jest niezaprzeczalnie Jakubowski... To ładny gagatek...

APTEKARZ

(*śmiejąc się ironicznie*) Dziwię się obrońcy, że zadaje sobie tyle trudu... Bo co?... Chce nas przekonać, że jego klient jest niewinny? To tak, jak gdyby ktokolwiek chciał nam udowodnić, że... piwo... to smaczne piwsko jest zrobione z rzepu... Ha... ha...

PROKURATOR

Obrońca... pan obrońca... przecież to jasne, że chodzi mu tylko o to, aby mnie rozdrażnić i zirytować.

PRZEWODNICZĄCY

Moi panowie... Od tego jest obrońca, ażeby święcie wierzyć w niewinność swego klienta... Nie chodzi mu wcale o wymiar istotnej sprawiedliwości, tylko o własną reklamę lub kieszeń.

NAUCZYCIEL

Jestem głęboko przekonany, że wyrządzimy całej wiosce wielką przysługę, uwalniając ją od tego obcego i demoralizującego elementu... Od dawna miałem go na oku... To tak, jak gdyby po wielkiej burzy pozostała brudna, cuchnąca kałuża...

PROKURATOR

(*klepie go po ramieniu*) Bardzo dobre... bardzo dobre... po burzy cuchnąca kałuża... świetnie powiedziane... Pan ma talent literacki... świetnie wyrażona myśl...

APTEKARZ

Taka jedna kałuża może sprawić wrażenie powszechnego brudu i rzuca niesłuszne posądzenie na całą wieś...

SĘDZIA

Tak... to resztki tych wspomnień, tych pamiątek, które na początku wojny pozostawili nam ci barbarzyńcy... Do tego w ogóle nie powinno było się dopuścić... Na naszej ziemi ci półdzicy ludzie! Na naszej granicy wschodniej trzeba było utrzymać taką samą straż, jak nad Renem... Mamy tu na wschodnich kresach za dużo wrogiego i obcego elementu... Trzeba albo go wyplenić, albo zgnieść... Inwazja rosyjska na ziemi niemieckiej... to błąd nie do naprawienia...

NAUCZYCIEL

A zresztą... ten Jakubowski mógł sobie i powinien był wrócić do swojej zawszonej ojczyzny... Po co tu siedział?

PRZEWODNICZĄCY

Niewątpliwie byłoby lepiej dla niego... A z drugiej strony podobni ludzie umacniają się moralnie, przebywając w innym środowisku, na naszej ziemi.

APTEKARZ

Wątpię, żeby można było zastosować ten pogląd do tego Jakubowskiego... to urodzony zbrodniarz... Jestem pewien, że już przed wojną musiał coś nabroić... Może dlatego nie chciał wracać do siebie...

PROKURATOR

(*z naciskiem*) W całej tej sprawie istnieje, moi panowie, jedna okoliczność, która w ogóle czyni całą rozprawę i przewód sądowy zbytecznymi... Bo proszę, utopić małe dziecko, ukryć trupa w króliczej klatce – nie – moi panowie!... Rewolucja, którą przebyła nasza nieszczęsna ojczyzna, wpłynęła na naród niemiecki, ale czegoś podobnego nie byłby w stanie popełnić żaden Niemiec! To dzieło rąk człowieka na pół cywilizowanego, zdziczałego i pierwotnego, jakim jest ten Polak Jakubowski... Zapewniam was o tym!

KURTYNA

* * *

OBRAZ XVI

Sala sądowa z Obrazu XIV. Na ławie dla świadków siedzą: Kreuz, Kreischer, Gustaw, Paweł, Spiessowa. Między obecnymi na sali: Hakenowa, Pijany Parobczak, Dziewczęta z I Obrazu i właścicielka oberży.

PRZEWODNICZĄCY

A więc, Gustawie Beinig, i wam dał się we znaki oskarżony?

GUSTAW

Zły był dla mnie... zły był dla Oswalda, zły był dla Maryjki, zły był dla matki – dla wszystkich był zły...

PRZEWODNICZĄCY

(*do prokuratora*) Wszystkie zeznania dziwnie się zgadzają. (*do Gustawa*) A w dniu samego morderstwa, czy widzieliście oskarżonego?

GUSTAW

Widziałem o szóstej godzinie chłopa z zawiniątkiem, co szedł ku bagnu. Był akuratnie tyli, co Józef...

PRZEWODNICZĄCY

No to z pewnością nie był nikt inny...

GUSTAW

Musi... nikt inny!

JÓZEF

Gustawie! Gustawie!...

PRZEWODNICZĄCY

Świadek może odejść. (*do Woźnego*) Świadek Henryk Beinig.

Henryk zjawia się, z głupkowatym uśmiechem zbliża się do stołu, naraz przestraszył się, zakrywa twarz rękoma, płacze ze strachu i chce uciec. Woźny zastępuje mu drogę.

WOŹNY

Tu masz zostać.

PRZEWODNICZĄCY

(*z udaną dobrotliwością*) Podejdź bliżej... Nie bój się... Nazywasz się Henryk Beinig... Nic ci złego nikt tu nie zrobi... no...

HENRYK

(*płacze coraz głośniej*) A nie chcę... Ja się boję...

PRZEWODNICZĄCY

(*do Woźnego*) Przyprowadźcie go bliżej...

Woźny bierze Henryka za ramię i mimo jego oporu sprowadza go bliżej stołu sędziów.

PRZEWODNICZĄCY

(*do sędziów i przysięgłych*) Jestem za tym, aby świadka przesłuchać bez przysięgi... Świadek jest niedorozwinięty i nie zdaje sobie sprawy z ważności przysięgi... Czy strony zgadzają się? (*milczenie)* Uważam, że dobrocią uda się zapewne otrzymać od niego potrzebne zeznania... (*zmieniając ton*) Więc odpowiedz nam, Henryku, na niektóre pytania, dobrze?... Nie bój się... nikt ci nic złego nie zrobi... No... dziewiątego listopada twoja matka wyjechała... prawda, wyszła z domu?... Byłeś w domu sam z małym Oswaldem, czy tak?... Przed szóstą przyszedł jakiś człowiek i kazał ci wyjść z izby... Czy przypominasz sobie?... Odpowiedz, czy tak było?

HENRYK

Nie... żaden człowiek nie przychodził... Nie... Nie kazał wyjść... nie...

PRZEWODNICZĄCY

To nieprawda... Przypomnij sobie dobrze. Przecież my wiemy, że przyszedł ktoś... Popatrz no na salę... Może poznasz, kto to przyszedł... Podejdź bliżej i popatrz się...

HENRYK

(*ogląda się bojaźliwie po sali, patrzy na przysięgłych, sędziów, spostrzegł Józefa – twarz rozjaśnia mu się uśmiechem*) Józef... oo... Józef... (*mówi to głosem radosnym z nieoczekiwanego spotkania*)

PRZEWODNICZĄCY

(*do przysięgłych*) Sprawa jest jasna... Siadaj sobie, Henryku...

OBROŃCA

(*zrywa się*) Muszę zwrócić uwagę Wysokiego Sądu, że zeznania zidiociałego i małoletniego świadka nie mogą być brane pod uwagę.

PROKURATOR

Świadek nie jest bynajmniej idiotą... A zeznania świadków prostych i szczerych posiadają dla sądu właśnie najbardziej przekonującą siłę.

PRZEWODNICZĄCY

Pan obrońca będzie miał możność wyrazić później swoje poglądy na zeznania świadków. Przesłuchiwanie nie jest skończone. (*do Woźnego*) Świadek Redlich.

Redlich wchodzi.

PRZEWODNICZĄCY

(*odbiera przysięgę*) Czy oskarżony pozostawał na służbie u świadka? Co świadek może nam powiedzieć o oskarżonym?

REDLICH

Spełniał swoją robotę uczciwie.

PRZEWODNICZĄCY

Czy świadek nie zauważył, jak oskarżony traktował swego syna? Czy dobrze, czy też bił go?

REDLICH

Dziecko bawiło się na podwórku, a Józef rąbał drzewo.

PRZEWODNICZĄCY

Czy świadek nie zauważył kiedy, żeby oskarżony na przykład zamierzył się siekierą na chłopca? Albo rzucił w niego polanem?

REDLICH

(*zaprzecza kategorycznie*) Nie, nigdy... Przeciwnie... Józef dzieciaka pieścił... często brał go na ręce... Myślę, że go kochał...

PRZEWODNICZĄCY

(*z przekąsem*) Tak świadek myśli... no, a czy świadek nie zauważył, czy oskarżony w ogóle nie zdradzał jakichś złych skłonności... Czy nie ukradł kiedy czego świadkowi...

REDLICH

Nie, przeciwnie... Zgubiłem, proszę Wysokiego Sądu, kiedyś woreczek z pieniędzmi na drodze, czy też w stodole... Józef znalazł i odniósł mi... Nie chciał nawet wziąć znaleźnego...

PRZEWODNICZĄCY

Taak?... Świadek jest wolny.

PROKURATOR

Zeznania świadka Redlicha nie mogą posiadać dla sądu żadnego znaczenia. Świadek Redlich jest człowiekiem wyjątkowo miękkim, skłonnym do religijnego mistycyzmu i dziwactwa. Przypuszczam, że jego poglądy – nieco przesadne i egzaltowane – nie pozwoliłyby mu oskarżyć największego zbrodniarza...

PRZEWODNICZĄCY

Przewód sądowy ogłaszam za zamknięty... Głos ma pan prokurator...

PROKURATOR

(*wstaje, wygłasza swą krótką mowę głosem szorstkim, ucinającym wszelką dyskusję*) Przewód sądowy wykazał winę oskarżonego, nie nasuwając najmniejszej wątpliwości. Zeznania świadków jednomyślnie wskazują na niego, jako na sprawcę morderstwa, popełnionego na swym trzyletnim synu, Oswaldzie... Wnoszę o zastosowanie do oskarżonego Józefa Jakubowskiego, (*z naciskiem*) byłego jeńca armii rosyjskiej, pochodzenia polskiego, § 211...

PRZEWODNICZĄCY

Udzielam głosu panu obrońcy.

OBROŃCA

(*widocznie wstrząśnięty, z trudem panuje nad sobą*) Przewód sądowy obfituje w rażące braki i luki... Był urągowiskiem sprawiedliwości... Nie zostało dowiedzione ani to, że Oswald został zamordowany o godzinie szóstej wieczorem, ani to, że Jakubowski by sprawcą tego morderstwa. Panowie przysięgli! Wysoki Sądzie! Co się tyczy zeznań świadków, wydaje mi się, że należało traktować je z wielkimi zastrzeżeniami. Są przepełnione tak głęboką nienawiścią do oskarżonego, że najniewinniejsze jego słowa w ich oświetleniu stają się najczarniejszą zbrodnią. Niestety nie jesteśmy w stanie przejrzeć prawdziwych pobudek kierujących ich zeznaniami. Nawet przysięga nie daje pod tym względem gwarancji...

PROKURATOR

(*zrywa się*) Panie obrońco! Pana obowiązkiem jest obrona oskarżonego, a nie burzenie w sposób śmieszny i karygodny, zawsze jednak głównych, podstaw naszego sądownictwa.

OBROŃCA

Wysoki Sądzie! Panowie przysięgli! Zwracam się do was ze sprawą, która sama przez się powinna się rozumieć. Przystępujcie do wyroku nad oskarżonym tak, jakby on był waszym rodakiem. Nawet większej pobłażliwości od was żądam. Ten prosty i pobożny człowiek absolutnie nie mógł zrozumieć wszystkich zawikłań naszego prawodawstwa. Każdy wieśniak niemiecki zrozumiałby ważność alibi, oskarżonego przekonać o niej było absolutnym niepodobieństwem. Wysoki Sądzie! Panowie Przysięgli! Apeluję do waszego ludzkiego uczucia, do waszego uczucia sprawiedliwości. Wnoszę o całkowite uniewinnienie Józefa Jakubowskiego z zarzutu popełnienia przypisywanej mu zbrodni i wypuszczenie go na wolność.

JÓZEF

(*słucha z naprężeniem. Kiedy Obrońca skończył, jest rozpromieniony i szczerze mu dziękuje*) Dziękuję panu adwokatowi... Bóg zapłać i Panienka Najświętsza...

PRZEWODNICZĄCY

(*do Józefa*) Czy oskarżony ma coś do powiedzenia w ostatnim słowie?

JÓZEF

(*zakłopotany, onieśmielony*) Ja... proszę Wysokiego Sądu... ja jestem niewinien... nic nie mam do powiedzenia... Ja powiedziałem już... niewinowaty jestem... Bóg świadkiem...

PRZEWODNICZĄCY

(*wstaje*) Sąd udaje się na naradę...

Sędziowie, Prokurator, przysięgli wychodzą. Na ławach dla publiczności tworzą się grupki.

PIJANY PAROBEK

Ten może się pożegnać ze swoją głową!

II PAROBEK

Przecież mu nie dowiedli, że zabił?

HAKENOWA

A jakże „nie dowiedli"... Stossowa najlepiej wie, jak to było...

II PAROBEK

A wy skąd wiecie?

HAKENOWA

Byłam u niej, to wiem...

II PAROBEK

I co wam powiedziała?

HAKENOWA

Co powiedziała – to powiedziała. Że niby nie wiadomo, co w człowieku w środku siedzi – a chłopaka ten zbój mógł – powiada – zabić...

I DZIEWCZYNA

To Stossowa tak mówiła?... No, no... Przecie Józef ciągle do niej chodził...

II DZIEWCZYNA

Jeszcze jak... a najwięcej w nocy...

WOŹNY

Proszę wstać, sąd idzie...

Wchodzi sąd.

PRZEWODNICZĄCY

(*odczytując*) W imieniu Republiki Niemieckiej i narodu niemieckiego... W sprawie karnej przeciwko Józefowi Jakubowskiemu, byłemu jeńcowi armii nieprzyjacielskiej, pochodzenia polskiego, urodzonemu 8 września 1895 roku... (*czyta szybko i niewyraźnie*) oskarżonemu z § 211 ustawy karnej, sąd uznał, co następuje: Józefa Jakubowskiego na podstawie § 211 ustawy karnej skazać na karę śmierci, powództwo cywilne oddalić, kosztami sądowymi obciążyć oskarżonego. Wyrok niniejszy w imieniu prawa ogłaszam.

KURTYNA

* * *

OBRAZ XVII

Mały pokój obok sali sądowej. Józef i Obrońca. Długie milczenie. Obrońca wyciera czoło, pokryte gęstym potem, raz po raz przykłada rękę do czoła...

OBROŃCA

(*z trudem*) To okropne... Okropne... Robiłem wszystko, co było w mojej mocy... Cóż, kiedy sąd nie chciał, wyraźnie nie chciał dać się przekonać o tym, że jesteście niewinni... Uparł się...

JÓZEF

(*otrząsa się z odrętwienia*) Czy ja dobrze zrozumiałem?... Panie adwokacie... (*naraz krzyczy*) Przecie to nie może być... Niewinnego człowieka... niewinnego... na śmierć... na śmierć...

OBROŃCA

Nie rozpaczajcie... Jeszcze nie wszystko stracone... Wniosę o rewizję procesu... Ja sam nie dopuszczę do tego, bądźcie pewni... Ci ludzie muszą przyznać, że jesteście niewinni... Nie wolno zabijać niewinnego człowieka!...

JÓZEF

Zabijać!... Zabijać!... Więc jak to, jakże to?... Panie adwokacie!... (*pokazuje ręką na swoją szyję*) Tu... tu... przez szyję. Nie!... Toporem?... Mam mocny kark... topór nie przetnie... (*krzyczy rozpaczliwie*)

OBROŃCA

(*ociera czoło*) Uspokójcie się... Józefie... Uspokójcie się!... Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy... wniesiemy o rewizję.

JÓZEF

Rewizję... jaką rewizję?... Co to znaczy?... Ja nic nie brałem!...

OBROŃCA

Rewizję procesu... To znaczy, że jeszcze jeden sąd będzie... będą znowu sądzić... Wezwie się nowych świadków...

JÓZEF

(*zrywa się naraz, stojąc, jak żołnierz, na baczność*) Panie adwokacie!... Chcę złożyć nowe zeznanie!... Chcę złożyć zeznanie!

OBROŃCA

(*przerażony*) Co?... Zeznanie?... Teraz?... Po wyroku?...

JÓZEF

Pan adwokat dobrze wie, kto zabił małego Oswalda... Pan dobrze wie...

OBROŃCA

Człowieku! Teraz mi to mówicie... Po wyroku?... Rozum postradaliście... Teraz?...

JÓZEF

Możem zwarjował... Może?... Ale nie jestem Judaszem... Nie byłem nim. Nikogo nie chciałem zdradzić... Przecież i on ma dzieci... Nie chciałem...

OBROŃCA

(*przerywa mu*) Wolałeś człowieku własny kark oddać pod topór?... Przecież to niemożliwe... Zastanówże się...

JÓZEF

Wiem, co mówię... Kreuz przyszedł do mnie... wszystko mi opowiedział... Obiecałem, że będę milczał, że go nie wydam. Ale te psie krwie wszystko na mnie zwalili... Na mnie obcego... Polską świnią jestem, mówili... Ale ja teraz powiem, wszystko powiem... Sędzia mnie nie uwierzył, mnie nie!... Mnie nie, bom obcy... nietutejszy!...

OBROŃCA

(*powoli przychodzi do siebie*) Człowieku!... Czy wy nie rozumiecie, coście zrobili, milcząc na rozprawie, nie chcąc się bronić, odmawiając zeznań?... Sami się zgubiliście!...

JÓZEF

Ja myślałem sobie, że jak człowiek jest niewinny, to mu przecie nie mogą nic zrobić... A teraz powiem wszystko, bom przecież niewinien, niewinien, niewinien...

OBROŃCA

Zgubiła was własna głupota!...

JÓZEF

Głupi jestem, tak, głupi... Nie chciałem ich zdradzić... Judaszem nie jestem... Nie!

OBROŃCA

Przecież to zwariować można z takim człowiekiem... Na sprawie nie chce słowa w swojej obronie powiedzieć... a teraz, po wyroku... Trzeba było wcześniej o tym myśleć...

JÓZEF

Zdrada jest zdradą.... My nie tacy... Nigdy nie zdradzałem... Nigdy... przecież powinni byli mi uwierzyć... Prawdę mówiłem... Jak na świętej spowiedzi...

OBROŃCA

Nie rozumieli was...

JÓZEF

I ja ich nie rozumiałem... Prosiłem, żeby tłomaczy dali... Ja po niemiecku mało rozumiem... Panie adwokacie... przecież pan sam widzi, że ja niewinny...

OBROŃCA

(*krzyczy na niego*) Głupcze! Głupcze! Zgubiłeś sam siebie... Po coś milczał... Czemuś nic nie mówił?...

JÓZEF

Ja nie wiedziałem... ja wierzyłem... Przecież sędziowie są ludzie... Dlaczego mnie jak psa odpędzili?... Jak psa... cudzego psa...

OBROŃCA

Głupcze! Głupcze!...

JÓZEF

Ja przepraszam... nie wiedziałem... wierzyłem... Panie obrońco!...

Obrońca czyni rozpaczliwy i beznadziejny ruch ręką.

KURTYNA

* * *

OBRAZ XVIII

Cela więzienna. Przez zakratowane okienko widać niewielki skrawek nieba, świeżą zieloność drzew. Józef stoi odwrócony plecami do widowni przy okienku, drzwi z lewej otwierają się, wchodzi dozorca więzienny Recht z jedzeniem. Józef stoi nieporuszony.

DOZORCA

(*z wyraźną życzliwością*) Józefie! Macie tu jedzenie...

JÓZEF

(*wciąż nieruchomy*) Dziękuję...

Pauza.

DOZORCA

(*stoi przy stoliku*) Zbliżcie się... wystygnie...

JÓZEF

Nie szkodzi... Dziękuję, panie dozorco...

DOZORCA

(*strofując go dobrotliwie*) Wczoraj też nie tknęliście jedzenia.... Jak nie będziecie jedli, opadniecie całkiem z siły.

JÓZEF

(*zbliża się do niego*) Nie byłem głodny... Dziękuję wam.

DOZORCA

(*podnosi pokrywę naczynia*) Jedzcie... Od jedzenia raźniej się wam zrobi...

JÓZEF

Dziękuję wam... dobrzyście... (*wyjmuje z szuflady cynową łyżkę, zaczyna jeść powoli, ociągając się i wzdychając niekiedy*)

DOZORCA

Ano... widzicie, trza ino zacząć... (*odwraca się, idąc ku drzwiom*)

JÓZEF

(*zrywa się*) Panie dozorco... panie dozorco... chciałem się zapytać... o coś zapytać...

DOZORCA

Mówcie, o co chodzi.

JÓZEF

Słyszałem dzisiaj dużo chodzenia po korytarzu... bardzo dużo chodzenia... Co to było?... Czy kogo wypuszczali?...

DOZORCA

Dziś był dzień odwiedzin. Krewni przychodzili do więźniów.

Pauza.

JÓZEF

Piękny dziś dzień... wiosenny... powietrze takie czyste... Czy do wszystkich przychodzili krewni?...

DOZORCA

Prawie do wszystkich...

Józef milczy, opuszcza głowę na piersi, ciężko wzdycha.

DOZORCA

(*przepraszając go*) Bo to prawie sami miejscowi... każdy z nich ma prawie tutaj jakąś rodzinę...

JÓZEF

(*nie podnosząc głowy*) Tylko ja jeden tu obcy... z daleka... z innego kraju... Prawda?...

DOZORCA

A tak... tylko wy. Jedźcież... wystygnie wam jedzenie... (*tuż przy drzwiach*)

JÓZEF

(*podbiega go niego*) Panie dozorco, mój panie dozorco!... A czy kobietom wolno tu przychodzić?

DOZORCA

Jak są krewne, to wolno...

JÓZEF

A innym nie wolno?...

DOZORCA

Chyba, że sama się poda za narzeczoną... Dosyć tego gadania... (*wychodzi, zamykając za sobą drzwi*)

JÓZEF

Sama się poda... sama... musi się sama podać za narzeczoną...(*nagle zerwał się, skoczył ku drzwiom, wali w nie pięściami*) Panie dozorco... panie dozorco!...

DOZORCA

(*otwiera drzwi, staje w nich, surowym głosem*) Czyżeś zwariował? Czego chcesz?

JÓZEF

Panie dozorco... panie dozorco... (*rzuca się przed nim na kolana*) Pozwólcie mi wyjść... pozwólcie... Tylko się przelecę po podwórzu...

DOZORCA

Byłeś już dzisiaj na spacerze...

JÓZEF

(*krzyczy*) Już nie mogę wytrzymać... Taki dzień... słońce... puśćcie mnie... ino się przelecę... przecież ja tu zginę na nic... Będę jutro cały dzień siedział... trzy dni będę siedział... trzy dni będę jadł... (*całuje dozorcę po rękach*) Puśćcie mnie... przecież ja jestem niewinny... przecież sami wiecie, żem niewinny...

DOZORCA

(*wstrząśnięty*) Cóżeście znowu wymyślili? Znacie porządki więzienne... Spacerować wolno tylko raz dziennie... Nie mogę dla was robić wyjątków... to trudno... choćbym chciał... (*podnosi głos umyślnie*) Krzyczeć w celi nie wolno! Musi być spokój! (*znów dobrotliwie*) Uspokójcie się, Józefie, cóż ja wam na to poradzę?... (*wychodzi, zamyka drzwi*)

JÓZEF

(*patrzy osłupiały na zamknięte drzwi, naraz zaczyna wyć głośno, przeciągle, jak zranione zwierzę – odskoczył od drzwi i całym rozmachem ciała rzuca się z nachyloną głową w drzwi – wyje przy tym rozdzierającym głosem*) Puśćcie mnie... puśćcie mnie... psiekrwie... szwaby... puśćcie mnie...

KURTYNA

* * *

OBRAZ XIX

Cela. Noc. Józef na pryczy, pogrążony w głębokim śnie. Wchodzi Dozorca Recht, staje nad śpiącym więźniem.

RECHT

(*szeptem*) Śpi... ani się poruszy... Już myślałem, że sobie co zrobił... Ano, śpij dalej, nieboraku... Niewiele ci tego snu zostało... Inny przyjdzie sen... twardszy... wieczny... (*wychodzi*)

Do celi spływa zjawa starej kobiety w chłopskim stroju. Cela rozwidnia się mistycznym światłem. Józef poruszył się niespokojnie we śnie.

JÓZEF

(*we śnie*) Matuś!...

MATKA

Syneczku!...

JÓZEF

(*skarżąc się*) Takem cię przywoływał, matuś, z wieczora...

MATKA

Posłyszałam... poczułam syneczku, twoje wołanie...

JÓZEF

Ostańcie tu ze mną, matuś... ostańcie... Tu ludzie złe... zimne... oczy mają złe, serca z kamienia...

MATKA

Oczym sobie wypłakała o ciebie, syneczku...

JÓZEF

(*miota się we śnie*) Matuś jedyna... nicem złego nie zrobił... zawierzcie mi... nikogom nie skrzywdził...

MATKA

Sędziowie z Wysokiego Sądu przecie nie zawierzyli... aże do nas, do wioski naszej, przyszło żeś dzieciątko zagubił... Wytykają nas... i ojca, i brata... i mnie, matkę starą...

JÓZEF

Ojcze... braciszku... matko... (*płacze*) Nicem złego nie zrobił... Niewinowaty jestem, matuś... Na mękę Chrystusa powiadam, niewinowaty...

MATKA:

Jakże ci zawierzyć, kiedy żadnego nie masz na swoją niewinowatość... To ci i Sąd Wysoki nie zawierzył...

Pauza.

JÓZEF

(*z boleścią – bezradnie*) Jakoż mam dowieść, żem niewinowaty... jakoż?

MATKA

Matki swojej nie okłamuj... Matce, synaczku, prawdę całą zawierz... Przecie możesz... przecie możesz...

Pauza.

JÓZEF

To wszystko wiecie?...

MATKA

Wszystko, syneczku...

JÓZEF

(*westchnął z ulgą*) To wiecie, matuś, żem na tę porę u Anny był... żem chłopaka do innej wsi jeno oddać chciał...

MATKA

Wszystko wiem... wszystko, syneczku...

JÓZEF

Żenić się z Anną miałem... Przyobiecałem, że ludziom nic gadać nie będę... przysiągłem... Ciężko matuś było, bez kobiety żyć... Związałem się z Anną... Dobra, porządna kobieta... Jakże ją zdradzić miałem? Przecie chciała za mnie wyjść... Dom swój miała, gospodarstwo i grunt... moje to miało być... Jakże było przed sądem gadać... I żal... i wstyd...

MATKA

(*gniewnie*) A teraz suka na ciebie.... z tamtymi... Ani się pokaże...

JÓZEF

Nie gniewajcie się na nią, matuś... Ona tu przyjdzie... przyjdzie... Wołam ją cięgiem: „Anna... Anna"... Ona przyjdzie i sama całą prawdę powie...

MATKA

A jak nie przyjdzie?...

JÓZEF

(*głucho*) To już chyba trza będzie umierać... Matuś, wiecie, żem nic złego nie zrobił... Jakże mi ją wydać przed sądem?...

MATKA

O niej myślisz, nie o matce... To już mnie i obaczyć nie chcesz... ani ojca starego... ani brata... Ino po śmierci, w niebie... a jakże mi tam będzie, matce takiego, co mu głowę ucięli... Nie puszczą cię do mnie...

JÓZEF

Puszczą, matuś, bom jak Chrystus cierpiał niewinny...

MATKA

Zły z ciebie syn, zły... o matce przepomniał... o ojcu...

JÓZEF

Toście mi matko krzywi? Gniewni?...

Matka milczy... Józef zrywa się na pryczy, wyciąga przed siebie ramiona, płacze, krzyczy.

JÓZEF

Nie odchodźcie matuś ode mnie... nie ostawiajcie mnie tu samego... matuś...

MATKA

(*surowa i nieubłagana*) O matce, o ojcu pamiętaj...

Postać znikła. Cela pogrąża się znów w ciemnościach.

JÓZEF

(*krzyczy coraz głośniej, obłędnie*) Matuś... matuś...

RECHT

(*z hałasem otwiera drzwi, wchodzi*) Zwariował?... (*podchodzi do pryczy, tarmosi śpiącego, który jeszcze jęczy i miota się*)

JÓZEF

(*obudził się, nieprzytomny, ogląda się, przeciera oczy – uprzytomnił sobie, że to był sen... płacze jak dziecko, wzywa)* Matuś... matuś...

RECHT

(*patrzy na niego ze wzruszeniem – kładzie mu rękę na ramieniu*) Przyśniło ci się coś...

JÓZEF

Przyśniło... przyśniło...

KURTYNA

* * *

OBRAZ XX

Cela więzienna. Józef i Obrońca.

OBROŃCA

Cóż począć... wszystko na próżno. Nie chciałem wam dotąd mówić, ale wreszcie muszę... Musicie o tym wiedzieć... Skargę odrzucono... odrzucono też i ostatnią prośbę o łaskę...

JÓZEF

Jaką łaskę?... Przecie nie potrzebuję niczyjej łaski... przecie niewinny jestem... Jaką łaskę?...

OBROŃCA

(*kładzie mu rękę na ramieniu*) Józefie... posłuchajcie... Nic już nam nie pozostało. Wnosiliśmy skargę na wyrok, nie przyjęto jej... Prosiłem o ułaskawienie – też nie. Musicie się przygotować... na karę śmierci...

JÓZEF

(*zerwał się*) Śmierci?... Ja?... Śmierci?... Przecież mnie nie zabiją?... Za co?... (*krzyczy*) Niewinowaty jestem... Za co?...

OBROŃCA

Zapadł wyrok kary śmierci.

JÓZEF

Za co mnie karają?... Za co?... Na śmierć?... Nie dam się!... Nie dam się żywy... bom niewinny!... Panie najdroższy... panie adwokacie, przecie pan wie, żem nie zabił... nie mordował!... ni nie palił!... Nie zabijał... Nie dam się!... Będę bił, gryzł... nie dam się... Silny jestem, nie dam się!...

OBROŃCA

Uspokójcie się Józefie... Bądźcie rozsądni... Nic wam to nie pomoże... Musicie zdobyć się na odwagę... Byliście żołnierzem. Patrzyliście śmierci w oczy. To też bitwa... ostatnia... śmiertelna... Wieluż to z waszych towarzyszy zginęło... Trudno... trudno...

JÓZEF:

Zginęło... tak... ale nie pod toporem... Kula serce przebiła, czy nogi urwało... ale z głową do grobu kładli...

OBROŃCA

To wszystko jedno... wszystko jedno, człowieku... Tamci dłużej cierpieli... To chwila jedna... Wszyscy umrzemy... Nic innego nie pozostaje... Trzeba się z tym pogodzić...

Chwila milczenia. Obrońca milczy. Józefowi opadła głowa na piersi, ciężko dyszy.

OBROŃCA

Zadanie moje spełniłem do końca, drogi Józefie. Moje miejsce zajmie teraz ksiądz – pocieszy was i uspokoi... (*ściska rękę bezwładnie siedzącemu, chce odejść*)

JÓZEF

(*zatrzymuje go*) To pan adwokat nie chce mnie już więcej bronić...

OBROŃCA

Nie mogę już, niestety, nic więcej dla was zrobić... Niech wam Bóg dopomoże... (*szybko wychodzi*)

JÓZEF

(*został sam. Patrzy dokoła. Nagle dostaje ataku szału*) Nie chcę umierać... nie chcę... puśćcie mnie!... (*wali głową mur, chwyta zębami kraty*) Mocne kraty... przegryzę was... (*krew trysnęła*) Krew... krew... z mojego karku jutro popłynie... (*ściska swą szyję mocno palcami*) Nie będę czuł?... Nie będę?... A już czuję... Matuś... matuś... ratuj mnie... Jezusie najsłodszy, ratuj mnie... Panno Najświętsza, ratuj mnie...

Otwierają się drzwi celi i wchodzi Ksiądz. Józef rzuca się ku niemu, pada na kolana obejmuje go za nogi, płacze.

KSIĄDZ

Synu mój... synu...

JÓZEF

(*tuli swą głowę*) Ratujcie mnie, ojcze dobrodzieju... ratujcie mnie... ratujcie!... (*płacze, uspokaja się nieco, jak gdyby powierzał tajemnicę*) Dziś w nocy matuś przyszli do mnie... matuś przyszli...

KSIĄDZ

(*ze łzami w głosie*) Jutro otworzą się przed tobą, synu, wrota niebieskie...

JÓZEF:

Jutro... nie... nie!... Księże dobrodzieju, ojczulku kochany... Jutro – nie! Przecie ja nie mogę... jutro... zabiją!... Za co?? Przecie nie mogą...

KSIĄDZ

Ukorz się synu przed wolą Pana naszego, Twórcy jedynego...

JÓZEF

(*na kolanach, czołga się*) Bóg tego nie chce... nieprawda!... Nie może chcieć śmierci niewinnego... Nie może!

KSIĄDZ

W obliczu śmierci, w godzinie ostatecznej, synu, wyznaj prawdę szczerą, nie tając nic przed ojcem duchownym...

JÓZEF

(*błagalnie, usiłując go przekonać*) Niewinny jestem, księże dobrodzieju... niewinny. Na matkę, co tu przyszła do mnie w nocy, zaklinam się... niewinnym... – na mękę Chrystusa, na krzyż i mękę!... Niewinny jestem...

KSIĄDZ

Synu mój... Ku końcowi zbliża się twa droga życia... Musisz się poddać woli Najwyższego... Zginął niewinnie na krzyżu Zbawiciel świata, Pan nasz Jezus Chrystus... Któż odgadnąć zdolen, jaka wola Pana naszego?... Czego żąda od ciebie, śmierci cię oddając?... Cierp synu, jak cierpiał Chrystus, Pan nasz...

JÓZEF

Człowiek jestem, księże... ojcze dobrodzieju... Człowiek słaby i nędzny, i grzeszny... Czemu śmierci mojej Bóg żąda? (*nagle nowy wybuch płaczu, straszliwie bolesnego, w którym bezradność i ból ostatni*) Nie chcę umierać!... Nie chcę umierać!...

KURTYNA

* * *

OBRAZ XXI

Mur więzienny. W nim dwie bramy. Świta. Otwiera się w murze mniejsza brama. Wchodzi Ksiądz i Józef. Za nimi Prokurator i władze sądowe. Idą do wielkiej bramy, przed którą Ksiądz zatrzymał się. Józef automatycznie idzie dalej.

KSIĄDZ

(*zatrzymuje go*) Zatrzymaj się, synu mój...

Józef odwraca głowę, stanął.

KSIĄDZ

(*do Prokuratora*) Zechce pan prokurator pozostawić mnie samego...

PROKURATOR

(*patrzy na zegarek*) Jest za pięć minut siódma... Egzekucja została wyznaczona punktualnie na siódmą...

KSIĄDZ

Jedną chwilę tylko...

Prokurator i władze odsuwają się. Prokurator trzyma zegarek w ręce, patrząc na niego ze zjadliwym wyrazem twarzy.

KSIĄDZ

Synu mój... oto brama, za którą kończy się twój żywot ziemski... Kilka jeszcze kroków dzieli cię od spoczynku wiecznego, gdzie czeka na ciebie Pan nasz, Stwórca jedyny... Jeżeli staniesz przed nim z sercem czystym, przyjmie cię z rozwartymi ramionami do swego łona... ale jeżeli zamkniesz przed nim swe serce i prawdę utaisz... odepchnie cię... Nachyl się do mnie i rzeknij mi na progu swego życia prawdę: winien jesteś, czy nie?...

JÓZEF

(*na pół obłędnie, patrząc dokoła*) Niewinowaty jestem... niewinowaty... niewinowaty...

KSIĄDZ

(*zdejmuje z piersi krzyż, podaje go, z trudem hamując płacz*) Synu najukochańszy Chrystusa, Pana naszego, weź ten krzyż, znak męki Jego... niech cię prowadzi na ostatniej drodze życia...

JÓZEF

(*bierze krzyż w ręce*) Nie mogę... (*ręce mu drżą...*) Nie mogę utrzymać...

KSIĄDZ

(*zawiesił krzyż na piersiach Józefa*) Nieś go synu na sercu swoim... Niechaj ci siły doda i zbawi po śmierci i odpoczynek da wieczny... (*całuje go parokrotnie, powstrzymując łzy, odwraca się i woła*) Chodźcie!...

JÓZEF

(*wyrwany z osłupienia, pada przed wielką bramą na kolana, rękami trzyma się muru, sam tworząc jak gdyby krzyż. Głową bije o bramę*) Nie chcę... nie... nie... nie!...

KSIĄDZ

(*podnosi go*) Wstań, synu... Wstań... I On upadł pod krzyża brzemieniem w drodze na Golgotę... Wstań, synu najmilszy i siłę z siebie dobądź ostatnią... Pan z tobą...

Józef wstał. Ksiądz otoczył go ramieniem. Czarna brama rozwarła się. Wchodzą tam wszyscy. Scena jest pusta. Po chwili zjawiają się dwaj dozorcy z kubłami i miotłami. Zza bramy słychać głuche oddźwięki. Wiatr zatrzasnął bramę i zawył...

DOZORCA MŁODSZY

Psi czas!...

RECHT

Nie żal odchodzić w taki ziąb... (*nasłuchuje*) Słyszysz?...

DOZORCAMŁODSZY

(*nasłuchując*) ... Słyszę... (*patrzy na zegarek*) To już chyba zaraz...

RECHT

Chwała Bogu, że nie musiałem być przy tym... (*patrzy na jeden punkt, tuż pod bramą*) Weź no trochę piachu i zasyp...

DOZORCAMŁODSZY

A bo co?... (*zbliża się do tego miejsca*) A to prawdziwa świnia, ten „Polake"!...

RECHT

Nie gadałbyś tak, gdybyś go znał... Niejeden to już pozostawiał po sobie ten ostatni ślad życia...

DOZORCA MŁODSZY

(*posypując piaskiem*) Ja tam po nim sprzątać nie będę... jeszcze czego...

RECHT

(*zbliża się z miotłą i łopatą*) Głupiś... śmierci każdy się boi... (*zdjął go naraz strach, nasłuchuje*) Herr Gott... Herr Gott!...

DOZORCA MŁODSZY

I ciebie strach obleciał...

RECHT

Słyszysz? Czytają wyrok...

DOZORCA MŁODSZY

(*nasłuchuje*) Ksiądz teraz mówi...

RECHT

Boże wszechmocny, co też ten nieborak teraz czuje... jak mu straszno... Dobrze mu z oczu patrzyło... ja się na nich znam... dobry był chłop... poczciwe miał oczy...

DOZORCA MŁODSZY

A teraz cicho...

RECHT

(*do siebie*) Mogłem go przecie wypuścić... Niechby sobie wrócił do swego domu... Był niewinny... wiem o tym... Sumienie mi mówi... Był niewinny... (*zdjął czapkę, ociera pot z czoła, przeżegnał się*)

DOZORCA MŁODSZY

Co ci jest, stary?...

Rozlega się rozdzierający krzyk. Po nim cisza.

RECHT

(*upada na kolana, bije pięściami w bramę i sam krzyczy nieprzytomnie*) Zabiliście niewinnego człowieka!... Mordercy!...

KURTYNA

Doniesienia drobne

Fragment współczesności

Przełożyła Barbara Bernhardt

Uwagi dla reżysera!

Ewentualne przestawienie obrazów jest całkowicie dozwolone. Na przykład Obraz Czwarty może być pokazany na miejscu Obrazu Drugiego, a Obraz Drugi na miejscu Czwartego.
Dozwolone są również skreślenia. W tym wypadku prosimy jednak o zwrócenie się o zgodę do autorki.
Ewentualnie można również jeden z Obrazów zupełnie pominąć.

O s o b y:

Sceny ramowe:
KÄTE, młoda kobieta
PAUL, jej mąż, urzędnik pocztowy

Prolog:
HELBIG
PANI HELBIG
LUTZ
INGE
ERNST
ELSE
SCHÜTTER
DOZORCA

Obraz I:
PORTIER HELBIG
PANI HELBIG
FRITZ, ich syn
PANI RIPPERT

Obraz II:
LUTZ, pianista
WALTER, jego przyjaciel
OESTER, znajomy Waltera
GOSPODARZ KUBALKE

Obraz III:
INGE, młoda nauczycielka
MELA, jej przyjaciółka
PANI RETTICH, gospodyni, u której Inge wynajmuje pokój
PAN MORALNY
PAN JOWIALNY

Obraz IV:
ERNST, gruźlik, po utracie pracy
ELSE, jego ukochana, bezrobotna projektantka mody
PAN MEYER, handlarz starzyzną
BOY HOTELOWY

Obraz V:
PIERWSZY BEZROBOTNY
DRUGI BEZROBOTNY
TRZECI BEZROBOTNY
CZWARTY BEZROBOTNY
NADZORCA
BEZROBOTNY SCHÜTTER

Interludia:
I Interludium: Śmierć
II Interludium: Troje Dzieci, Pan Moralny
III Interludium: Czterech Studentów, Strażnik
IV Interludium: Przedstawiciele lumpenproletariatu

Miejsce i czas: Berlin, 1932.

PIERWSZA SCENA RAMOWA
(Prolog)

Proscenium. Wąski kawałek przytulnie choć ubogo urządzonego mieszkania. Ściana tylna przedstawiona jest przez gładki szary ekran. Na ścianie po lewej – drzwi. Naprzeciwko drzwi, na prawej ścianie – okno. Koło drzwi – stół z wiklinowymi fotelami i krzesłami. Nieco dalej, na prawo – leżanka. Obok okna – szafa. Na stole bukiet kolorowych, jaskrawych kwiatów. Przez osłonięte śnieżnobiałymi firankami okno wpadają jasne promienie słońca. Scena jest przez parę chwil pusta, po czym wchodzi Käte, młoda kobieta, a za nią młody mężczyzna – Paul. Paul wnosi walizkę, Käte – plik właśnie zakupionych gazet.

KÄTE

(*staje w pobliżu drzwi i rozgląda się wokół z radosnym zdumieniem*) Znowu w domu! Dzięki Bogu!... Jakie piękne kwiaty!... Że też i o t y m pomyślałeś!... Jak ładnie tu u nas!... I jak czysto to wszystko utrzymałeś! Tak przyjemnie i czysto! Wiesz, t a k nie pamiętałam tego wszystkiego!... (*pada na fotel*) Właściwie całkiem inaczej sobie to wyobrażałam...

PAUL

Po pustej sali szpitalnej z szarymi ścianami i łóżkami wokół nic dziwnego, że nasz pokój tak ci się podoba. No, daj mi swoje rzeczy.

KÄTE

(*podnosi się i z nieobecnym wyrazem twarzy pozwala sobie zdjąć płaszcz i kapelusz, zbliża się niepewnym krokiem do różnych przedmiotów, którym długo przygląda się i dotyka; nagle przystaje i skierowuje wzrok na podłogę*) Dywan! Boże, ależ on piękny! Trudno powiedzieć, co bardziej błyszczy, czerwień czy błękit. Naprawdę, mogłabym mu się przyglądać godzinami!

PAUL

Nasz staruszek dywan, na który zawsze tak wymyślałaś?! No co ty, co się z tobą właściwie dzieje?! Musiało ci się w głowie pomieszać od tych wszystkich rzeczy, które ci dawali do połykania.

KÄTE

(*nadal przygląda się dywanowi jak zahipnotyzowana*) Ależ to przecież wcale nie nasz stary dywan! Bardzo dobrze pamiętam: tamtego nie mogłam ścierpieć, bo w ogóle nie miał już koloru...

PAUL

Słońce dziś świeci, to cała różnica!

KÄTE

(*potrząsa głową z niedowierzaniem*) Przez te wszystkie lata słońce nie raz świeciło, ale n i g d y, nigdy nasz dywan t a k nie wyglądał!... (*jej spojrzenie pada na szafę. Szybko ku niej podchodzi*) A szafa? Czy to niby też nasza stara szafa?

PAUL

(*pół zakłopotany, pół rozbawiony*) A jaka? Dokładnie ta sama, w której przez sześć lat wieszałaś swoje ubrania...

KÄTE

(*potrząsa głową*) N a s z a szafa nigdy nie była tak wzorzyście przeorana. Popatrz tylko, Paul, tu jest gałązka!... Jeśli się dobrze wpatrzyć widzi się całkiem wyraźnie jak wykiełkowuje tu gałązka.. a tu druga.. a tu jeszcze jedna. (*zdziwiona, ze śmiechem*) Jeśli się dobrze wpatrzyć, wyrasta tu całe drzewo, z tej jednej deseczki. Nie, czegoś takiego nigdy nie przeżyłam z naszą starą szafą!

PAUL

Bo dzisiaj patrzysz na nią innymi oczami.

KÄTE

Tak sądzisz, Paul? Tak, może masz rację...

PAUL

No, ale teraz musisz się położyć, jesteś bardzo blada. Droga przez te wszystkie hałaśliwe ulice była dla ciebie zdecydowanie zbyt wyczerpująca. Ale ty się uparłaś, że chcesz na piechotę...

KÄTE

Ależ to było cudowne: ludzie, kolejki, bajeczne wystawy...

PAUL

No wiesz co! Stare warzywniaki...

KÄTE

Sklepy, przy których mogłabym stać całymi godzinami! Były tam takie owoce, jakich jeszcze w życiu na oczy nie widziałam. Ogromne, czarne winogrona, pokryte tak grubym szronem, jakby na nie ktoś właśnie pochuchał... (*roześmianym głosem*) I kiedy tak się temu przyglądałam, stało się coś zabawnego: winogrona nie leżały już za szybą, zaczęły delikatnie kołysać się w powietrzu... Widziałam całkiem wyraźnie czerwone listowie i słyszałam, jak brzęczą żuki...

PAUL

Niech diabli porwą ten cholerny szpital! Wypuścili cię z gorączką! Już na ulicy sobie myślałem: tak na moje oko, to Käte nie jest jeszcze zupełnie w porządku!

KÄTE

(*śmiejąc się*) Bzdura, Paul! Jestem zdrowa jak ryba!... Boże, nie masz pojęcia, jak świetnie się czuję!... Mam ochotę biegać i wymachiwać rękami! I wciąż oglądać coś nowego!

PAUL

Co cię napadło? Jesteś zupełnie odmieniona!

KÄTE

Masz rację! Odmieniona albo urodzona na nowo, bo to jedno i to samo, nie?... Widzisz, tak strasznie bałam się tej operacji. Wtedy nie chciałam ci tego pokazywać, ale byłam przekonana, że nie obudzę się już z narkozy. I wtedy rzeczywiście byłam jakby martwa... ze strachu... (*całkowicie zmienionym, jasnym głosem*) A teraz urodziłam się na nowo! I tak mi jest, jakbym widziała wszystko po raz pierwszy. Mój Boże, jak cudownie jest żyć, Paul... I świat, i to wszystko, co na nim jest, jest takie cudowne i takie tajemnicze, kiedy patrzy się na to po raz pierwszy! Paul, tak strasznie się cieszę, że jutro niedziela. Pojedziemy na Treptow * do jakiejś kafejki w ogródku...

---

* Treptow – dzielnica Berlina (przyp. tł.).

PAUL

Dlaczego właśnie na Treptow? Do tego tłumu ludzi?

KÄTE

Tak, właśnie tam!... Wiesz, jestem tak zgłodniała ludzi – mnóstwa, mnóstwa roześmianych twarzy! Chciałabym pożreć ich wszystkich wzrokiem.. Wiesz, wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, czym tak naprawdę jest ludzka twarz... Uświadomiłam to sobie dopiero w szpitalu, kiedy obudziłam się z narkozy i zobaczyłam, całkiem blisko, tuż przy swojej, twarz pielęgniarki. Uśmiechała się delikatnie, jakby właśnie przezwyciężyła jakiś ogromny ból. To było przepiękne – miałam wrażenie, że przez jej twarz przenikam do serca i całkiem wyraźnie słyszę jego bicie. A jutro... kiedy pójdziemy na Treptow, to dopiero będzie przeżycie!... Słuchaj, nie moglibyśmy zaraz, teraz choć na trochę wyjść? Mam na to tak ogromną ochotę...

PAUL

Ty chyba zwariowałaś! Pielęgniarka powiedziała, że natychmiast masz się kłaść do łóżka!

KÄTE

Ani mi sie śni! Jestem całkowicie zdrowa – znacznie zdrowsza niż wszystkie pielęgniarki razem wzięte. (*zatacza się nagle i wydaje cichy odgłos bólu*)

PAUL

(*pełen wyrzutów*) A widzisz?!... Chodź tu, kładź się wreszcie. (*prowadzi ją do leżanki*)

KÄTE

(*chwyta plik gazet, który przyniosła ze sobą i położyła na stole*) No, na szczęście kupiłam sobie trochę gazet. Mogę choć z daleka popatrzeć na to, co dzieje się na świecie.

PAUL

Tak, tak to możesz. Z daleka możesz sobie patrzeć – to cię nie wyczerpie. (*bierze gazetę i czyta pytającym tonem*) „Dokąd zmierzamy"?

KÄTE

Nie, tego nie lubię. O tym każda gazeta pisze coś innego.

PAUL

Komentarze „Pod Kreską"?

KÄTE

Nie. To, co ktoś tam sobie wymyśla, nie sprawia mi żadnej przyjemności.

PAUL

(*bierze do ręki następną gazetę*) „Doniesienia drobne"?

KÄTE

Tak, to jest to, czego mi trzeba! (*zabiera mu z ręki gazetę*) Całkiem zwykłe, ludzkie przeżycia, przy których można sobie tak dużo wyobrażać. (*zatapia się w czytaniu*)

PAUL

Przyniosę ci poduszkę. (*odchodzi*)

KÄTE

(*dławiącym ze zgrozy głosem*) Mój Boże, to niemożliwe... to zupełnie niemożliwe..

PAUL

(*wchodzi z poduszką w ręku*) Co się stało? Co tam wyczytałaś? (*spogląda do gazety*) O f i a r y b e z r o b o c i a. No, jak się nie ma żadnych widoków na przyszłość... Teraz takie rzeczy zdarzają się codziennie.

KÄTE

(*głosem łamiącym się ze zgrozy*) T a k i e r z e c z y z d a r z a j ą s i ę c o d z i e n n i e...

PAUL

Można nawet powiedzieć, że bez przerwy. No, daj mi tę gazetę. I tak nie możesz nikomu pomóc.

KÄTE

(*zdrętwiała z przerażenia*) Czy to prawda, co oni tu piszą, Paul?

PAUL

Przecież są nawet nazwiska.

KÄTE

Paul, popatrz, tu jest coś jeszcze... I tu... I tu...

PAUL

Taak, a przed świętami to dopiero nędznie człowiek się czuje. Ale oddaj mi wreszcie tę gazetę... Jesteś blada jak trup... To przecież w ogóle nie ma sensu, tak się tym przejmować. Mówię ci, takie rzeczy zdarzają się codziennie. Sama to przecież przedtem nie raz czytałaś.

KÄTE

Ja c o ś t a k i e g o już czytałam?! I nic nie pamiętam?

PAUL

Jeśli mi natychmiast nie oddasz tej gazety, odbiorę ci ją siłą. (*próbuje wyrwać jej gazetę z ręki*)

KÄTE

Nawet jeśli mi to zabierzesz, one tam zostaną – doniesienia prasowe, doniesienia, niesamowite „doniesienia drobne"... (*ze zgrozą wskazuje na tylną ścianę, na której chwiejnymi, migoczącymi literami ukazuje się strona gazetowa*) Zawładnęły całym pokojem! Widzisz! Są tam!

PAUL

To straszne, straszne... (*wychodzi pośpiesznie*)

Na tylnej ścianie ukazują się tytuły pięciu doniesień prasowych: „Ofiary bezrobocia", „Tragedia pianisty", „Zamiar czy nieszczęśliwy wypadek?", „Tragedia kochanków", „Wstrząsające zajście w Urzędzie Pracy".

Teksty pod tytułami są nieczytelne, gdyż litery chwieją się i migoczą.

KÄTE

(*patrzy na ścianę zdrętwiała ze strachu*) I jeszcze to... i to....

Cała ściana zatapia się w cieniu, tylko mały prawy róg jest jasno oświetlony. Ekran nad tym rogiem rozdziera się i rozpada. Widzimy fragment ulicy, parterową część domu, przed którym cisną się tłumy.

MUZYK

(*podchodzi do tłumu*) Co się stało? Co się tu dzieje?

STARUSZEK (STRÓŻ HELBIG)

Właśnie ktoś wyskoczył z okna.

STRAŻNIK MIEJSKI

Proszę się rozejść! Zebrania uliczne są zakazane!

STARUSZEK

Bardzo przepraszam, panie władzo, ale to nie jest żadne zebranie uliczne, jak chce się wiedzieć, dlaczego to ktoś postanowił skakać z okna, prosto na bruk...

STARUSZKA (PANI HELBIG)

Chcemy też wiedzieć, przepraszam bardzo, czy nie można go jeszcze uratować....

STRAŻNIK MIEJSKI

No to niech paniusia, z łaski swojej, do szpitla leci. Chyba że myśli pani, że ten kamień, na który spadł, do nas przemówi...

MŁODA KOBIETA (INGE)

Ale jak właściwie do tego doszło? Czy to jednak nie był wypadek?

ROBOTNIK (SHÜTTER)

Nie sądzę, panieneczko. Mieszkam tu, naprzeciwko. Ten młody człowiek już od dawna wałęsał się po ulicach, jak jaki melancholik, i zawsze blisko murów. Jakby się chciał czego przytrzymać.

MŁODA DZIEWCZYNA (ELSE)

(*przerażona*) M ł o d y człowiek?! To był młody człowiek?

STARUSZEK

A co panienka sądzi, że dla starego to śmierć lekciejsza?

MUZYK (LUTZ)

(*do robotnika*) Wie pan może coś więcej o przyczynie?

ROBOTNIK

No nie, o przyczynie to nie... ale to na pewno ma coś wspólnego z bezrobociem.

STARUSZEK

No wie pan co, taki młody człowiek... z takiego powodu...? To by dopiero było! Nawet jeśli trza trochę bardziej zacisnąć pasa, to to jeszcze nie powód, żeby coś takiego...

MŁODY CZŁOWIEK (ERNST)

(*kaszląc*) To wszystko bzdury! Jeśli ktoś jest młody i zdrowy, nie musi w ogóle się niczym martwić. Zbyt dobrze mu się jeszcze wiedzie...

MŁODA DZIEWCZYNA

Może miał jakieś kłopoty sercowe?

ROBOTNIK

Panieneczka to pewnie z Pomorza, nie?

MUZYK

Do tego musi się już mieć jakieś predyspozycje!

NAUCZYCIELKA

(*z głębokim przekonaniem*) Z całą pewnością! Jestem absolutnie przekonana, że całkowicie normalny człowiek jest po prostu niezdolny podnieść na siebie rękę. To przecież zupełnie przeciwko naturze...

STARUSZKA

Przeciwko religii, panienko, przeciwko religii! Dobry Bóg nie daje nikomu więcej, niż ten może udźwignąć. Ale dzisiaj to młodzi ludzie nie chcą już o tym słyszeć.

MŁODA DZIEWCZYNA

Jak m o ż n a, jak można coś takiego zrobić? Życie jest przecież t a k i e piękne!

STARUSZEK

Słuchajcie ludzie, a może ten młody człowiek co przeskrobał?

NAUCZYCIELKA

Na ogół przestępczość rzadko idzie w parze z samobójstwem, ale kto to może wiedzieć?

ROBOTNIK

A co to paniusia takim tonem wysokim przemawia? Co młody człowiek, który jest głodny, ma wspólnego z przestępstwem? No tak?

NAUCZYCIELKA

Tak, tak, pewnie ma pan rację...

MUZYK

Ostatecznie to wszystko sprawa nerwów. Uszanowanie, drodzy państwo. (*odchodzi*)

STARUSZEK

Jeśli on nic nie przeskrobał, to na pewno miał coś z głową nie w porządku.

GRUŹLIK

Tu ma pan rację. Dla rozsądnego człowieka coś takiego w ogóle nie wchodzi w rachubę. Powinni byli zabrać tego nieszczęśnika do Dalldorfu.*
(*do młodej dziewczyny*) Idziemy, Else, ciągnie tu trochę.

MŁODA DZIEWCZYNA

Nie złapałeś znowu czegoś, Ernst? Chodź tu szybko na słońce!

STARUSZKA

I matki już taki mieć nie będzie... Jak ja tylko sobie pomyślę, że mój chłopak mógłby coś takiego zrobić!... No, ale lepiej już polecę co na obiad przygotować. I już czas, Stary, żebyś szedł do Urzędu Pracy. No chodźże już, nie ociągaj się. (*oboje odchodzą*)

ROBOTNIK

A ja to muszę po tym strachu, jakiegom się najadł, na kufelek piwa! Siemanko. (*odchodzi*)

NAUCZYCIELKA

(*z przerażeniem*) Panie strażniku, niech pan tu spojrzy, i tam..., na tamtym kamieniu jest jeszcze krew. Ktoś musiał ją rozmieść. Niech pan patrzy, tu są ślady! I tam, i tam (*przerażona*). I ja mam trochę na bucie... Niechże pan zetrze tę krew, panie strażniku!

STRAŻNIK

Tylko spokojnie, panienko... Już zaczyna padać, samo się wszystko zmyje. Jeszcze z pięć minutek i nic już nie będzie widać!

KURTYNA

* * *

---

* Dalldorf – zakład psychiatryczny pod Berlinem (przyp. tł.)

I INTERLUDIUM

Na scenie jest zupełnie ciemno. Nic nie widać, słyszy się tylko niski głos, jakby złożony z tysiąca drgań.

GŁOS

Ja jestem śmierć, rocznik trzydziesty drugi
I wszechpotężna jestem dziś w królestwie swym,
Bowiem kipiące życiem krwi brunatne strugi
Są teraz zwykłym pożywieniem mym.

Jakże żałośnie moi praojcowie
Musieli chorób zwiędłym tchnieniem żywić się –
Ja piję krew, co udeptanym torem
I pełnym życia rytmem sama ku mnie mknie.

Ja jestem śmierć, którą dość często mylą
Ze zbrodnią – co bliźniaczą siostrą mą –
Ja miażdżę wiosła tym, co wciąż żeglują,
Aż w ciemnym wirze martwej wody są.

A potem chwytam ich, dławię w swych ramionach
I w ciepłe usta krzepko wssysam się,
Aż pulsująca krew pomału kona
I potężniejszą jeszcze staję się.

Idzie na ogół sprawnie, jak po maśle,
Gładko i cicho zgodnie z planem mym.
Nikt już nie żąda tu zbędnych wyjaśnień,
Nie ma szpitali ni lekarzy w nich.

I rosnę w siły, a wraz ze mną rośnie
Przemożny, wielki, pełen zgrozy cień,
Co pada z góry na tych, co pode mną
I w ciemną noc zamienia każdy dzień.

* * *

OBRAZ I

Na ekranie napis: T r a g e d i a n a u l i c y S t u d z i e n n e j. „Bezrobotny portier Wilhelm Helbig, który razem z małżonką zamieszkiwał w izbie kuchennej na ulicy Studziennej..." – dalsze litery notatki prasowej migają. Migotanie przenosi się wyżej, na pierwszą linijkę – litery zdają się przewiercać papier. Papier rozdziera się. Widzimy malutkie, niemal puste pomieszczenie, z komodą, łóżkiem, stołem i dwoma taboretami po obu stronach stołu. Na jednym z taboretów siedzi portier H e l b i g, na drugim jego ż o n a .

HELBIG

(*przeliczając i porządkując kartki*) Sześćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt sześć, sześćdziesiąt siedem, sześćdziesiąt osiem, sześćdziesiąt dziewięć, siedemdziesiąt.

PANI HELBIG

(*zajęta cerowaniem*) Czego znowu liczysz, Ojciec?

HELBIG

(*opryskliwie*) Zostaw mnie w spokoju! Siedemdziesiąt jeden, siedemdziesiąt dwa, siedemdziesiąt trzy, siedemdziesiąt cztery, siedemdziesiąt pięć... No, prawdziwy jubileusz. (*zgarnia stos kartek i wkłada je do szuflady*)

PANI HELBIG

No i co ci z tego, że wiesz, ile razy się tym łajnem...

HELBIG

To nie żadne łajno! To bezbłędne kopie idealnie poprawnych podań o pracę. Całkiem się dokładnie dowiedział, jak się to robi. (*mówi mechanicznie, jak katarynka*) „Wielce Szanowny Panie! W związku z Pana anonsem w gazecie, pozwalam sobie..."

PANI HELBIG

Ach, przestańże już. Znam to na pamięć... Chciałabym tylko wiedzieć, co ci z tego przyjdzie, że wiesz, ileś razy sobie łamał na tym i głowę, i palce.

HELBIG

Wszystko musi być w porządku. Takim żem całe życie był, takim będę i do końca. Żeby tak w powietrze, to u mnie nie ma! Zawszem dobrze pilnował, kto z domu wychodzi.

PANI HELBIG

Czyś ty zupełnie zdurniał, Wilhelm? Wtedy o ludzi chodziło i miałeś za to całkiem niezłą sumkę, żeś pilnował, kto wchodzi i wychodzi z domu... A te twoje karteluszki to tylko wychodzą, nic nie przychodzi z powrotem...

HELBIG

(*gwałtownie*) To nieprawda! Trzy!! Na siedemdziesiąt pięć listów trzy odpowiedzi przyszli.

PANI HELBIG

A i te mogliby nie przychodzić. Nic dobrego tam ni ma.

HELBIG

Nie, nie! Tak lepiej, że przyszły. Człowiek nie czuje się już tak podle, jak wtedy, gdy przez cały czas pisze się w siną dal... No i dobrze, że już siedemdziesiąt pięć.

PANI HELBIG

A idźże ty! Jedno wte czy wewte to żadna różnica.

HELBIG

A nie rozumiesz tego, Matka. To tak jak z kamieniem milowym – jak kto w długiej drodze je, to zadowolony, kiedy się już jaki kawałek ma za sobą.

PANI HELBIG

O czym ty właściwie gadasz?

HELBIG

Jak człowiek coś zaczął, trza sobie powiedzieć: tyle i tyle zrobisz, tak daleko pójdziesz, a potem to już ani kroku i już. Wytrzymywałem tak długo, jak długo to trwało... No, nie róbże takiej głupiej miny, Matka! Jeszcześmy tam nie doszli. Ja cierpliwy... Starej daty jestem... Jeszcze mnie do tego nie przyszło...

PANI HELBIG

(*z wyrzutem*) W ogóle nie powineneś liczyć tych rzeczy... To występek przeciw Panu Bogu – te całe liczenie i te historie o kamieniach milowych – to wszystko to tylko pogróżki, a nasz Pan Bóg, to akurat wiem, nie da sobie grozić. A kara to na dzieci padnie i na dzieci dzieci!

HELBIG

(*śmieje się z goryczą*) A Pan Bóg to mnie już i tak pokarał. Tym hultajem, Fritzem.

PANI HELBIG

Zawsześ był dla niego zbyt srogi, Ojciec.

HELBIG

A tyś się zawsze za bardzo z nim cackała, ze swoim synalkiem. Dlatego taki nicpoń z niego wyrósł... No, na nic już ta cała gadanina... Przestańże już marudzić, Stara. Jeszcze przyniose se parę adresów, żeby jeszcze z kilka kamieni milowych mieć za sobą. (*podnosi się*) Bywaj, Matka.

PANI HELBIG

Bywaj, Wilhelm. Kiedy wracasz?

HELBIG

(*nieufnie*) A czego chcesz wiedzieć? Przyjść ma tu kto?

PANI HELBIG

A skąd to znowu, nie... Chciałam tylko wiedzieć, kiedy kartofle postawić.

HELBIG

No, niech będzie siódma. (*idzie do drzwi, obok których wisi ścienny kalendarz, odrwaca się*) Pierwszy dzisiaj. Daj pieniądze na czynsz. Zapłacę zara, po drodze.

PANI HELBIG

(*ociągając się, podchodzi do szuflady stołu*) A nie moglibymy być dłużni za czynsz, Ojciec? Tak mało pieniędzy jest już w szufladzie...

HELBIG

(*wyprostowując się*) Zawsze płaciłem co do joty pierwszego. Zawsze to trzymałem w porządku. Jak się od innych wymaga porządku, to i od siebie trza wymagać. Robić długi, tego to u mnie nie ma, do tego nie będę się przyzwyczajać... Dawaj pieniądze.

PANI HELBIG

(*niechętnie wyjmuje pieniądze z szuflady*) Ale z ciebie to prawdziwy kozioł, Ojciec. (*przelicza pieniądze na stole*) Tu masz 19,50 marek. Zawsze głową w mur!

HELBIG

A ty tego nie zrozumiesz, Matka! Bywaj! (*wychodzi*)

Pani Helbig patrzy za nim, podchodzi do drzwi, słucha, idzie powoli w stronę pieca, wrzuca węgiel do ognia, kładzie na piecu garnek, podchodzi do okna, otwiera na oścież obie okiennice. Pukanie do drzwi.

PANI HELBIG

(*mrucząc*) To nie może być przecie jeszcze Fritz. (*podchodzi do drzwi, otwiera*) A, to pani, pani Rippert! Mój mąż właśnie poszedł do pani z czynszem.

PANI RIPPERT

Nie ma takiego pośpiechu z czynszem, droga pani Helbig. Wcale nie dlatego przyszłam. Taka to już nie jestem! Chciałam tylko zapytać, czy nie chciałaby pani zaklepać se trochę węgla na zimę. Jutro przywożą mi pół fury i byłoby taniej, gdyby i pani pół wzięła.

PANI HELBIG

Nie, nie, dziękuję ślicznie, pani Rippert... Ciągle myślimy jeszcze, że wkrótce dostaniemy jaką pozycję...

PANI RIPPERT

O, kochaniutka, niechże mi pani tego nie bierze za złe, ale to może potrwać jakiś czas! Taki człowiek, jak pani mąż, już po sześćdziesiątce...

PANI HELBIG

Ale on skończył sześćdziesiąt lat dopiero przed miesiącem.

PANI RIPPERT

A co to za różnica! Człowieka w takim wieku w naszych niespokojnych czasach nikt na stróża nie przyjmie. No to jak z tą furą?

PANI HELBIG

No to musiałabym zapytać męża. Nie wiem, czy my tyle pieniędzy na raz...

PANI RIPPERT

Ależ przecie pani oszczędza, kochaniutka. Przecież pani ma oszczędności! Nie? Nic nie macie do wyłożenia?

Pani Helbig milczy.

PANI RIPPERT

No wie pani co, niechże mi pani tego za złe nie bierze... Ale ja to już wolałabym gdzieś do krewnych niż tu, w takiej nieogrzanej izbie, zimę spędzać... No i na co to pani tak okno na całość otwarła? Toż takie wilgotne dzisiaj powietrze, że całe ciepło z izby wywieje. (*podchodzi do okna i zamyka je*) No, to nie moja sprawa, ale ja bym to sobie na pani miejscu przemyślała, czy by się do jakiś krewnych nie dokoptować. Jak pani nie ma nawet pieniędzy na pół fury węgla... No to ja muszę zobaczyć, czy ja tak dalej mogę... Do widzenia, pani Helbig! (*wychodzi*)

PANI HELBIG

Do widzenia, pani Rippert! (*patrzy za nią, wzdycha*) Stara szmata! Niechluja! Tylko brud mi na klamce zostawiła, będzie się kleić! (*bierze ścierkę i wyciera klamkę, pukanie, pani Helbig szybko otwiera*)

FRITZ

(*bojaźliwie przy drzwiach*) Pokład wolny?

PANI HELBIG

No przecie otwarłam okno zupełnie na oścież!

FRITZ

Ale je zara mamuśka znowu zamknęła...

PANI HELBIG

To była pani Rippert, właśnie była tu na górze.

FRITZ

Stara suka! Wystawała tam przed drzwiami i się głupio szczerzyła, jakżem przechodził.

PANI HELBIG

Żeby tylko ojcu nie powiedziała, że zawsze przychodzisz, kiedy go nie ma. Nie wolałbyś znów się z ojcem jakoś dogadać, Fritz?

FRITZ

Nie tam, on dla mnie za głupi. Ja tam od niego nic słyszeć nie chcę. Mamy coś na ząb, mamuśka?

PANI HELBIG

Brukiew z boczkiem. (*stawia przed nim jedzenie. Kiedy Fritz je, mówi niepewnie*) No powiedz mi, Fritz, jak tam jest u ciebie? Możesz dalej mieszkać u Maxa?

FRITZ

(*żując*) Już tam nie mieszkam!

PANI HELBIG

Jak to? No to gdzie pójdziesz?

FRITZ

Ulatniam się mamuśka, przetrzymam.

PANI HELBIG

A co to ma znowu znaczyć?

FRITZ

No przetrzymam jakoś, pod wodę zanurkuję... Nie musi się mamuśka tak na mnie dziwacznie gapić. Kiedyś znów wypłynę.

PANI HELBIG

Nie rozumiem cię nic a nic! Co ty pleciesz?

FRITZ

Jak zanurkuję, mamuśka, to coś tam i z dna się wyniesie!

PANI HELBIG

(*przerażona*) Ty chyba nie będziesz...?

FRITZ

Jasne, że będę! Oczywista rzecz, że będę...

PANI HELBIG

Na to ci nie pozwolę! Nie dopuszczę do tego! Żeby mój syn złodziejem...!

FRITZ

Nikt nie musi wiedzieć, żem mamuśki syn. Fritz Helbig to zniknie bez śladu, a zostanie tylko taki łebski gość, co glinie po piętach depcze.

PANI HELBIG

(*podrywa się oburzona, staje grożąc naprzeciw syna*) Tylko nie wyobrażaj sobie, że ja do czegoś takiego dopuszczę, rozumiesz ty mnie? Nawet gdybym cię miała tu zamknąć na klucz. Czegoś takiego u mnie nie będzie, mój chłopcze! Na tom ja cię wychowała? Na tom cię strzegła jak oka w głowie? Na tom się z tobą zawsze modliła? Na tom cię pobłogosławić kazała, żebyś ty mi teraz się w przestępstwa pchał?!

FRITZ

No niech mamuśka tak nie wrzeszczy! Słyszy mamuśka? Można mamuśkę i na parterze usłyszeć. (*podchodzi do drzwi, otwiera je i wygląda na zewnątrz, zamyka drzwi, podchodzi do matki*) Jeśli mamusia myśli, że mi z tym tak letko, to się mamusia grubo myli. Też bym wolał spokojne i porządne życie wieść, a jakże! Ale takie życie, jak tera, z całą tą nędzą i z tym szwędaniem się w kółko, i podartymi buciorami, i zatłuszczonym ubraniem, i ani miejsca do tańca, ani kobity. I żadnych przyjemności już się nie ma. Już tego wszystkiego nie wytrzymuję. (*krzycząc*) Rozumie mnie mamuśka? Rozumiesz ty mnie? Ja tego już po prostu nie wytrzymuję!

PANI HELBIG

(*uspokajająco*) Musisz mieć synku cierpliwość. Będzie lepiej, dostaniesz znowu pracę...

FRITZ

O nie, mamuśka, nie dostanę. Kto raz wyleci, ten już nie wraca... A zanim znów wszystko się zmieni... to za długo dla mnie! To ja już w międzyczasie stary i siwy będę! Ja nie mam czasu, żeby czekać. A nawet nie wiem, po kiego licha mam właściwie czekać!

PANI HELBIG

Żeby uczciwym pozostać, mój chłopcze. Czy to nic takiego? Czy rzeczywiście już zapomniałeś, co to znaczy być uczciwym?

FRITZ

A z uczciwością to niech mi mamuśka nie wyskakuje! Ja mówię mamuśce, że uczciwość to już sama taka szemrana, że nie wiem. Bogaty to ma ją za darmo, takiego to ona nic nie kosztuje, ale tacy jak my, taki jak ja, to nieźle musi za nią płacić, głodem i kłopotami, i nędzą, i chorobskiem. Mówię mamuśce, że na tym świecie to już nic nieuczciwszego niż uczciwość. Do diabła z tym, fuj!

PANI HELBIG

Tym mędrkowaniem i przemowami to ci się ze mną synku nie uda! Toż to diabeł za tym wszystkim siedzi i nic dobrego z tego nie będzie. Uczciwość zawsze popłaca. A jak będziesz takie głupoty wyprawiał, to ci się w końcu dostanie, a jeszcze cię i przymkną.

FRITZ

A to wcale nie byłoby takie najgorsze, mamuśka. Przynajmniej dach nad głową bym miał, a i miskę jakiej strawy. Bo co ja tera mam? A do tego ani odrobiny jakiej zabawy! Zabawy to ja w ogóle już nie mam! W ogóle żadnej zabawy i żadnych przyjemności. Kiedyś to wiedziało się, po co się jest na tym świecie. W dzień to dla pracy, a wieczorami – dla zabawy. A teraz, to ja już zupełnie nie wiem, po co ja tu jestem... A Liese z nabiałowego to se już innego wzięła, bo ją zaprosić gdzie mógł i forsę miał, żeby płacić. Ale tera to już będzie inaczej, mamuśka, tera to ja sie w nową skórę przyodzieję, a ten cały pasztet to ja już raz na zawsze będę mieć z głowy. Nowe czasy dla mnie idą, mamuśka. Teraz to ja pokażę, że silny i odważny jestem. Teraz będziemy mieć szczęście, mamuśka, uważaj no tylko. Bogacz ja będę. A i mamuśce też pieniędzy przyślę.

PANI HELBIG

A to już se możesz odpuścić. Takich pieniędzy nie tknę.

FRITZ

Może je mamuśka spokojnie tykać. Tam krwi nie bedzie, to mogę mamuśce obiecać. Mordować to ja nikogo nie będę, o to mamusia może być spokojna. A z tymi pieniędzmi, to całkiem inna sprawa. To tak, jak przetykanie korka na ulicy, rozumie mamuśka? Bo się pieniążki za mocno w niektórych kieszonkach zagnieździły. Tak to jest mamuśka, tak to jest. Ten Paul, to on mi to całkiem dokładnie wyjaśnił.

PANI HELBIG

(*nieufnie*) Jaki znowu Paul?

FRITZ

Mój nowy kumpel. Szef naszej kliki... Właściwie on się jakoś inaczej nazywa, ale to tajemnica służbowa.

PANI HELBIG

Mój Boże, z jakimi ty się ludźmi...?

FRITZ

Morowi kumple! Jeden drugiego nie przerobi, to pewne jak mur. No, ale już polecę, mamuśka, bo ojczulek przyjdzie i będzie zderzenie kolei żelaznych... No to bywaj, mamuśka. Teraz to mnie mamuśka długo nie zobaczy. Zdrowa bądź i ani słowa ojcu, rozumie mamuśka? A jak jaki pieniądz przyjdzie, a na kopercie będzie nazwisko, którego mamuśka nie może odczytać, to będzie ode mnie. No co mamuśka takie przerażone oczy robi? Bieda już jest za nami. Teraz będzie już z górki. No, daj mamuśka buziaka. (*pani Helbig całuje syna*) I niech mamuśka nie buczy, teraz wszystko już będzie dobrze, no? (*rzuca się do drzwi, wychodzi, matka patrzy za nim*)

PANI HELBIG

Nie, toż on nie może przestępcą... (*płaczącym głosem*) Synku! Mój synku!

KURTYNA

Znów pojawiają się niespokojnie drgające litery doniesienia prasowego. Pół minuty ciszy. Kurtyna się podnosi, widzimy tę samą izbę co w Obrazie I. Helbig i jego żona znów siedzą po obu stronach stołu. Helbig znowu przelicza zapisane karteczki.

HELBIG

Sześćset dziewięćdziesiąt siedem, sześćset dziewięćdziesiąt osiem, sześćset dziewięćdziesiąt dziewięć, siedemset! (*układa kartki w stosy*) Dokładnie siedemset. Ani jednej mniej. No to dobra, no to już wszystko! (*podnosi się, bierze ze stołu butelkę z atramentem i wylewa atrament do zlewu*)

PANI HELBIG

(*przestraszona*) Co się stało, Wilhelm? Czegoż to atrament wylewasz?

HELBIG

(*przy zlewie*) Już go nie potrzebuję. Koniec z pisaniem, raz na zawsze koniec!

PANI HELBIG

Masz rację, Ojciec, to już i tak nie ma sensu! Nic dobrego z tego nie wynikło. Jak co dobrego ma przyjść, to i samo przyjdzie. Nasz Pan Bóg, on nie potrzebuje tej całej pisaniny. On już inne znajdzie sposoby, żeby dobremu człowiekowi ciężar z piersi zdjąć. Wyrzućże też te wszystkie karteluszki – one mi już od dawna na nerwy działały. (*wyciąga rękę po kartki*)

HELBIG

Żeby ty mi tylko tych kartek nie tykała!

PANI HELBIG

No to co chcesz z tymi szpargałami zrobić?

HELBIG

To już sama zobaczysz. (*wpatrując się w zlew*) Jak śmiesznie to wygląda, jak się atrament tak turla i przelewa... Taki ciężki i gęsty. Jak krew. Jakby ktoś se żyły poprzecinał.

PANI HELBIG

Postaw butelkę w zlewie i puść wodę. Jeszcze sobie palce albo marynarkę poplamisz.

HELBIG

(*podnosi butelkę*) No i już pusta. (*wyrzuca ją do kosza. Butelka rozbija się z brzękiem*) Wszystkom z siebie dał. Siedemset listów. To chyba coś... A ty odłóż na chwilę robotę, Anna, muszę cię o co zapytać.

PANI HELBIG

To pytaj. Przecie uszami nie szyję!

HELBIG

Nie, nie, Anna, odłóż najpierw robotę z ręki. Ja mam do ciebie strasznie na serio pytanie. Tak na serio, jak wtedy przy ołtarzu... Przy takim pytaniu to cały człowiek musi być obecny.

PANI HELBIG

(*odkłada robótkę*) A co tak się śmieszno na mnie gapisz, Wilhelm?! Toż to można się strachu najeść przez takie gapienie!

HELBIG

Nie musisz mi zara odpowiadać. Dam ja ci czas do namysłu, dam ci ja..., a namawiać cię też nie będę, co to, to nie...

PANI HELBIG

(*z rosnącym strachem*) O czym ty gadasz, Wilhelm? Czego ty właściwie chcesz?

HELBIG

(*całkiem spokojnie i zdecydowanie*) Skończyć z tym, Anna...

PANI HELBIG

(*pozornie łagodnie*) Skończyć?! Z czym skończyć? Co ci po głowie chodzi, Wilhelm?

HELBIG

Ty mnie dobrześ zrozumiała, Anna. Mnie nie zmylisz... Koniec jest koniec. Po wszystkim! I już!

PANI HELBIG

(*trzęsąc się na całym ciele*) Nie mówisz tego poważnie, Wilhelm, co? Tak mówisz tylko, prawda?

Helbig patrzy na żonę milcząco.

PANI HELBIG

Ja w ogóle nie rozmumiem, co cię tak nagle naszło. Jeszcze tak źle nam się nie wiedzie... Trochę kawy jeszcze zostało i mąki mam trochę, prawie jeszcze cały funt... I kartofle są, jeszcze z pół worka, o tam... I słoniny jeszcze mam, a jakże, jeszcze z ćwierć funta... A tam to jeszcze dziesięć marek mamy, wiesz no, co to listonosz przyniósł, jakeśmy nie wiedzieli skąd to... z tego jeszcze długo możemy i chleba nakupić, i jarzyn, a i mięsa trochę na niedziele... Nie, głodować to my jeszcze długo nie będziemy...

HELBIG

Na głód czekać nie będę. Głód mnie z tego świata nie wypędzi. Nie mnie. Ja sam se pójdę, kiedy mi pasuje! Pójdę, kiedy se zaplanuję, takem całe życie przeżył... Ty sama wiesz, Anna! Czasu żem nie marnował!... Siedemset razy żem pisał, siedemset razy pytał, czy oni chcą, abym przy życiu pozostał, czy nie, wielmożnych i jeszcze wielmożniejszych państwa żem pytał. Siedemset razy powiedzieli „nie"! No a teraz już basta! Więcej pytać nie będę! Ust już wiecej nie otworzę. Palce mi już na sztywno zamarzły – aż mi się niedobrze robi, kiedy tylko patrzę na to tu...(*chwyta wieczne pióro i przełamuje je na pół*) Teraz już

skończyłem! I nikt nie może już przyjść i powiedzieć, żem cierpliwy nie był... (*krótka pauza*) No to jak będzie, Matka? Idziesz ty ze mną? Jak chcesz pójść, to znajdę jakieś ciche i płaskie miejsce nad kanałem... I ześliźniemy się tak całkiem cicho do środka... Żeby hałasu na koniec nie narobić... Zawszem się spokojnie w domu zachowywał... (*pół nucąc*) Zawsze spokojnie, zawsze spokojnie, zawsze spokojnie...

PANI HELBIG

Co tak oczy wytrzeszczasz przed siebie, Ojciec? Jakbyś już martwy był!

HELBIG

(*jak przedtem*) Zawsze spokojnie... zawsze spokojnie...

PANI HELBIG

Toż się można ciebie przestraszyć. Ty lepiej już przeklinaj, Ojciec, krzycz, pięściami wal...

HELBIG

(*jak przedtem*) Zawsze spokojnie...

PANI HELBIG

(*podnosi się, podchodzi do męża, kładzie mu rękę na ramieniu*) Całe życie orałeś dla innych, jak niewolnik jaki, zawsześ ciężko harował i dbał, żeby w twoich domach było spokojnie, porządnie i czysto. A teraz wyrzucili cię ze swoich domów, na bruk i depczą po tobie, Ojciec...

HELBIG

Oni się już tak przyzwyczaili... Już inaczej nie potrafią. Nie zauważają nawet... Ale ta gadanina już nie ma sensu... Już do tego doszło i tak już musi być... No to co, jak będzie z tobą? Idziesz ze mną?

PANI HELBIG

(*z ociąganiem*) A ja ciągle sobie myślę, że może Fritz...

HELBIG

Ten hultaj już dawno i matkę, i ojca zapomniał, o to możesz być spokojna. Jemu nic nie brakuje, nie takiemu jak on... No, jeśli chcesz, przemyśl to sobie... Ja wyskoczę jeszcze po papierosy, a jak wrócę, to mi powiesz. Może potrwa to z kwadrans, jeszcze się raz przejdę po placu... Bywaj, Anna... (*wychodzi*)

PANI HELBIG

(*wstaje, rozgląda się nerwowo, załamuje ręce, podchodzi do okna, przyciska twarz do szyby*) Miłościwy Boże, zlituj się nad nami, miłościwy Boże, zlituj się, spraw jaki cud. Niech tu zaraz Fritz przyjdzie z workiem pełnym pieniędzy. Niech będzie, że na przykład spotkał gdzie jakiego starego Amerykanina i on mu oddał wszystkie swoje pieniądze. Och, Boże miłościwy, dobry Panie Boże, niechże to będzie prawda!... Toż nie mogę pozwolić mojemu Wilhelmowi samemu umierać. A ja sama nie chcę jeszcze umierać... (*szlochając*) Tak się boję. I mojego Fritza choć raz jeszcze zobaczyć chcę! Miłościwy Boże, miłościwy Boże zlituj się nad nami! (*przez chwilę patrzy szeroko otwartymi oczami przez okno. Głośne pukanie do drzwi. Pani Helbig odwraca się z nagłą radością*) Fritz!! (*biegnie do drzwi, otwiera*)

PANI RIPPERT

(*wchodzi do środka, z gazetą w ręku*) Spokojnie, spokojnie, pani Helbig. To przecie tylko ja. Ja tylko chciałam pani powiedzieć, kochaniutka, żeby pani na męża uważała. Właśnie go spotkałam i, jak na mój gust, to on dość dziwacznie wyglądał.

Mało co go auto na środku ulicy nie przejechało.... Całkiem półprzytomnie szedł, tak przed siebie, i ani na prawo, ani na lewo nie patrzał... No to zara wiedziałam, że musi coś z nim na górze nie w porządku.

PANI HELBIG

Jakby kto całe życie, dzień po dniu pracował, a tu nagle, od roku, nie ma nic do roboty, to też by mu się w głowie poprzestawiało... Ale mój mąż ma jeszcze w głowie całkiem jasno, może mi pani wierzyć, pani Rippert, on by się mógł jeszcze z całkiem młodymi zmierzyć!

PANI RIPPERT

Tak, tak, czas pędzi jak na wrotkach. No a niechże mi pani powie, kochaniutka, jeśli szanowny małżonek już tak długo bez roboty, to pewnie i zasiłek dla bezrobotnych, i zasiłek od kryzysu już nie przychodzą... No może dostajecie jeszcze parę groszy zapomogi od opieki społecznej i, niechże tego pani kochaniutka mnie za złe nie bierze, ale z czego to, jeśli wolno spytać, będzie pani za czynsz...?

Pani Helbig milczy.

PANI RIPPERT

Wie pani, kochaniutka, to nie moja sprawa, ale ja to się już tak po cichu od dłuższego czasu dziwię, że pani ciągle ten droższy pokój chce trzymać.

PANI HELBIG

(*apatycznie*) Gdzieś człowiek w końcu mieszkać musi...

PANI RIPPERT

No tak, no tak, naturalnie, kochaniutka, ale nie trza od razu własnego miejsca... Każdy gdzieś tam ma przecie krewnych, do których można w potrzebie dokoptować. No a pani przecie i dorosłego syna ma, nie? On z pewnością ma jaką izbę, co?

PANI HELBIG

(*tępo przed siebie*) Nie, nie ma...

PANI RIPPERT

A co, on też bezrobotny?

Pani Helbig milczy.

PANI RIPPERT

No tak, to tylko krzyż pański dzisiaj z tymi dziećmi! Gdyby się wcześniej wiedziało, jak to będzie, to może by se jeden z drugim przemyślał, zanim się dziecko na świat przynosi... No i trza się tylko cieszyć, jak dzieciaki nie zaczynają żadnych ekstra durnot wyprawiać. Niech se pani popatrzy tu, kochaniutka, tu stoi w gazecie: „Młodzieżowa banda rabunkowa zlikwidowana. Rabusie zastrzeleni podczas próby ucieczki!" A tacy młodzi, kochana, po dziewiętnaście, dwadzieścia lat.

PANI HELBIG

(*w czasie ostatnich zdań wymawianych przez panią Rippert śmiertelnie pobladła, wydaje z siebie ciche, przytłumione, nieartykułowane dźwięki, które w końcu układają się w słowo „nie"*) Nie! Nie! Nie! Nie!...

PANI RIPPERT

A właśnie że tak, kochaniutka! Całkiem jasno tu stoi.. I nawet zdjęcia tych złodziejaszków tu som... (*rozkłada gazetę przed panią Helbig*) Śmieszne... Ten jeden to nawet trochę jak pani chłopak wygląda. Tak z nosa, i z ust... (*czającym się tonem*) To mógłby być brat pani chłopaka...

PANI HELBIG

(*nagle całkiem opanowana, wyprostowana, przenikliwym, ostrym tonem*) Ale jakże może pani coś takiego nawet mówić, pani Rippert?! Mój chłopak! Ależ on całkiem inaczej wygląda! Mój Fritz, on przecie brody nie nosi!... I dużo wyższy, i tęższy od tego tu... A i o wiele ładniejszy on jest, mój Fritz. W ogóle nie rozumiem, jak pani może o jakim podobieństwie gadać.

PANI RIPPERT

No nie żebym na złe to mówiła, pani Helbig. Toż to ja pani syna tylko tak w przejściu widziała.

PANI HELBIG

No tak, a on teraz i tak w Hamburgu..., jest..., mój Fritz!

PANI RIPPERT

No, no – w Hamburgu... – no to pewnie i na morze...

PANI HELBIG

Tak, tak, on właśnie chce... – kapitana też już se znalazł, co to go chce zaciągnąć.

PANI RIPPERT

No to ahoj! Szczęścia życzyć! To on powinien i pani co nieco z żołdu przysłać.

PANI HELBIG

No i przyśle. Na pewno przyśle...

PANI RIPPERT

No to dobranoc, pani Helbig. Niech pani na męża uważa!

PANI HELBIG

Dobranoc, pani Rippert.

Pani Rippert wychodzi przez środek sceny. Pani Helbig patrzy za nią, siedzi przez moment bez ruchu, podnosi się i ciężkim, powłóczystym krokiem rusza w stronę komody, wyjmuje fotografię z szuflady, wraca do stołu, opada na krzesło, przygląda się zdjęciu, wydaje z siebie szloch, chowa zdjęcie za dekolt, kładzie ręce na stół, ukrywa twarz w dłoniach. Jej ramiona zaczynają drgać. Zanosi się płaczem. Drzwi otwierają się. Wchodzi Helbig.

HELBIG

No i jak będzie, Matka?

PANI HELBIG

(*opuszcza ręce, całkiem spokojnie i z opanowaniem*) Idę z tobą, Wilhelm.

KURTYNA

* * *

II INTERLUDIUM

Wąska boczna kurtyna podnosi się po lewej stronie. Widzimy ulicę na przedmieściu, przed wysypiskiem śmieci; kilkoro dzieci buszuje w śmieciach. Zbliża się jakiś mężczyzna, przystaje.

PAN (MORALNY)

Co wyprawiacie tu dzieci? Na litość boską, co?

DZIECKO PIERWSZE
Grzebiemy.
DZIECKO DRUGIE
Grzebiemy.
DZIECKO TRZECIE
Ślepy pan, czy co?
PAN
(*oburzony*) Fuj, do diabła, toż to brud i śmieci.
(*szyderczo i wrzaskliwie rechoczą się dzieci*)
I jeszcze wrzeszczycie jak Indianie dzicy!
DZIECKO PIERWSZE
A co pan od nas chce i czego tak krzyczy? Świetne tu są łupy!
DZIECKO DRUGIE
A dzisiaj niedziela! Patrz pan, kość do zupy!
DZIECKO TRZECIE
Tam, widzi pan, kość, a tu boczku kawał...
DZIECKO PIERWSZE
(*wyciąga ze śmieci marchewkę i triumfalnie podnosi ją ku górze*) Hurra! Mam marchewkę! (*wkłada ją do ust*)
PAN
I tak z całym brudem do gęby ją wkładasz?
Straszne z was pętaki!
Poczekaj ty tylko, aż cię matka złapie.
Przetrzepie ci skórę, że się nie pozbierasz.
Dzieci śmieją się.
DZIECKO TRZECIE
A po co się pan na nas, jak głupek, wydzierasz?
Toż ona sama nic ni ma –
I cieszy się srodze, jak my se co znajdziemy
I pojemy w drodze.
DZIECKO PIERWSZE
A jak to panu tak strasznie przeszkadza,
Bo jużeś pan taki zapasiony kretyn,
Niech se pan w chmury patrzy,
Tam sterowiec leci.
Widzisz pan? W sam środek bielutkiej serwatki...
DZIECKO DRUGIE
Ach Boże! Ten ma dobrze!
Zabiera manatki, nażre się do syta i w dal sobie leci –
I do tego wie, po co tak lata po świecie.
Wie i dokąd leci, i gdzie sobie spocznie.
I wie też, czemu się błąka samotnie.
To powiedz nam pan, jakeś taki cwany,
Bo u nas jest takie do pana pytanie:

Jesteśmy... a nie wiemy, czemu?
Rośniemy... choć nie wiemy, po co?
Idziemy... powiesz pan nam, dokąd?...
Czy będzie inaczej?
No i w ogóle, co to wszystko znaczy?

Na co jeszcze pan czekasz i po co tu siedzisz
Skoro nie masz pan na to żadnej odpowiedzi?

KURTYNA

* * *

OBRAZ II

Na ekranie widzimy migoczące litery doniesienia prasowego. Tłustym drukiem: T r a g e d i a p i a n i s t y. Pozostałe wyrazy są nieczytelne. Przy spuszczonej kurtynie słyszymy dźwięki fortepianu, grane wielokrotnie te same takty, które urywają się ciągle w tym samym miejscu. Powtarza się to trzy lub cztery razy, po czym kurtyna podnosi się. Widzimy młodego człowieka przy fortepianie, który w skupieniu powtarza te same takty, po czym w geście najwyższego wyczerpania opuszcza ręce i prześlizguje się palcami po klawiaturze, wydając dysharmonijne dźwięki. Pokój wyposażony jest w najniezbędniejsze przedmioty. Na prawo, przed oknem, na tylniej ścianie – drzwi. Pukanie. Lutz podrywa się, waha..., ponownie pukanie. Lutz pomału podchodzi do drzwi, otwiera.

WALTER
(*w otwartych drzwiach*) Nie przeszkadzamy chyba?
OESTER
(*widoczny za Walterem*) Bo jeśli tak, to natychmiast wychodzimy.
LUTZ
(*wymuszenie*) Ależ skąd, nie... proszę, wejdźcie do środka. (*do Waltera, patrząc znacząco na Oestera*) Nie chcesz...?
WALTER
Och tak, przepraszam, zapomniałem... Mój przyjaciel Lutz Willner, a to pan Wilhelm Oester, mój znajomy. (*witają się*) Właśnie byliśmy w pobliżu i chciałem na chwilkę do ciebie zaglądnąć. A pan Oester i ja chcieliśmy też cię o coś zapytać...
LUTZ
(*z wymuszonym uśmiechem, wskazuje na krzesła*) Proszę bardzo, niech panowie usiądą. (*Oester i Walter siadają, podczas gdy Lutz stoi oparty o biurko*)
WALTER
(*nieco zawadiacko*) No, jak leci chłopie? Co nowego?
Lutz milczy.
WALTER
Ciągle nic? Żadnych perspektyw?!...

LUTZ

(*wzruszając ramionami*) Perspektyw?! Mój Boże, perspektywy istnieją zawsze! Droga do piekła wyłożona jest perspektywami!

OESTER

(*śmieje się błazeńsko*) Wspaniałe!

WALTER

Droga do piekła? A cóż znowu za romantyzm! Zresztą jakiś procent perspektyw zawsze się materializuje. Trzeba tylko odczekać. To wszystko zależy. A jak jeszcze posiada się coś wartościowego. No to wtedy w ogóle... Taaak... Myślałeś właściwie kiedyś o tym, żeby swój fortepian... Mógłbyś przecież sprawić sobie nowy, jak tylko zacznie ci się znowu powodzić. Nawet znacznie lepszy niż ten stary...

LUTZ

(*boleśnie poruszony, udaje że nie rozumie*) Co masz na myśli?

WALTER

Nie ma w tym nic takiego nadzwyczajnego... Sprzedałbyś instrument znawcy.

LUTZ

(*asekurując się*) To w ogóle nie wchodzi w rachubę.

WALTER

Ależ to zupełny nonsens! Przecież chodzi o krótki okres. Zresztą prawdziwy muzyk w ogóle nie potrzebuje instrumentu. Wszystkie nuty ma tu, w środku! Na przykład głuchy Beethoven właśnie w okresie swej głuchoty skomponował najpiękniejsze dzieła.

LUTZ

(*poirytowany*) Ja nie jestem Beethovenem! A zresztą Beethoven widział swój fortepian i mógł dotykać klawiszy, kiedy chciał.

WALTER

No a t y nie będziesz mógł przez jakiś czas „dotykać klawiszy". A jak tylko wyjdziesz z tarapatów kupisz sobie nowy!

LUTZ

Przyzwyczaiłem się do tonu mojego instrumentu!

WALTER

Też mi powód! To się i do innego przyzwyczaisz...

LUTZ

(*odmownie*) Ja w ogóle nie rozumiem, o czym ty mówisz.

OESTER

(*zmieszany*) Bo ja mianowicie chętnie bym... Chciałbym... Pan Wedel powiedział mi... że pan... I gdyby się pan rzeczywiście zdecydował... Moja narzeczona jest bardzo muzykalna i byłbym szczególnie szczęśliwy, gdybym mógł instrument, który należał do muzyka takiej rangi...

WALTER

(*do Oestera*) Ton jest wyjątkowo piękny, nieprawda? Słyszeliśmy przez drzwi. A ja byłem przy tym, jak Lutz go wybierał. Spośród setek fortepianów! I na zewnątrz też wygląda bez zarzutu! Jak nowy! (*zamyka klapę*) Jakby prosto z fabryki przyjechał. Już dotykać go to sama radość. (*prześlizguje się rękami po zamkniętej klapie i po wewnętrznej stronie klawiatury. Nagle przestraszony*) Jak to? A co to takiego? (*schyla się, odwraca ze zgrozą*) Doprawdy! Tu jest coś przyklejone...

LUTZ

(*boleśnie*) Mówiłem ci już, że sprzedaż w ogóle nie wchodzi w grę.

WALTER

No to mogłeś się chociaż wyrażać nieco jaśniej... Dzisiaj to żadna hańba mieć w domu takiego ptaszka... Za ile jest zastawiony?

LUTZ

Osiemset marek.

WALTER

A niech to piorun...

OESTER

O... to znacznie przekracza sumę, którą ja miałem...

WALTER

Ależ naturalnie! W ogóle nie w chodzi w rachubę! (*do Lutza*) No po co w ogóle pozwalasz mi sobie gębę strzepić...

LUTZ

Wybacz mi, ale jestem nieprzyzwyczajony, żeby swoje sprawy przed obcymi...

OESTER

O, proszę mi wybaczyć. Nie chciałbym się w żaden sposób narzucać... Ogromnie mi przykro, ale ja nie byłem w stanie przewidzieć... teraz pozwoli pan, że się pożegnam? (*podchodzi do Lutza, wyciąga rękę*) Było mi... Było mi niezwykle przyjemnie... (*do Waltera*) Pan zostaje jeszcze chwilę, Wedel, tak? Poczekam na pana przy Müller&Co. (*Lutz odprowadza go do drzwi*)

WALTER

Przyjdę za parę minut.

LUTZ

(zamyka drzwi za Oesterem, pomału podchodzi z powrotem do Waltera) Doprawdy mogłeś mi tego oszczędzić!

WALTER

(*zdenerwowany*) To to człowiek dostaje za to, że się o przyjaciół troszczy! A ja myślałem, że będziesz mi wdzięczny! Zresztą nie mogę pojąć, dlaczego z tobą aż tak źle! Jak to jest możliwe?

LUTZ

(*z ociąganiem*) Miałem przecież długi za wykształcenie. Przyjaciel mojego ojca, który pożyczył mi pieniądze, umarł i jego spadkobiercy... resztę sobie możesz sam dośpiewać. (*głośne pukanie do drzwi, Lutz reaguje ze strachem*)

WALTER

(*z irytacją*) Co się tak boisz? Otwórzże, no!

LUTZ

(*z wahaniem*) Dobrze, dobrze, zaraz... Teraz ciągle tak się boję...

WALTER

Ależ to absurdalnie śmieszne! Trzeba trzymać nerwy na postronku! (*pukanie rozlega się ponownie*)

LUTZ

(*przesadnie głośno*) Już, już! Już idę! (*podchodzi do drzwi, otwiera*)

GŁOS LISTONOSZA

List polecony, proszę tu podpisać.

LUTZ

Już, proszę... (*podpisuje, zamyka drzwi, rzuca list na biurko*)

WALTER

Dlaczego nie otworzysz tego listu?

LUTZ

Znam jego treść: rachunek od krawca!

WALTER

(*zadziwiony*) Rachunek od krawca?! Taak, no wybacz mi, ale w twojej obecnej sytuacji...

LUTZ

Zamówiłem ubranie na kredyt, jak jeszcze miałem pracę.

Milczenie.

WALTER

Zresztą chodzi tu o całkiem małą sumę. Jak to jest możliwe?...

LUTZ

To wszystko przez film dźwiękowy. To powinno ci wiele wyjaśnić. Pięć tysięcy muzyków w Berlinie – bez chleba! Ja jestem tylko jednym z nich.

WALTER

Ale ty do tego źle podchodzisz. Taki utalentowany pianista jak ty, który jeszcze do tego potrafi komponować, powinien z łatwością zarobić na chleb. Są faceci, którzy nawet połowy tego co ty nie potrafią, a robią mnóstwo forsy!

LUTZ

(*ironicznie*) Szczęściarze, którzy zawsze mają dobre pomysły, a mianowicie takie, na które właśnie jest zapotrzebowanie. Ale jak ktoś chce iść swoją własną drogą...

WALTER

Bzdura! Tyle dzisiaj zapotrzebowania na sztukę! Każdy dobry pomysł może znaleźć spełnienie.

LUTZ

(*apatycznie*) Być może... Ale mi już żadne pomysły do głowy nie przychodzą.

WALTER

Nie wmówisz mi tego. Ty, który wytrzepujesz melodie z rękawa... takich rzeczy nie traci się z dnia na dzień, tylko dlatego, że człowiek posady nie ma...

LUTZ

Ja też tak na początku myślałem. Wtedy, kiedy się orkiestra rozwiązała. Tak, właściwie strasznie się wtedy nawet ucieszyłem. Nareszcie nie będe musiał grać tych cudzych śmieci! Nareszcie będę miał czas na własną pracę!... Pierwszy miesiąc był po prostu fantastyczny – pracowałem jak nigdy przedtem. W ciągu czterech tygodni miałem gotową pierwszą część symfonii. Ale potem przyszły pierwsze rachunki...

WALTER

(*zdziwiony*) Jakie rachunki?

LUTZ

O, nic takiego nadzwyczajnego: normalne miesięczne rachunki. Rachunek za gaz, od piekarza, od krawca – dokładnie takie same rachunki jak przedtem, tylko że teraz już nie byłem w stanie za nie płacić...

WALTER

Czegoś takiego nie trzeba dzisiaj traktować aż tak tragicznie.

LUTZ

Na początku wcale nie traktowałem tego tragicznie. Ale wkrótce okazało się, że te liczby i litery mają małe kotwiczki. I tymi kotwiczkami zaczęły zahaczać się w mózgu.

WALTER

(*na pół ze śmiechem, na pół z odrazą*) Ależ z ciebie...

LUTZ

A tyś nie dostał jeszcze rachunku, którego w najbliższym czasie nie jesteś w stanie zapłacić?

WALTER

No nie wiem w tym momencie...

LUTZ

To tego nigdy nie zrozumiesz. Taki świstek waży przecież tylko parę gramów, nie? (*podnosi kopertę z rachunkiem od krawca i rzuca ją ponownie na stół*) A jednocześnie czuje się, jakby ktoś walnął człowieka w głowę 50-kilogramowym kamieniem... A potem wbijają się człowiekowi w mózg te obrzydliwe kotwiczki, głębiej i głębiej, aż wypełniają całą głowę i na nic innego już nie ma miejsca. Nie można o niczym innym myśleć, nic już się nie czuje... Liczy się tylko i liczy... Jakby się było żyjącą maszyną do liczenia... Osiem plus dziewiętnaście, plus dwadzieścia dwa...

WALTER

Dosyć już tego! Jeszcze i mnie wciągniesz w ten obłęd!... Zresztą, szczerze mówiąc, trochę mnie to wszystko dziwi... Przecież tyle razy słyszeliśmy, że prawdziwy artysta właśnie w czasie największej biedy tworzy najwspanialsze dzieła, Mozart na przykład...

LUTZ

(*podskakuje z miejsca i z zaciśniętymi pięściami rusza w kierunku Waltera*) Jak jeszcze raz wymienisz jakieś wielkie nazwisko, to cię własnymi rękami zrzucę ze schodów, rozumiesz?

WALTER

No, łaskawie się pohamuj, dobrze?... Ja sobie głowę łamię, żeby ci pomóc...

LUTZ

Niepotrzebnie. Nic dobrego z tego nie wychodzi.

WALTER

Niezwykle jesteś uprzejmy, trzeba przyznać. Zresztą nie wiem, co się z tobą dzieje... Kiedy widzieliśmy się ostatni raz, przed trzema tygodniami, miałeś jeszcze krzynę rozsądku...

LUTZ

(*pokazuje na swoją głowę*) K o t w i c z k i pozahaczały się w międzyczasie nieco głębiej... A potem... (*rzuca się do fortepianu i wesoło nuci*) „Przyleciał ptaszek i przysiadł sobie"... tak, tak, właśnie tam, na moim fortepianie...

WALTER

(*zdziwiony*) I t o cię a ż t a k ?...

LUTZ

Być może... Bo w każdej chwili mogą mi go zabrać. Ciągle próbuję – ale to na nic... Parę taktów się udaje, a potem takie okropne zimno wpełza mi w palce

i wtedy koniec – jakby się złamało. Zawsze w tym samym miejscu. Czasami mam wrażenie, że postradałem zmysły... (*podrywa się i zaczyna chodzić po pokoju tam i z powrotem*)

WALTER

Biedaku! Gdybym ci ja tylko mógł jakoś pomóc! Można by przecież znaleźć jakiegoś sponsora...

LUTZ

(*nadsłuchuje, zatrzymuje się, wykrzywia twarz*) Cicho!...

WALTER

Co ci? No co ty?...

LUTZ

(*jak obłąkany*) Nie słyszysz?... Nadchodzi.. Zaraz tu będzie!...

WALTER

Ależ to może być ktoś do kogoś innego...

LUTZ

Nie. Ja wiem, kiedy idą do mnie... (*głośne pukanie do drzwi*) Widzisz!... (*otwiera*)

URZĘDNIK

(*popycha drzwi*) Rachunek za światło i gaz. Może pan dzisiaj zapłacić?

LUTZ

Nie.

URZĘDNIK

No to muszę zamknąć. (*podchodzi do liczników*)

WALTER

(*podrywa się*) Nie zostawi pan przecież człowieka bez ognia i światła?! Ile wynosi rachunek?

URZĘDNIK

Jedenaście marek, dziewięćdziesiąt pięć. Za dwa miesiące.

WALTER

(*wysypuje zawartość portfela*) Pięć, siedem, osiem marek, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt fenigów. (*do Lutza*) Ty musisz coś jeszcze mieć?

LUTZ

(*apatycznie*) Dwie marki, siedemdziesiąt pięć.

WALTER

(*do urzędnika*) Brakuje tylko pięćdziesięciu fenigów! Chyba pozwoli pan, że się dogadamy, panie inspektorze gazowy?!

URZĘDNIK

Jak nie dostanę całej sumy, muszę zamknąć.

WALTER

Proszę poczekać... Niechże pan po prostu powie, że nie zastał pan nikogo w domu.

URZĘDNIK

A toby ładnie było, gdybym zaczął moje władze okłamywać. Wypełniam swój obowiązek, a reszta mnie nie obchodzi. (*grzebie przy gazomierzu*) Jak pan zapłaci, to się znowu włączy. No, do widzenia, panowie. (*odchodzi*)

WALTER

Jak automat – bezduszny i wyrachowany! No ale jutro doprowadzę tę sprawę do porządku!

LUTZ

Widzisz, miałem rację... Tak, z czasem to już przez drzwi się czuje, kiedy coś takiego znowu nadchodzi. To takie śmieszne uczucie, za każdym razem... Zaczyna się w żołądku, a potem przenosi się wyżej, do gardła... Czasami chciałoby się ze strachu pod ziemię zakopać... (*przykuca na sofie i siedzi milcząco przez parę chwil*)... Ale wiesz co, właściwie to zupełnie fantastyczne, że po śmierci nie dostaje się już żadnych rachunków!

WALTER

Chłopie, chłopie. Jeszcze w wariatkowie wylądujesz! No, tak dłużej z tobą być nie może. Musisz wyjść z tego pudła i tej swojej przeklętej samotności... Jak pobędziesz wśród ludzi...

LUTZ

Mam się może ustawić na placu i zacząć nielegalny handel starymi nutami?

WALTER

Nie gadaj głupot! (*pauza*) Już od jakiegoś czasu mam taki pomysł... Ale ty jesteś zawsze taki nieprzystępny... A sprawa jest, jak się tak dobrze pomyśli, wcale nie taka zła... No to uważaj... W pobliżu mojego mieszkania jest mała knajpka z kabaretem. Czasem tam jadam – gospodarz to sympatyczny, jowialny człowiek. A właśnie wczoraj zachorował jego pianista. Jestem pewien, że gdybym mu szepnął słówko... Oczywiście musiałbyś postawić rozsądne warunki... No, czemu nie odpowiadasz?

LUTZ

(*zamyślony*) Taaak, takie proste to znowu nie jest... Wśród smrodu, potu, dymu, brzękania talerzy...

WALTER

No to co? W końcu do przodu trzeba iść, rzucać się w nowe rzeczy – to cię rozgrzeje! Zresztą taka nieskażona publika ma swój urok...

LUTZ

Tak, chyba nic innego mi nie zostaje... A więc jeśli możesz być tak dobry i porozmawiać z tym panem...

WALTER

(*zadowolony*) No, nareszcie jakieś rozsądne słowa. Zobaczę, czy uda mi się go namówić, żeby tu przyszedł. Będzie lepiej, jak zagrasz coś dla niego na własnym instrumencie. No, to połam palce! Jak się następnym razem zobaczymy, będziesz innym człowiekiem!

LUTZ

(*z niepewnym uśmiechem*) Tak myślisz?...

KURTYNA

Pół minuty ciszy. Kurtyna podnosi się, widzimy to samo pomieszczenie jak w poprzednim Obrazie. Gospodarz Kubalke stoi w pobliżu drzwi – przed nim Lutz.

KUBALKE

(*kłania się*) No, Kubalke jestem. Kubalke. Gospoda „Pod Głodnym Wilkiem". Wielce szanowny pan Wedel, a mój gość, powiedział, że miałbyś się pan ochotę zatroszczyć o przyjemności artystyczne w mojej gospodzie. Bo o inne przyjemności to ja troszczę się sam, to znaczy nie sam, bo i z moją starą. Cymes jedzonko, palce lizać – to panu muszę szczerze powiedzieć. No tom od razu w drogę wyruszył. Bo na co czekać, nie? Ja potrzebuję muzyka, pan potrzebujesz posady, no to...? Zbyt dużo to panu w tym naszych ciężkich czasach dać nie mogę – ale trochę to zawsze lepiej niż nic, nie? No więc jeśli mi się pan spodobasz, to dostaniesz pan ciepłą strawę i trzy marki na wieczór. Grać pan będziesz od ósmej do trzeciej.

LUTZ

Siedem godzin?!... Nie sądzi pan, że to może być trochę za dużo dla pana gości?

KUBALKE

A sądzisz pan, kochanieńki, że to zawsze ci sami?... A to by dopiero było – jak to by z konsumpcją było? Czasem to taki jeden z drugim zamarudzą i cały wieczór, ale nie bój się pan, takiemu się muzyka nie sprzykrzy. Takie ludzie się zdarzają, mówię panu, ja wiem, bom sam taki..Ja muzyki nigdy dość nie mam. To tak już w całej naszej familiji. Mój tatuś sam był muzykant. W armii na bębnach grał i tak się i w dzieciakach upodobanie do muzyki wdrożyło. Nie tylko do muzyki, ale do artystów też. Ja zawsze czułem spokrewnienie z artystami... Dlatego zawsze prawdziwych artystów angażuję, zamiast, jak inni, się gramofonem obejść. Żywych, bo żywy to zawsze żywy i to jedyne prawdziwe w sztuce! A kto ma serce tam, gdzie trza, ten wie, jak ma być. Mówię panu, kochanieńki, nasi ludzie na wschodzie, oni to tacy znawcy sztuki, że byś się pan zdziwił. Oni to dokładnie wiedzą, jak rozróżnić, kto prawdziwy muzyk – taki z temperamentu – a kto zwyczajna atrapa. No to zasuwaj pan, kochanieńki, zagraj pan co. Jak się mi pan spodobasz, to zaraz dzisiaj możesz pan przyjść. Najprzedniejsze żeberka z kapustą dziś wieczór mamy... No, zasuwaj pan...

LUTZ

(*z wahaniem*) Ja wolałbym dopiero jutro...

KUBALKE

Bzdury, kochanieńki. Nie odsuwa się dobrych rzeczy na potem. Jak się coś przegapi, to drugiemu spadnie. No, siadaj pan przy pianinie i zasuwaj pan. (*otwiera klapę*) Czas to pieniądz!

LUTZ

Chciałbym też panu powiedzieć, że ukończyłem konserwatorium z wyróżnieniem, a przez dwa lata grałem...

KUBALKE

Ależ mój dobry człowieku, a co mi pan tu z paradą starych wielbłądów wyskakujesz! A co mnie pana przeszłość obchodzi?! Ja jestem nowoczesny, niezależny człowiek. Ja se sam zdanie wyrabiam. Zresztą, co dobre w sali koncertowej, nie musi wcale

pasować do gospody „Pod Głodnym Wilkiem". No, nie ociągaj się pan już jak stara panna, kochanieńki. Życiem pan przecie nie ryzykujesz.

Lutz siada z wyraźną niechęcią i zaczyna z werwą grać marsz toreadora z „Carmen".

KUBALKE

(*przez chwilę przysłuchuje się w milczeniu, nagle przerywa*) Dość już, starczy, kochanieńki, pierwszorzędnie, naprawdę pierwszorzędnie. Gdybym miał dzieciaki, zaraz posłałbym je do pana na lekcje. Ale do „Głodnego Wilka" to się, oczywista, nie nadaje. Taką muzyką, to całą klientelę byś mi pan przepędził.

LUTZ

(*podnosi się*) Nie rozumiem, dlaczego uważa pan, że wschodnia publiczność...

KUBALKE

Ależ kochanieńki, przecie pan nie wczorajszy... Nowocześnie musi być i ikrę musi mieć. O ikrę się dzisiaj przede wszystkim rozchodzi. O ikrę, a nie o melodię się rozchodzi. I o uderzenie. Trzeba walić w klawiaturę, że aż się cały fortepian od spodu po górę kołacze. Tak ma być, jakbyś pan jaką dorodną dziewuchę przed sobą miał i tak byś pan ją brał, że ani pisnąć by się ważyła. Ja kiedyś takiegom grajka miał, że wszystkie baby jak przyklejone przy nim siedziały. Tak były nim opętane, aż do trzeciej rano jak zaklęte siedziały i najchętniej toby wszystkie z nim do łóżka poszły. Coś takiego i pan chciałbyś przeżyć, nie? No, pokażże pan, kochanieńki, że coś takiego i pan potrafisz. Jakiegoś szlagierka niech pan zagra, no coś wartkiego, no...

LUTZ

Dotychczas nic takiego nie grałem... Obawiam się, że się pan rozczaruje.

KUBALKE

Nie tak skromnie, kochanieńki, nie tak wrażliwie! Jak się chce, to się umi.

Lutz siada z oporami przy fortepianie i w szybkim tempie gra najnowszy szlagier.

KUBALKE

Całkiem ładnie, kochanieńki, całkiem ładnie. No i dobrze, że panu nie wierzyłem, co? A i sam pan sobieś nie wierzył, co? Uważaj pan tylko, z czasem to jeszcze będzie z pana numer! Zabłyśniesz pan jeszcze i se będą pana z rąk wyrywali! (*krótka pauza*) Tylko musisz pan sobie jakiś własny styl znaleźć, jakąś manierę musisz sobie pan wyrobić. Widzisz pan, maniera, o to dzisiaj się rozchodzi przede wszystkim... Mówię panu, maniera to jest to, co przynosi interes. Bo widzisz pan, dziesięcioma palcami to i Adam z Ewą grać potrafili.

LUTZ

(*ironicznie*) W ogóle pana nie rozumiem, panie Kubalke. ...Przecież nie mogę wejść na fortepian i go nogami tratować...

KUBALKE

Nie, nie, kochany, na toś pan za ciężki. Połamałbyś mi pan wszystkie klawisze. Ale, jak się nastrój podniesie i zagotuje, to walnąć pięścią w klawisze z kilka razy i cała publiczność ryczy z zachwytu.

LUTZ

(*sucho i chłodno*) Czy ma pan może jeszcze jakieś życzenia, panie Kubalke?

KUBALKE

(*zastanawiając się*) Wie pan co, kochanieńki, to z pięściami to całkiem dobre, ale to jeszcze nie ten ostateczny efekt. Ostateczny efekt, widzisz pan, musi być pioruńsko

śmieszny. Tak zupełnie to ludzie będą kontentni, jak się dobrze uśmieją. No, to co możemy zrobić? Masz pan jakiś plan, kochanieńki?

Lutz wzrusza ramionami.

KUBALKE

(*podrywa się*) Mam! Na serio, mam! No, słuchaj pan: jak już pan skończysz grać jakiś kawałek i wszyscy myślą, że to już koniec, to się pan nagle odwrócisz i... (*wali Lutza w plecy, odwraca go, tak żeby mógł się przyjrzeć jego plecom*) No, Bogu dzięki, że masz pan tył dobry, szczupły; no to się pan szybko odwracasz i potem tyłkiem tak po klawiaturze na całej długości pan jedziesz. Mówię panu, śmich masz murowany! (*pokazuje to Lutzowi*) Patrz pan! No, dokładnie tak!

LUTZ

Wspaniałe, rzeczywiście wspaniałe!

KUBALKE

Tak właśnie musisz pan to zrobić! No ale naturalnie z większym naciskiem i z wyczuciem.

LUTZ

(*z gorzką ironią*) Oczywiście! Trzeba to właściwie zaakcentować!

KUBALKE

Co?! Jak?! Co zaakcentować? ! A, no tak, naturalnie! No, to się cieszę, żeśmy się tak dobrze zrozumieli. No to wpadnij pan dzisiaj wieczór.

LUTZ

(*ze sztywnym ukłonem*) Tak jest, dzisiaj wieczór.

KUBALKE

Tylko żebyś pan punktualnie na czas przyszedł.

LUTZ

Proszę się nie obawiać, panie Kubalke. Będę punktualnie, co do minuty.

KUBALKE

(*wychodząc*) Do widzenia, kochanieńki. Długom u pana zabawił. Już się całkiem ciemno zrobiło. Musisz pan se światło zapalić. (*wychodzi*)

LUTZ

Zapalę sobie światło, panie Kubalke. (*zamyka drzwi za Kubalke, przeciąga się, wyciąga ramiona, podbiega do okna, otwiera je, patrzy przez chwilę przez okno, podchodzi do biurka, bierze pudełko zapałek, chce zapalić gaz, opamiętuje się, odrzuca zapałki. Podchodzi do umywalki, bierze gąbkę, podchodzi do fortepianu, pieczołowicie zmywa plombę komornika, mruczy*) Dzięki Bogu. (*siada przy fortepianie, zaczyna grać. Słyszymy ciężkie kroki i głosy przed drzwiami, Lutz ostrząsa się, przestaje grać, cicho zamyka fortepian*)

GŁOS

(*za drzwiami*) Tak, to tu. Niechże pan otwiera, młody człowieku, musimy zabierać to rzępadło.

LUTZ

Nie mogę otworzyć, jestem chory.

GŁOS

(*za drzwiami*) A co to się znaczy, chory? Podchodźże pan do drzwi, jak pan jeszcze na nogach stać możesz.

LUTZ

Nie mogę... Nie mogę się w ogóle ruszać...

GŁOS

No to nie. No to musimy po ślusarza zawołać. Instrument musimy zabierać, tak czy tak.

Lutz odwraca się w stronę fortepianu, obejmuje go ramionami, kładzie na nim głowę, potem rozgląda się niespokojnie po pokoju, podchodzi do jednej ze ścian, zdejmuje z niej duży obraz, odwiązuje sznur, sprawdza jego wytrzymałość – wszystko bardzo powolnymi i jednocześnie nieobecnymi ruchami. Przywiązuje jeden koniec sznura do klamki, przewiesza go sobie przez ramię i powoli rusza w kierunku okna. Nagle zatrzymuje się, jakby rażony piorunem. W tym momencie zapala się latarnia na ulicy i oświetla mu głowę... Na twarzy występuje mu wyraz niemal bolesnego szczęścia... Podnosi się na palcach i wydaje z siebie melodyjny dźwięk, któremu pozwala długo rozbrzmiewać... Potem energicznymi ruchami rzuca na podłogę kilka książek, wspina się na tę piramidę i wydaje z siebie następny, teraz nieco wyższy ton... Kiedy ton przebrzmiewa, wchodzi na krzesło i wydobywa z siebie trzeci, jeszcze wyższy ton, czeka aż przebrzmi, wchodzi na stół, czwarty ton, wraca na krzesło, piąty, na stół, szósty, w końcu na framugę okna, siódmy. Wszystkie te tony tworzą razem specyficzny motyw, ten, którego poszukiwał na początku Obrazu. Podczas kiedy Lutz, jak symboliczne uosobienie tego motywu, wchodzi i schodzi z przedmiotów, w pokoju staje się zupełnie ciemno. Jaskrawie oświetlona od zewnątrz jest tylko jego głowa, tak że jego twarz wygląda jak cała, wznosząca się i opadająca na pięciolinii nuta. Kiedy na najwyższym tonie motywu wkłada głowę w pętlę – opada.

KURTYNA

* * *

III INTERLUDIUM

Ulica, która na początku sceny jest pusta, a z której głębi rozlega się męski śpiew. Dopiero przy trzeciej zwrotce mężczyźni stają się widzialni – są to młodzi, skromnie lecz schludnie ubrani mężczyźni, w typie pracujących studentów. Motyw muzyczny pieśni jest ten sam, którego w poprzednim Obrazie poszukiwał muzyk.

Ciągniemy ulicami,
Ciągniemy miastem tym,
Wśród dżungli pustych domów –
Schronienia nie ma w nim...

Z pieśnią i pustym brzuchem
Krążymy miastem tym,
Gdzie kasy wielkich banków
Pełne, a dla nas – nic!

Śpiewający pojawiają się i pomału przesuwają się do przodu.

Żołądki puste mamy –
Głód już wszechmocny jest...

Strażnik zagradza im ze złością drogę.

STRAŻNIK
Dość! Język za zębami!
STUDENCI
My tylko chcemy jeść!

Wspólnota narodowa –
Tak to się dumnie zwie,
Wspólnej podłości – pełno,
Wspólnoty jednak – nie...

Bo ona chyba tylko
W gadaniu waszym tkwi,
A w życiu każdy z was
O pełnych kieszeniach śni.

I wspólnie pchacie do nich
Ile się tylko da.
W kieszenie własne pchacie, co to nie mają dna,
W kieszenie własne pchacie, co to nie mają dna.

KURTYNA

* * *

OBRAZ III

Na ekranie pojawiają się migoczące litery ogłoszenia prasowego: Zamiar czy nieszczęśliwy wypadek? Pozostałe litery drgają, rozmywają się, ekran znika, widzimy skromnie urządzony pokój z elementami komfortu w starodawnym stylu.

INGE
(*siedzi przy biurku, głowa oparta na rękach, patrzy w dal; pukanie do drzwi. Zaskoczona*) Proszę!
MELA
(*otwiera drzwi, woła radośnie*) Inge!
INGE
(*podrywa się, bardzo poruszona*) Mela?! To ty!? Skąd się tu wzięłaś?
MELA
(*triumfalnie*) Urząd dzielnicowy, kochana! Policję musiałam na nogi postawić, żeby cię odszukać! Zniknęłaś jak igła w stogu siana. Nikt nie znał twojego adresu... No,

powiedz mi kochana, dlaczegoś tak zniknęła bez śladu? Tak bardzo baliśmy się o ciebie!

INGE

Naprawdę? Nigdy bym nie przypuszczała... Ale nie chcesz usiąść? (*obie siadają na sofie*)

MELA

Chętnie. No, ale wiesz, to naprawdę nie było w porządku z twojej strony. Przecież już jako dzieci bawiłyśmy się razem...

Milczenie.

MELA

No, ale jak ci leci? Co porabiasz całymi dniami? Wyglądasz trochę blado – mam nadzieję, że nie jesteś chora?

Inge potrząsa głową.

MELA

Całkiem przyjemnie masz tutaj. Naprawdę niezłe gniazdko... Musisz się tu dobrze czuć... (*wzdychając*) No tak, bycie kobietą niezamężną ma swoje zalety...

Pukanie. Bez czekania na „proszę" wchodzi pani Rettich i mówi do kogoś za sobą.

PANI RETTICH

No niechże pan, paniczku, wchodzi do środka. Możesz se pan całkiem spokojnie wchodzić. No jasne przecie, że jak kto chce wynająć pokój, to musi se go najpierw obejrzeć. (*do Inge*) Tak, panienusiu, na nic się nie zda, że panienusia akurat co z wizytą kogo ma... (*do Meli*) A dzień dobry pani. (*za siebie*) Co pan mówisz, żeś se pan już wystarczająco dobrze z daleka obaczył?... A co pan znowu? Coś się pan tak zawstydził?... No, ja nie mam nic naprzeciwko... no, i możesz se pan ten pokój i od zara brać. A tak! Jak? Co?... Nie, nie to nic nie szkodzi... Wiem przecie, co mówię. (*wychodzi, zamyka drzwi*)

MELA

A co to za straszny babsztyl?! Żeby tak się z lokatorami obchodzić! Nawet jeśli się komuś wymawia.

INGE

(*przeciągle*) Kto ci powiedział, że mi wymówiono?

MELA

(*przerażona*) Jak to? To ona tobie... Jak ona może? Czy ty czynszu...?

INGE

(*twardym monotonnym głosem*) Nie, od dwóch miesięcy.

MELA

Ależ to straszne! (*pauza*) Jak mogło aż do tego dojść?

INGE

(*sucho*) Jak się nie ma pieniędzy, to do tego dochodzi!

MELA

Nie dostajesz żadnej zapomogi?

INGE

Dostaję. Z opieki społecznej. Chcesz wiedzieć, ile tego jest?

MELA

Ale ty masz prawo do zatrudnienia przez rząd!

INGE

Takie samo prawo ma dziesięć tysięcy innych.

MELA

Tak, ale ty możesz przecież dawać prywatne lekcje.

INGE

Tak właśnie myślałam. Dlatego wzięłam ten stosunkowo porządny pokój.

MELA

Ależ nikt przecież nie wie, że udzielasz lekcji. Musisz dać ogłoszenie!

INGE

Dałam.

MELA

I?

INGE

Nikt się nie zgłosił.

MELA

Straszne, naprawdę to jest straszne. (*myśli w skupieniu*) No, a czemu nie możesz pożyczyć trochę pieniędzy? To nie powinno być dla ciebie aż tak trudne. Z całą pewnością będzie ci się znów dobrze powodzić... Wcześniej czy później rząd musi ci dać pracę...

INGE

(*ostro*) A skąd ta pewność, że przedtem nie umrę?

MELA

Mój Boże, nie możesz tak myśleć!

INGE

Kto ryzykuje swoimi pieniędzmi, myśli o wszystkim, kochana Melu.

MELA

No, ale czy ty w ogóle próbowałaś? Musisz mieć jakiś krewnych, którzy są w stanie...

INGE

Aha... Jedni krewni dali mi 20 marek, z wyraźnym zastrzeżeniem, że jest to jedyna pomoc, jakiej się mogę spodziewać. Inni tak na mnie spojrzeli przy pierwszej wzmiance o pomocy, że słowa mi w gardle ugrzęzły...

MELA

No tak, ale nie trzeba być aż tak wrażliwym. Mogłaś i tak całkiem spokojnie...

INGE

(*gorzko*) Tak, tak, wiem, wiem. Wrażliwość to luksus, na który mogą sobie pozwolić tylko ludzie bogaci. Wówczas nazywa się to uczuciem szlachetnym.

MELA

Ile w tobie goryczy! Czego ja bym nie dała, żebym tylko mogła ci pomóc!... Ale mój mąż to taki skrupulant! Muszę się z każdego feniga rozliczać!

INGE

(*urażona*) Ależ ja absolutnie nie chcę nic od twojego męża...

MELA

No ale musimy przecież znaleźć jakieś wyjście... (*przeciągle*) Mogłabyś na przykład przyjść do nas któregoś wieczoru na kolację.

INGE

A twój mąż? Cóż on by powiedział na takiego nieproszonego gościa?

MELA

Wmówiłabym mu, że właśnie przyszłaś mi za coś zapłacić!... A potem wpisałabym trochę wyższe cyfry w książce wydatków.

INGE

(*sucho i ze zdecydowaniem*) Dziękuję. Daruję to sobie.

Pauza.

MELA

Ach, naprawdę strasznie z tobą ciężko!... Nie widzisz nawet, jak ja się tym martwię?

INGE

Proszę cię, porozmawiajmy o czymś innym... Opowiedz mi o sobie. To na pewno weselszy temat!... Jak się czujesz w nowych warunkach?... Jak się zaadaptowałaś w rodzinie swego męża?

MELA

(*naśladując ton Ingi*) „Jak podoba ci się okolica, w której mieszkasz? A twoja teściowa? A twoi szwagrowie i szwagierki?" Godzinami może to się ciągnąć... Nie, nie, moja kochana, tak łatwo mnie nie zbijesz z pantałyku. Jak już coś robię, to robię. (*zastanawia się*) A czy nie mogłabyś wziąć posady sekretarki?

INGE

Z rozkoszą! Zgłosiłam się na każde ogłoszenie. Ale zatrudnia się młodsze siły robocze.

MELA

A jakaś inna praca?...

INGE

(*znużona*) Nic z tego. (*Mela rzuca jej pytające spojrzenie*) Wszystkiego próbowałam. (*z pół-uśmiechem*) Jakoś ludzie nie mają dużo zaufania do mojej siły roboczej!

MELA

Tak, ale nie można założyć rąk i czekać na cud!

INGE

Bądź spokojna, już nie czekam – jeszcze tylko...

MELA

Musisz więcej między ludzi wychodzić! Wieczna samotność jest dla każdego niezdrowa. A zresztą, niezależnie od tego, mogłabyś kogoś poznać... Jesteś młoda, ładna, dlaczego nie miałabyś znaleźć kogoś, kto...

INGE

Wiesz przecież, że to nie wchodzi w rachubę. Kocham Fritza i jestem całkowicie mu oddana.

MELA

(*drwiąco*) Ciągle jeszcze?

INGE

Nie „ciągle jeszcze", ale ciągle, na zawsze, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

MELA

(*sucho*) Mam nadzieję, że on nie ma nic przeciwko temu... A nie może ci ten wzór cnót trochę pomóc? Gdzie on właściwie teraz jest?

INGE

W Paryżu. Pomaga pewnemu pisarzowi zbierać materiały do książki naukowej.

MELA

To musi być całkiem nieźle płatne. Przecież on mógłby ci...

INGE

(*szorstko*) Nic nie mógłby...! Sam ledwo daje sobie radę!

MELA

Tak, straszna niesprawiedliwość panuje na świecie! Najbardziej skomplikowane prace są najgorzej opłacane!... W ogóle, jak się pomyśli, jakich bzdur nas w szkole uczyli. O tym, jak się wynagradza za cnoty, a za grzechy karze! Jest dokładnie odwrotnie. A jak się kiedyś na świecie działo – to już zupełnie oburzające! Widziałaś na przykład film o Dreyfusie? Nie?! Ależ musisz to zobaczyć! To było naprawdę wstrząsające – przeżywać cierpienia tych wszystkich niewinnie skazanych. Dobrze by ci zrobiło, gdybyś zobaczyła, przez co inni ludzie musieli przechodzić, kiedy taki niewinnie skazany...

INGE

(*boleśnie*) Przestań już, proszę!

MELA

A dlaczego mam przestać?!... Nie chcesz chyba powiedzieć, że Dreyfus nie został niewinnie skazany?!

INGE

Oczywiście, że nie!...

MELA

To musi każdym wstrząsnąć, kiedy niewinnie skazany...

INGE

(*z ucinającym szyderstwem*) Pokazuje się na ekranie... Jasne, to musi każdym wstrząsnąć! Szczególnie, jeśli ten niewinnie skazany musi cierpieć przez trzydzieści albo i trzysta lat... Jasne, wtedy wszyscy pędzą do kina i siedzą z oburzonymi minami przed ekranem... Ale kiedy wyjdą i jakiś o b e c n i e żyjący niewinnie skazany przetnie im drogę – wtedy szybko odwracają głowy... bo ten obecnie żyjący niewinnie skazany mógłby się na przykład odważyć wyciągnąć w ich kierunku rękę...

MELA

(*śmiejąc się szyderczo*) Ależ to przecież nonsens! Niewinnie skazani nie chodzą tak sobie po ulicach!

INGE

(*oburzona*) Tak sądzisz?!... No to bardzo się mylisz... A kim ja jestem, jak nie niewinnie skazanym?!... A obok mnie tysiące, dziesiątki tysięcy, setki tysięcy takich, jak ja...

MELA

(*ze śmiesznie brzmiącą surowością*) Ach przestań! Ależ to przecież ogromna różnica! Wam żaden człowiek nic złego nie robi!

INGE

Nie, nam żaden człowiek nic złego nie robi – on nas tylko zostawia w pozycji leżącej. I przygląda się, jak powoli toniemy. Tak się w czasie wojny wroga do bagien zapędzało i zostawiało na pastwę losu...

MELA

(*oburzona*) Ty chyba nie możesz tego brać poważnie...

INGE

(*twardo*) Mogę, a nawet muszę! Bo dokładnie, co do joty, dzieje się to teraz z nami. Straciliśmy grunt pod nogami – upadliśmy i nie jesteśmy w stanie postawić kroku, ani w przód, ani w tył... I tylko czujemy, jak wciąga nas głębiej... Wyciągamy ramiona, żeby się czegoś, żeby się kogoś móc uczepić, kto pomógłby nam się stąd wydostać. (*porusza wyciągniętymi przed siebie ramionami*) No bo tyle ludzi koło nas przechodzi i jedyne, co musieliby zrobić, to do nas ramiona wyciągnąć... Wołamy, krzyczymy, błagamy o pomoc... Ale oni nawet głów w naszym kierunku nie odwracają... Są ślepi, głusi i sparaliżowani – bo całe swoje współczucie dla innych, całe zapotrzebowanie na wstrząs emocjonalny zużyli już w kinie, oglądając interesujący epizod z przeszłości!... (*wybucha histerycznym konwulsyjnym śmiechem*)

MELA

Uspokój się już, uspokój się! Co ta kobieta sobie o tobie pomyśli? Ty naprawdę jesteś w strasznym stanie... Tak dalej być nie może. Chodź, połóż się na chwilę... (*kładzie Inge na sofie, głaszcze ją jak dziecko*) Wszystko znów będzie dobrze, na pewno... Musimy się jeszcze raz zastanowić, do kogo mogłabyś się zwrócić... W końcu nie prosisz o łaskę, tylko o pracę...

INGE

(*tłumiąc szloch*) Ja już nie zniosę kolejnej odmowy... Ja już nie jestem w stanie znieść następnej lodowatej twarzy... Nie jestem już w stanie znieść tego nie znoszącego sprzeciwu tonu... Nie mogę już więcej... już nie mogę...

MELA

Spokojnie, kochana, tylko spokojnie, Musimy znaleźć coś innego... (*zastanawia się*) Jak ty właściwie napisałaś te ogłoszenia?

INGE

Normalnie: „Dyplomowany filolog udziela tanich lekcji konwersacji".

MELA

(*wybucha śmiechem*) No tak, to oczywiste, że na to nikt nie zareagował!

INGE

No to jak mam to sformułować?

MELA

„Entuzjastycznie nastawiona do świata, ładna, młoda kobieta z temperamentem udziela w przystępny sposób lekcji angielskiego i francuskiego".

INGE

Ależ na Boga, co sobie ludzie przy tym pomyślą?

MELA

A co cię to obchodzi? Najważniejsze, żeby ludzie przyszli! A co z nimi zrobisz później, to już twoja sprawa.

INGE

Nie, bałabym się. Na coś takiego trzeba mieć całkiem przewrotne poczucie humoru. A ja... Moja cała natura...

MELA

Bzdura. Jak się musi, to się wszystko może. W potrzebie, to i diabeł muchy łapie... No więc...?

INGE

(*potrząsając głową*) Nie, nie, nie mogę tego zrobić. Ja jestem na to zbyt nieporadna.

MELA

Głupoty. Zwyczajne głupoty. Zachowujesz się jak gęś. A na dodatek, jak gęś z prowincji.

Pani Rettich wchodzi bez pukania.

PANI RETTICH

Panienusiu, ja tera wychodze... Dopiero na wieczór wróce... No to żeby mi panienka w domu siedziała i pokój jak trza pokazywała! I niech panienka nie zapomni powiedzieć, że już od zara można go brać, słyszy mnie panienka?

(*do Meli*) Szanowanko paniusi. (*odchodzi*)

MELA

To jest naprawdę obrzydliwe. A ja cię właśnie na kolację chciałam...

INGE

Dziękuję... i tak bym nie poszła.

MELA

Krnąbrna jak dziecko. Nierozsądna jak dziecko. Tak, zupełnie jak głupia gęś!

(*pauza. Zmienionym tonem*) I tak cię właśnie trzeba traktować!

INGE

A czemu ty nagle takie miny stroisz?

MELA

(*wymuszenie*) Nic, nic... Ale muszę już niestety iść... Mój mąż na pewno już na mnie czeka... Szkoda, że nie mogę cię ze sobą zabrać! Ale znów wpadnę i wtedy będziesz miała całkiem inny wyraz twarzy! No to do zobaczenia! I nie smuć się, słyszysz?

INGE

(*odprowadza Melę do drzwi*) Tylko gdzie ja wtedy będę?!...

KURTYNA

* * *

Pół minuty przerwy. Kurtyna podnosi się, widzimy to samo pomieszczenie, co w poprzednim Obrazie. Inge siedzi w kucki na sofie, zajęta reperacją rzeczy. Wchodzi pani Rettich.

PANI RETTICH

No to tak, panienieczko, ja tylko chciała powiedzieć, że to jutro pierwszy mamy.

INGE

Wiem, pani Rettich!

PANI RETTICH

No to ładnie, że panienka wi. No to panienka też wi, że już dwa miesiące za darmo tu mieszka.

INGE

Tak, wiem pani Rettich.

PANI RETTICH

No tom jeszcze chciała powiedzieć, że już sie moja cierpliwość skończyła. Jeśli mi panienka nie zapłaci jutro do południa czynszu za dwa miesiące, to sie panienka musi stąd zabierać. A rzeczy panienki to ja se zostawie.

INGE

(*nieśmiało*) Ponieważ nie wynajęła pani jeszcze tego pokoju, może mogłaby pani mi jeszcze...

PANI RETTICH

Szkoda sobie gęby strzępić, paniusiu. Szkoda gadania. A co se paniusia myśli? Mam ja dalej sie tak moim pięknym meblom rujnować pozwalać? Jużem i tak za długo cierpliwość miała! No bo żem se na początku myślała, że taka elegancka pani, to musi być, że parę groszy przyniesie. „Dyplomowana nauczycielka". Co ja bym sobie za to nie nakupiła...? Te całe tytuły to tylko po to, żeby porządnym ludziom oczy mydlić. (*słyszymy dzwonek u drzwi*) No, a kogo to niesie?! (*znowu dzwonek*) Cholera jasna! Już, już ide przecie. (*wychodzi. Po paru sekundach zza drzwi całkiem zmienionym głosem*) Ależ tak, oczywiście, proszę bardzo, proszę. Panienka jest w domu, proszę, proszę.

Pukanie, drzwi otwierają się i pojawia się, starszy, szpakowaty, łysiejący mężczyzna. Ma na sobie znoszony surdut i staromodny, sztywny, wysoki kołnierz. Trzyma w ręku gazetę.

PANI RETTICH

No – to to je nasza pani nauczycielka. (*wychodzi*)

PAN MORALNY

Moja panno, przeczytałem pani ogłoszenie...

INGE

(*zdziwiona*) Ogłoszenie?... Jakie ogłoszenie?

PAN MORALNY

Moja panno, proszę nie zaprzeczać. Niechże panienka kłamstwem jeszcze głębiej w grzech nie grzęźnie! Pani ogłoszenie wstrząsnęło mną do żywego...

INGE

(*chłodno*) Nie rozumiem.

PAN MORALNY

(*trzęsąc się ze zdenerwowania*) Tak jest, do żywego. To jest dobitny znak naszego straszliwego obyczajowego upadku.

INGE

(*ostro*) Drogi panie, nie pytałam o pańskie sądy.

PAN MORALNY

(*z rękami podniesionymi ku górze*) Jak może młoda panna z lepszych sfer, która na twarzy wymalowane ma dobre wychowanie, której przypadło w udziale dobrodziejstwo wykształcenia, posługiwać się takim językiem?! Jak można ledwo zakamuflowanymi, bezwstydnymi propozycjami zwodzić mężczyzn i nakłaniać do prostytucji? Czy nie zdaje sobie pani z tego sprawy, co pani przez to wyraża, moja droga?! ... W pośpiechu do pani przybyłem i mam nadzieję, że przyszedłem na czas, aby zapobiec...

INGE

(*ucinając*) I co ma mi pan do zaproponowania, drogi panie? Jakąś stałą pozycję?... Tłumaczenia?... Pracę maszynistki...? Korepetycje?... Proszę, niechże się pan nie

krępuje! Niech pan mówi! Wezmę każdą pracę, jestem gotowa na wszystko – jeśli mi tylko pan coś za to zaproponuje.

PAN MORALNY

(*urażony*) Ależ moja panno, nie o materialne dobra się tu rozchodzi. Zresztą materialnymi dobrami nie mógłbym panienki uraczyć. Ale duchowa otucha, wsparcie moralne...

INGE

(*z gorzkim szyderstwem*) A ile chleba mogę sobie kupić za pańską otuchę duchową, drogi panie? Jak długo będę w stanie płacić czynsz za pańskie wsparcie moralne? Czy to może wystarczy też na parę butów?

PAN MORALNY

Moja panno, głęboko w duszy powinna się pani wstydzić tych cynicznych uwag! Bo pani dusza...

INGE

...wyląduje jutro razem z moim ciałem na ulicy. Moja dusza, razem z ciałem już od długich miesięcy musi lekceważyć to wszystko, co niezbędne do życia... W ciągu kilku ostatnich miesięcy moja dusza musiała przyglądać się takiej brzydocie i nikczemności ludzkiej, że ona w ogóle nie chce już otwierać oczu i w ogóle nie chce wiedzieć o swoim istnieniu. (*z oburzeniem*) Jak pan śmie człowiekowi w mojej sytuacji wspominać o d u s z y !...

PAN MORALNY

(*bardzo urażony*) Jest mi niewypowiedzianie przykro, że mnie pani tak źle zrozumiała. Przyszedłem tu w najlepszych zamiarach...

INGE

(*brutalnie*) To niech mi pan da pieniądze! Tak, niech mi pan podaruje pieniądze, tak abym wreszcie mogła przestać myśleć o tym koszmarnym słowie.

PAN MORALNY

Ależ moja panno, ja w ogóle nie jestem w stanie....

INGE

(*zła*) No to po co pan mi w ogóle głowę zawraca? Po co mi pan zabiera czas? Patrzy pan na mnie, jakby był pan członkiem towarzystwa opieki nad zwierzętami. Jeśli traktuje mnie pan jak zwierzę, to czemu się pan tak nade mną znęca?

PAN MORALNY

(*urażony*) Mówimy dwoma różnymi językami, moja panno... Myślałem, że człowiek honoru mógłby pani... (*sztywno*) Proszę mi wybaczyć to najście... (*odchodzi*)

INGE

(*patrzy za nim, podchodzi do biurka, bierze gazetę i szuka ogłoszenia. Pukanie. Z westchnieniem*) Proszę!

PANI RETTICH

No panienusiu, tera już znowu wszystko dobrze. No, gratuluje panience. Tera ma już paniusia ucznia, trochę starawego, ale to w końcu nic nie szkodzi. Stary uczeń na pewno płaci tak samo, jak i młody. Czegóż to paniusia mu zara lekcji nie dała?

INGE

Ten pan nie miał dzisiaj czasu. Tylko omówiliśmy sprawy.

PANI RETTICH

Ale chyba zażądała panienka jakiejś porządnej zaliczki?

INGE

Tego się zwykle nie praktykuje!

PANI RETTICH

A co to znowu ma znaczyć?! Co to znaczy „zwykle"? A czy to zwykle się też czynszu za pokój nie płaci? Ten pan to już na pewno by to zrozumiał. I ileż to będzie panienka brała za lekcję, no? I kiedy on znowu wróci?

INGE

(*wymijająco*) Zawiadomi mnie pisemnie.

PANI RETTICH

I panienka w to wierzy? No to se długo panienka poczeka! Toż już na pewno mu panienka humor popsuła, co? Taki miły pan! Niechże mi panna powie, panienka to już zupełna wariatka jest?! Nic do gęby włożyć – a w głowie to same fiu bździu! No jeśli ja nie dostanę czynszu do jutra, to wynocha, na bruk, jasne?! (*wychodzi, trzaska drzwiami*)

Inge opada na krzesło, siedzi ze zwieszonymi ramionami.

PANI RETTICH

(*otwiera drzwi*) A niechże mi paniusia powie, jeśli wolno spytać, gdzie to się paniusi narzeczony podziewa?

INGE

(*broniąco*) Mój narzeczony?

PANI RETTICH

No niech panienka nie udaje. Mam na myśli tego pana, co to zawsze listy śle, z zagranicznymi znaczkami. Dzień w dzień list. No to sie zara widzi, że ma jakieś inklinacje... No to co sie właściwie z nim dzieje? Nawet jeśli i u niego ciężko, to i tak mógłby co panience przysłać.

INGE

Myli się pani. On sam zarabia bardzo mało.

PANI RETTICH

Mało?! Ciągle słysze „mało"?! A „mało" to i tak zawsze lepiej niż nic. Jakby tak naprawde chciał, toby mógł. Ale on nie chce – i tu jest pies pogrzebany. Jak długo on już do panienki nie pisuje?

INGE

(*z bólem*) List mógł się gdzieś zagubić po drodze.

PANI RETTICH

Nie, nie paniusiu, nic się nie zagubiło. Ten szanowny pan narzeczony sie zagubił! Cztery niedziele minęły od ostatniego listu, tak jest, panieneczko, cztery niedziele. Dokładnie, co do joty. No to chyba już nic więcej też nie przyjdzie... Inną se znalazł, ten Pan Najdroższy. Takie rzeczy sie zdarzają na co dzień. No, nie musi panienka zara takich rozpaczliwych min stroić! No, a zresztą, co to ja chciała powiedzieć, no że mogła by paniusia palcem kiwnąć i co pożytecznego w domu zrobić, jeśli paniusia nic nie płaci. Widzi panienka tu, kupiłam coś do czyszczenia – wannę i klozet trzeba wyszorować. Ja tego w ogóle nie rozumiem – toż paniusia tak samo je brudzi, jak i ja. No a ja teraz musze do Tietza – tam wyprzedaż dziś mają. (*dzwonek do drzwi*) No co tam? Co się znowu dzieje? (*wychodzi*) Panienko, tu jest jakiś pan, co by chciał mieć lekcje.

INGE

Proszę!

Wchodzi pulchny, jowialny mężczyzna, wyglądający na dość ograniczonego, z łysinką otoczoną jasnymi włosami. Pani Rettich zamyka drzwi.

PAN JOWIALNY

No to bardzo się cieszę, bardzo mi przyjemnie taką znajomość zawrzeć. Pani, mam nadzieję, też jest przyjemnie, prawda? No, kto takie mądre i zabawne ogłoszenie dać umie, to się można z nim dobrze dogadać! No a do tego po francusku, no to będzie podwójna przyjemność, no bo ja już połowę swego francuskiego zapomniałem, no i wie panienka, tak dużo to znowum nie potrafił. Kiedy byłem młodszy, mieszkałem pół roku w Paryżu. No, ale już się troszkę pogorszył, mój francuski. Trzeba go tylko znowu trochę odświeżyć, n'est-ce pas, Mademoiselle? Może nawet i przez cały tydzień?

INGE

O tak, z całą pewnością! Co się kiedyś już umiało, łatwo można sobie przypomnieć.

PAN JOWIALNY

Pozwoli pani. (*siada*) Kiedy zobaczyłem pani ogłoszenie, jak iskra tum przyleciał... No no, to całkiem inaczej, z panienką wykształconą i to jeszcze po francusku... Znowu poczułem się młodo... jak wtedy w Paryżu. No to zaczynajmy: Eh bien, ma poupoule, ça marche?

INGE

(*sztucznie*) Tak, tak, to bardzo poprawny francuski.

PAN JOWIALNY

No, ale nie po niemiecku, bo jak tak, to ja od razu wychodzę! Eh bien, ma poupoule, tu sais, tu me plais bien – t'es vraiment gentille! Et ton corsage ça gonfle si gentiment... ça me donne envie, tu sais. Embrasse moi, ma poupoule. (*staje przed nią*)

INGE

(*cofa się mimowolnie*) Nie wiem... Ja nie mogę...

PAN JOWIALNY

(*siada i przyciąga Inge na swoje kolana*) Ależ bzdura mordeńko, no chodźże tu. (*odwraca głowę Inge i całuje ją w usta. Inge pozwala na to bez reakcji*) No widzisz, jest całkiem dobrze. Vois tu, mon petit, ça marche tout seul! Et tu sais, ta croupe, elle est bien molle et chaude... No szybko, rozbieraj się. Au lit! Au lit!

Inge podnosi się i mechanicznymi ruchami zaczyna się rozbierać, patrząc pusto przed siebie.

PAN JOWIALNY

Czemu taką dziwną minę robisz? Wyglądasz, jakby cię na szafot wlekli... No, jak ci to nie sprawia przyjemności...

INGE

(*nagle pochyla się i kładzie obie ręce na policzkach Pana Jowialnego, śmiejąc się histerycznie*) Ależ wprost przeciwnie! Oczywiście! Je suis ravie de vous voir, monsieur. Vous êtes tout à fait charmant! (*histeryczny śmiech*) Tout à fait, tout à fait!

PAN JOWIALNY

(*zdejmuje ręce Ingi z twarzy*) Zabieraj te swoje płetwy, no! Zimne są i wilgotne jak u topielca... (*patrzy na nagie ramiona Ingi*) A na ramionach też masz porządną gęsią skórkę, kochana. No ubieraj mi się szybko, rozumiesz?

INGE

(*całkim obcym, przenikliwym głosem*) Mais non, mais non, cheri, tu voulais... zaczekaj chwilkę, zaraz skończę. (*kontynuuje rozbieranie się*)

PAN JOWIALNY

Niechże się pani dalej nie trudzi, moja panno. To i żaba mogłaby się tu przeziębić. (*nagle całkiem grubiańsko*) Ale to jest bezczelność, prawdziwa bezczelność! Najpierw zwabia pani swoim ogłoszeniem, a potem nagle taka zmiana. (*krzyczy*) A co pani sobie myśli, że ja czasu mam za dużo? No, całuję rączki. To się nazywa „pełna temperamentu i przystępna"?! (*szybko podchodzi do drzwi*)

INGE

(*zagradza mu drogę*) Niech pan nie wychodzi, błagam pana, niech pan nie idzie!

PAN JOWIALNY

(*bardzo zdenerwowany*) Pani chyba zwariowała?

INGE

Niech się pan zlituje, niech pan nie idzie!

PAN JOWIALNY

Co się z panią dzieje? Czego pani właściwie chce?

INGE

(*zawodząc*) Pieniędzy! Pieniędzy! Pieniędzy!

PAN JOWIALNY

(*obrażony*) No, moja panno, tak się nie umawialiśmy. Gdyby mi pani od razu powiedziała, że to całe piękne ogłoszonko to zwykła przynęta – kto wie, jakbym się zachował... Ale najpierw to pani sobie wszystkiego spokojnie słucha, a potem wystawia mnie na pośmiewisko. Zdrowy mężczyzna nie jest instytucją dobroczynną, niechże to sobie pani zapamięta. Dobranoc, moja panno. (*odsuwa Ingę na bok i chce wyjść, przy drzwiach odwraca się raz jeszcze, sięga do kieszonki kamizelki i rzuca na stół 50 fenigów*) No, na, masz tu pięćdziesiątkę. Choć nie zarobiłaś. (*wychodzi*)

Inge rozgląda się wokół siebie jak opętana, bierze sukienkę i chce ją założyć.

PANI RETTICH

(*otwierając drzwi*) No, panienusiu, tera to sie udało, co?

Inge otwiera drzwi szafy i chowa się za nie.

PANI RETTICH

No, gdzie to sie paniusia chowa? (*odkrywa Inge; w najwyższym uniesieniu*) No, coś takiego! To takie historie paniusia wyprawia. I to ma mi sie nazywać wykształcona panna. Fuj, do diabła (*spluwa*)... No, ale mnie to w końcu nic nie obchodzi. Spodziewam sie, że takimi sztuczkami to można se też pieniędzy zarobić. No to dawajże paniusia pieniądze!

INGE

(*drżąc*) Ja nie mam pieniędzy!

PANI RETTICH

Co, nie ma pieniędzy? No to tak dla przyjemności? No wie paniusia co, tylko mnie tego brakowało! To są już szczyty! Wynajęłam przyzwoitej pannie – no ale tak w potrzebie, to mogłabym nawet przymknąć oczy. W końcu człowiek nie potwór! Nie? Ale jak kto tak dla przyjemności, w moim mieszkaniu... No wie paniusia co, tegom to sie by nigdy nie spodziewała! (*jej spojrzenie pada na monetę 50-fenigową, która leży na stole*) No coś takiego! To i kłamać sie paniusia też

nauczyła! Toż tu pięćdziesiątka leży – jak byk! Fuj do diabła, to takaś ty! Takiej to bym ja nawet pogrzebaczem już nie tknęła! Ty mi już ani jednej nocy dłużej w domu nie zostaniesz. No, wynocha, natychmiastże, wynocha, słyszysz ty? Na co jeszcze czekasz? Jak dobrowolnie nie pójdziesz, to cie za fraki wezme i sama ze schodów zrzuce!

INGE

(*w międzyczasie weszła na komodę, złapała butelkę z kwasem solnym i wymachuje nią grożąco; cedzi przez zęby*) Jak mnie pani dotknie, pani Rettich...! Niech – mnie – pani – nie – dotyka!

PANI RETTICH

A co ty w rękach trzymasz, ty?... Jeszcze mi grozić będziesz? (*robi kilka kroków w stronę Inge*)

INGE

(*przez zęby*) Niech pani nie podchodzi bliżej, bo... (*podnosi butelkę jeszcze wyżej*)

PANI RETTICH

(*z najwyższym oburzeniem*) Co, mój kwas solny chcesz mi na twarz wylać, ty pięćdziesięciofenigowa dziwko, ty?! No to ja po policję zawołam! (*wybiega, przekręca od zewnątrz klucz w zamku*)

INGE

(*sama, rozgląda się wokół nerwowo, wydaje kilka dźwięków, podbiega do drzwi, łomocze*) Ja chcę stąd wyjść! Chcę wyjść! Chcę stąd wyjść! (*podbiega do okna, otwiera je, wystawia głowę, cofa się i krzyczy z przerażeniem*) Tu, tu, proszę przyjść... nie.... nie.... nie... (*znowu chwyta butelkę z kwasem solnym, wypija ją jednym haustem, po sekundzie krzyczy z przerażeniem*)

P o m o c y !... P o m o c y!... P o m o c y !...

K U R T Y N A

* * *

KÄTE

(młoda kobieta z Prologu) (*krzyczy*) Pomocy! Pomocy! Pomocy!

PAUL

(jej mąż) (*wbiega do pokoju*) Käte! Co się stało?

KÄTE

(*z oczami wciąż zwróconymi na kurtynę, nie zwracając uwagi na męża*) Szybko! No chodźcie szybko, bo będzie za późno... Jak ona się wije z bólu!... O Boże, jak ona cierpi!... Na pomoc! Na pomoc! Spieszcie się, błagam! Nie możecie pozwolić jej umrzeć. (*sięga po leżącą obok gazetę i czyta*) Przyszli za późno... Już po wszystkim.

PAUL

(*intensywnie*) Nie możesz się tak denerwować, Käte!

KÄTE

Dlaczego pomoc nadeszła, kiedy już było za późno? Przecież jej oczy krzyczały już od miesięcy!... Nikt nie chciał słuchać, nikt jej nie słyszał...

K U R T Y N A

* * *

OBRAZ IV

Na tylnym ekranie czytamy: T r a g e d i a k o c h a n k ó w; pod spodem małymi literami: „W jednym z hoteli w pobliżu dworca kolejowego...", pozostałe litery migoczą i znikają. Ekran podnosi się, widzimy bardzo skromnie urządzony pokój, oświetlony słońcem. Ernst, młody człowiek z widoczną gruźlicą, leży na łóżku. Else, młoda dziewczyna, prędko wchodzi do pokoju.

ELSE

(*podekscytowana*) Jaki piękny mamy dzisiaj dzień, Ernst! Słońce świeci jak w lipcu! Nie chcesz wstać, Ernst?... Moglibyśmy pójść do lasku albo do zoo?! Stanowczo za mało przebywasz na powietrzu! Powietrze to rzecz podstawowa dla chorych na płuca – tak przecież i doktor powiedział. Czemu patrzysz na mnie takimi wielkimi oczami, Ernst?

ERNST

Nie musisz się tak wysilać, Else. Stara już wdrapała się tu na górę i oznajmiła mi, że nas dzisiaj wyrzuca na bruk.

ELSE

(*wybuchając*) A to krowa! Koszmarna stara krowa! Czy musiała ci to tak powiedzieć prosto w twarz?

ERNST

Nie ma sensu już tego ukrywać. Komornik ze swoimi ludźmi już jest w drodze.

ELSE

Czy ty możesz to właściwie zrozumieć, że ludzie mają prawo tak po prostu wyrzucić czyjeś rzeczy na ulicę, tylko dlatego, że ktoś jest tak koszmarnie biedny, że nie jest w stanie płacić czynszu?

ERNST

Nie, żaden przyzwoity człowiek nie jest w stanie tego zrozumieć. Tylko ci, którzy mają z tego jakąś korzyść. (*kaszle*)

ELSE

No to ja chyba zacznę pakować nasze rzeczy... I ty też musisz się pomału zacząć przygotowywać, Ernst.

ERNST

Jestem już całkowicie gotowy, wszystkie moje rzeczy włożyłem do tamtej walizki. (*nadsłuchuje*) Ktoś stoi pod drzwiami! To jeszcze nie może być komornik?...

ELSE

Zawołałam handlarza, żeby spojrzał na nasze rzeczy.

ERNST

Myślisz, że nam coś da za te stary klamoty? (*dzwonek*)

ELSE

(*otwiera*) Dzień dobry, panie Meyer, to miło, że dotrzymał pan słowa.

MEYER

(*wchodzi do środka*) Dzień dobry młodej pani! (*rzuca przez zęby w stronę Ernsta*) Dzień dobry! No to gdzie są te rzeczy, które mam kupić?

ELSE
(*nieśmiało*) Mamy tylko ten pokój.
MEYER
(*kręci głową*) W tym pokoju nic nie ma.
ERNST
Proszę mi wybaczyć, ale jest tu łóżko, szafa, komoda...
MEYER
(*opukuje szafę*) To wszystko śmieci, najwyżej się na opał nadaje.
ELSE
Ile może pan nam dać za to wszystko?
MEYER
Talara.
ERNST
(*oburzony*) Talara? Ależ to już zupełny bezwstyd! Kupiliśmy to w zeszłym roku za całe 100 marek!
MEYER
No a zużycie, tego to pan już w ogóle nie liczysz? A o kryzysie gospodarczym też pan pewnieś nie słyszał?
ELSE
Proszę powiedzieć poważnie – ile za te wszystkie rzeczy?
MEYER
Talara, już panience mówiłem. Jednego okrągluśkiego talara i ani grosza więcej. Muszę jeszcze opłacić transport; żaden to dla mnie interes, ale ponieważ jesteście moimi klientami...
ERNST
Nie musi się pan tak nadwyrężać, panie Meyer. Za takie marne grosze niczego nie oddam.
MEYER
No to i lepiej, nie to nie. Takie graty, jak te tutaj, wywala się po prostu z okienka na bruk. Szanowanko! Przyjemnej przeprowadzki życzę! (*odchodzi*)
ELSE
(*patrzy na Ernsta*) No i co my zrobimy?
ERNST
Ja ci od razu mówiłem.
ELSE
Bezczelny facet! Nasze stare, dobre meble! (*głaszcze szafę*)
ERNST
Stare to rzeczywiście są, ale dobrymi nazwać je trudno.
ELSE
Chodzi mi o to, że byliśmy wśród nich tacy szczęśliwi.
ERNST
Przez to nie stają się lepsze dla innych.
ELSE
Co my z tym zrobimy? Pod zastaw dać tego też nie możemy. Nie jesteśmy w stanie zapłacić nawet najniższego czynszu.

ERNST

Chyba najlepiej będzie jak zostawimy to wszystko własnemu losowi i odejdziemy stąd, zanim nam to zabiorą.

ELSE

Tak, to znakomity pomysł, nie musimy przy tym być, jak nam je będą odbierać... Bo wiesz, Ernst, to by mnie strasznie bolało, gdybym musiała przyglądać się, jak jacyś faceci z wielkimi łapami wynoszą nasze ukochane łóżko.

ERNST

(*podnosi się*) No to pakuj swoje rzeczy, żebyśmy już mogli wyruszyć w drogę. Będziesz pamiętać ten pokój takim, jakim zawsze był.

ELSE

Masz rację Ernst, nie będzie już tak strasznie wyruszać w drogę. (*pakuje kilka rzeczy do podręcznej torby*) Tak okropnie biedni to my wcale nie jesteśmy, Ernst!

ERNST

(*podchodzi do okna*) Dziwne uczucie... tak nagle musieć wynosić się z izby, w której przeżyło się cały rok. Zawsze siedziałem tu przy oknie i patrzyłem, czy już idziesz.

ELSE

No a teraz już w ogóle nie będę nigdzie od ciebie odchodzić, Ernst.

ERNST

(*rozgląda się*) To było miłe uczucie, mieć własne cztery ściany.

ELSE

A kiedy już będziemy na ulicy, czy opieka społeczna nie da nam jakiegoś schronienia?

ERNST

Razem nie! Bo nie jesteśmy małżeństwem.

ELSE

To zupełny idiotyzm, że bez pozwolenia ojca nie mogę za ciebie wyjść. Poszukamy sobie jakiegoś umeblowanego pokoju.

ERNST

Musielibyśmy zapłacić z góry, a tego nie możemy zrobić.

ELSE

No to co my zrobimy? Możemy wynająć pusty pokój?

ERNST

Nowy gospodarz zapyta poprzedniego i jak się dowie, że byliśmy dłużni czynsz...

ELSE

No to chodźmy do hotelu.

ERNST

Przy naszym pożałowania godnym bagażu rachunek przyjdzie już nazajutrz.

ELSE

No to co my zrobimy? Czy nie mamy nikogo, kto by nas do siebie wziął?

ERNST

Nie nas razem. A i osobno też nikt nas z zadowoloną miną nie przyjmie...

ELSE

Do domu nie pójdę. Ojciec jest na mnie taki zły...

ERNST

A ja nie pójdę już więcej do gruźlików... Nawet gdyby się zgodzili mnie tam znowu przyjąć. Ja już nie chcę, nie chcę być daleko od ciebie. Wtedy o wiele gorzej się czułem, bo tak długo byłem bez ciebie. Chory człowiek jest jak małe dziecko. Dobre słowo jest najważniejsze. Wszystko zależy od dobrego słowa. To lepsze niż wszystkie lekarstwa. Trzeba stale mieć kogoś koło siebie, kto patrzy zatroskanymi oczami, inaczej to kaszle się jeszcze więcej. Widzisz, (*gorączkowo chwyta ręce Else*) powietrze, powietrze u nas jest zawsze takie zimne i szorstkie. Ciągle człowiekiem wstrząsa. Ale kiedy mogę się oprzeć o ciebie, to zawsze jest mi ciepło i dobrze – czuję, jakbym leżał gdzieś na Południu, nad całkiem błękitnym morzem, które się delikatnie kołysze w górę i w dół.

ELSE

Ach, gdybyś rzeczywiście mógł pojechać na Południe, Ernst! Tam na pewno byś wyzdrowiał. Gdybym tylko znała kogoś, kto by mógł cię tam wysłać. Jest przecież tak dużo bogatych ludzi, którzy jeżdżą ot tak, dla przyjemności! Może pójdę któregoś dnia na dworzec, z którego odjeżdżają pociągi na Południe. A jak będzie przechodził jakiś szczególnie sympatycznie wyglądający człowiek, to do niego podejdę i powiem: „Ach, proszę zabrać ze sobą mojego Ernsta, proszę mu pomóc wyzdrowieć!"

ERNST

No to on by już sobie odpowiednio o tobie pomyślał!

ELSE

Tak, ale właściwie dlaczego?! Nawet jeśli nie będzie chciał cię ze sobą zabrać, mógłby mi chociaż dać pieniądze. To byłby bardzo bogaty człowiek. Nie zbiedniałby przez to.

ERNST

To ty tak uważasaz – on miałby całkiem inne zdanie na ten temat. Mogę się założyć! Taki już jest świat i my go nie zmienimy! A na pewno nie taki kaleka, jak ja!

ELSE

(*urażona*) Nie możesz tak mówić! Wiesz przecież, jak mnie to boli... (*pauza*) No, ale co my zrobimy? Co my teraz zrobimy?

ERNST

(*z wymuszoną wesołością*) A czemu to patrzysz na mnie z takim strachem w oczach? Sama mówiłaś: dzisiaj jest piękna pogoda, a ja stanowczo za mało przebywam na powietrzu! Sama mowiłaś, że tacy chorzy, jak ja, muszą co wieczór wychodzić na świeże powietrze. To ich uzdrowi... No to spróbujemy. Poczekalnie dworcowe mają mnóstwo światła. Jak będziemy mieli trochę szczęścia i nie przyjdzie żaden dozorca, to możemy się spokojnie wsunąć pod ławkę i będzie nam tam całkiem przytulnie.

ELSE

Ach, Ernst to zupełny nonsens. Tak przecież nie można żyć...

ERNST

Żyć?! No wiesz, z życiem to już jest taka sprawa... Odkąd jestem chory, mam mnóstwo czasu, żeby o tym myśleć. I stało się dla mnie zupełnie jasne, że życie nie oznacza nic innego, jak powolne i niewidzialne umieranie. W naszym przypadku będzie to troszkę szybsze umieranie. Ale tak źle może rzeczywiście nie jest... Trzeba najpierw to wypróbować. Czemu ty płaczesz, Else?

ELSE

(*szlochając*) Nie chcę, nie lubię, nie mogę tego słuchać.

ERNST

Słuchaj, mówię zupełnie serio – tak źle jeszcze z nami nie jest. Pojutrze znów pójdziesz po zasiłek, a ja dostanę pieniądze z kasy chorych i będziemy mogli przeżyć jeszcze jeden tydzień – któryś dzień prześpimy, innego dnia coś zjemy, i tak na przemian, aż pewnego razu będziemy już mieli tego dosyć. No, ruszamy na naszą wędrówkę! (*nucąc*) „Młynarz w drogę dziś wyrusza, w drooogę!" (*idzie do drzwi, nagle odwraca się*) O Boże, omalże nie zapomniałem veronalu!

ELSE

To by była ładna historia!

ERNST

No to w drogę, Else. (*otwiera drzwi, oboje wychodzą, słyszymy jego głos*) Teraz mogą sobie przychodzić, nic nas już nie obchodzi!

KURTYNA

* * *

Przemiana

Widzimy ponurą ulicę na przedmieściu, po której z walizką w ręku idą zmęczeni Else i Ernst. Z dala dobiega śpiew studentów:

Ciągniemy ulicami,
Ciągniemy miastem tym,
Wśród dżungli pustych domów –
Schronienia nie ma w nim...

* * *

Kurtyna podnosi się, widzimy pokój nowoczesnego hotelu, urządzony z umiarkowanym luksusem. Ernst i Else wchodzą do pokoju, a za nimi Boy hotelowy.

ERNST

(*pompatycznie*) Proszę łaskawie postawić moją walizkę tu na stole; nie lubię schylać się przy rozpakowywaniu.

BOY HOTELOWY

(*patrzy na Ernsta ze zdziwieniem, kładzie walizkę na stole, wyciąga z kieszeni formularz, kładzie go przed Ernstem*) Proszę uprzejmie to wypełnić.

Ernst bazgrze coś na formularzu, podczas kiedy Else zdejmuje płaszcz i kapelusz.

BOY HOTELOWY

(*literuje*) Pan Hendrick van Houten z małżonką, z Amsterdamu. Czy tak?

ERNST

Tak jest.

Boy hotelowy wychodzi z uśmiechem.

ELSE

(*rzuca się Ernstowi na szyję*) Cudownie to zrobiłeś, Ernst!

ERNST

Nie możesz mnie już nazywać Ernst.

ELSE

Hendrick van Houten! Jak to dostojnie brzmi! A do tego tak pięknie tu pachnie – jakby kakao! Hendrick van Houten wraz z małżonką, z Amsterdamu! Hej, jak ja to jeszcze parę razy powtórzę, to uwierzę, że tak rzeczywiście jest!

ERNST

Ależ to jest oczywiście najszczersza prawda.

ELSE

(*śmiejąc się*) A ponieważ tacy z nas wielmożni państwo, dlatego zatrzymaliśmy się w najprzedniejszym hotelu! Patrz – jest tu nawet bieżąca woda!

ERNST

Tak, raz w życiu każdemu jest dobrze na świecie!

ELSE

I spójrz tylko na te łóżka, pościel z pierza. Najdelikatniejsze, pikowane kołdry z prawdziwego pierza. A wszystko tak cudownie bielusieńkie!

ERNST

Bielusieńkie też mieliśmy, jak jeszcze mieliśmy własny pokój.

ELSE

To było tak strasznie dawno temu!

ERNST

Tydzień i jeden dzień.

ELSE

A mi wydaje się, jakby to już lata całe upłynęły. Ciągłe noce w poczekalniach i ciągły strach przed policją...!

ERNST

Ale dzisiaj jest dobrze!

ELSE

Tak, dzisiaj byliśmy zupełnie lekkomyślni! Tak do syta, to już się dawno nie objadłam.

ERNST

Mi aż się w głowie od tego zakręciło.

ELSE

Mi też! Czy to nie śmieszne, że człowiekowi jedzenie, jak alkohol, może uderzyć do głowy? Ale to było naprawdę wspaniałe: golonka z grochem, a potem bezy z bitą śmietaną. Ja już w ogóle zapomniałam, że coś takiego istnieje.

ERNST

(*z komicznym wyrzutem*) Ależ Hendrijke, cóż ty wygadujesz? Toż van Houtenowie znani są ze swoich biesiadnych ekscesów w całej Holandii!

ELSE

(*afektowanie*) Och, wybacz mi ukochany Hendricku, właśnie myślałam o czymś innym... A dokąd to jedziemy jutro? Czy już poinformowałeś się w biurze podróży co do rozkładu jazdy pociągów?

ERNST

Ależ oczywiście! Jeden pociąg odjeżdża o dziewiątej rano, drugi o drugiej, a następny wieczorem.

ELSE

Myślę, że weźmiemy południowy pociąg – wówczas będziemy mogli się jeszcze porządnie wyspać. Nieprawdaż, kochany Hendricku?

ERNST

Tak, oboje na to zasłużyliśmy. I pokój jest tak ładny, po cóżże się spieszyć?

ELSE

A dokąd to pojedziemy?

ERNST

Do Porto Fino w Genui!

ELSE

Och, cudownie! Po raz pierwszy zobaczymy Genuę! Port z ogromnymi statkami morskimi. A ja kupię tam sobie kilka ładnych toalet!

ERNST

Tak, kochanie, żeby nas godnie przyjęli w tamtejszym hotelu!

ELSE

Zarezerwowałeś już pokój?

ERNST

Aha! W Porto Fino Kulm, Hotel Paradiso.

ELSE

Hotel Paradiso, jak to pięknie brzmi! O jak się cieszę, jak bardzo się na to cieszę. *Z pokoju obok słychać delikatną muzykę z radia.*

ELSE

Widzisz, mamy nawet muzykę!

ERNST

(*patrząc w dal z błogim uśmiechem*) Tak, muzyka z jadalni... Piękna sala, wielka i jasna. Okna prawie zawsze otwarte na oścież i powietrze – miękkie i dobre jak mleko... I ten oszałamiający zapach kwitnących pomarańczy...

ELSE

Opowiedz mi o tym! Opowiedz o tym więcej!

ERNST

Głęboko w dole, ze wszystkich stron popielato-lazurowe morze... A na zboczach – mżawka z miliona płatków kwiecia. Pomiędzy nimi – drzewa laurowe z ciemnymi, błyszczącymi liśćmi...

ELSE

A nasz pokój?

ERNST

Róże i glicynie wślizgują się przez okna do pokoju. A nad łóżkami – rozpostarte białe żagle, które tam nazywają siatkami na komary, a którymi można pożeglować w najpiękniejsze sny...

ELSE

Jak cudownie! Nie mogę się doczekać!

ERNST

Jaka piękna jesteś w tym swoim radosnym oczekiwaniu! Chodź, połóżmy się!

ELSE

Poczekaj jeszcze chwilkę! Opowiedz jeszcze!

ERNST

Wiesz, co jest w tym wszystkim najpiękniejsze? Taki wiosenny, południowy ogród – nocą. Kwiaty pachną jeszcze mocniej. A ciemność przesiana jest robaczkami świętojańskimi, jakby gwieździste niebo na ziemię spadło.

ELSE

Skąd to wszystko tak dokładnie wiesz?

ERNST

Tak często o tym marzyłem! (*głośne pukanie do drzwi*)

ELSE

Rany boskie! Czego oni od nas chcą?

ERNST

(*cicho*) Nie bój się, nic złego nie zrobiliśmy. (*głośno*) Proszę!

BOY HOTELOWY

Czy życzą sobie wielmożni państwo budzenie? Najlepszy pociąg odjeżdża o dziewiątej!

ERNST

Jak myślisz Hendrijke?

ELSE

Chyba wolelibyśmy pojechać dopiero w południe.

BOY HOTELOWY

To nie trzeba wielmożnego państwa budzić?

ELSE

Nie, dziękujemy, obudzimy się sami.

Boy hotelowy wychodzi.

ELSE

(*rzuca się Ernstowi na szyję*) Ernst! Ach, Ernst! (*płacze*)

ERNST

Nie płacz, kochana! Proszę, nie płacz! Właśnie byliśmy na Południu, wśród robaczków świętojańskich, pamiętasz?

ELSE

(*płacząc*) Ach, Ernst, powiedz, czy my naprawdę musimy, czy naprawdę...? Och Ernst, tak się boję... Ja nie chcę, nie chcę... (*uczepia się mocno jego ramienia*)

ERNST

(*próbuje uwolnić się z uścisku*) Jeśli nie chcesz, musisz tylko mnie puścić, ja cię nie trzymam. Ja cię z całą pewnością nie trzymam... Taka ładna dziewczyna, jak ty, znajdzie sobie innego.

ELSE

Ja nie chcę nikogo innego, tylko ciebie.

ERNST

(*potrząsa głową*) Musisz sobie to wszystko jeszcze raz dobrze przemyśleć. Dla ciebie, życie jeszcze może być zupełnie inne. Jesteś ładna i t a k a zdrowa! I proszę nie myśl, że wezmę ci to za złe. Widzisz, śmierć..., śmierci nikt od nikogo wymagać nie może, nawet jeśli dwoje ludzi było za życia jak jeden. Śmierć to już jest sprawa sama w sobie, cholernie wielka, jednorazowa sprawa. Każdy musi sam zdecydować, każdy sam dla siebie...

ELSE

Mój Boże, ty jesteś takim dobrym człowiekiem, Ernst. Czy myślisz, że ja mogę być tak głupia i ślepa i uwierzyć, że znajdę kogoś drugiego takiego jak ty?...

ERNST

Znajdziesz, kochana. Nawet lepszego, zdrowszego, kogoś całkiem zdrowego... (*dostaje ataku kaszlu*)

ELSE

(*patrzy na niego z czułością i głaszcze go. Kiedy atak ustaje, pomaga mu położyć się na kanapie*) Połóż się na moment, wypij trochę wody, dobrze? (*idzie do kranu i napełnia szklankę wodą*) Patrz, jaka piękna kaligrafia na szklance! (*podaje mu wodę, on pije*) No, lepiej troszkę? Chodź, wsunę ci poduszki pod głowę. (*robi to*) Wiesz, wszystko tu jest tak wspaniale zorganizowane. Myślę, że właściciel musi być bardzo sympatycznym człowiekiem. Na pewno zależy mu, żeby wszyscy jego goście byli tak naprawdę od serca zadowoleni.... Wiesz, Ernst, mam pomysł!

ERNST

Co to znowu za pomysł, moja maleńka?

ELSE

Pójdę do właściciela i powiem mu, co zaplanowaliśmy. A potem powiem mu, że m u s i nam pomóc. Może zatrudnić mnie jako pokojówkę, a ciebie jako portiera...

ERNST

(*z uśmiechem*) A co zrobi ze swoimi pracownikami? Myślisz, że tamtych wyrzuci na bruk?

ELSE

Tak, to naturalnie bez sensu... To musi nam jakoś inaczej pomóc. Powiem mu, jaki jesteś dobry i kochany... wtedy nie może przecież pozwolić, żebyśmy umarli z powodu tych upiornych pieniędzy, a do tego w jego własnym domu!

ERNST

Idź, idź, mój mały głuptasku! Wtedy on natychmiast ściągnie nam na głowę policję, żeby nas w przyspieszonym tempie znów odstawić na świeże powietrze. A wtedy nawet tej jednej jedynej nocy nie spędzimy w tym pięknym pokoju.

ELSE

Która jest godzina, Ernst?!

ERNST

(*podchodzi do okna*) Dziewiąta!

ELSE

Przed dziesiątą rano na pewno nikt tu do naszych drzwi nie zapuka... A musimy wziąć to godzinę wcześniej, tak?

ERNST

No to mamy dokładnie dwanaście godzin, żeby być szczęśliwi!

ELSE

Całe dwanaście godzin dla ciebie i dla mnie!

ERNST

A potem – dokładnie, kiedy odchodzi pierwszy pociąg. (*Ernst wyjmuje z torby opakowanie veronalu, wstaje i niesie je razem ze szklanką wody na szafkę nocną*) Potem będziemy zmęczeni i wypijemy z tej samej szklanki... Ale do tego mamy

jeszcze dużo czasu... Chodź... chodź... (*pociąga ją do siebie*). Tak pięknie dzisiaj wyglądasz!

ELSE

(*wśród jego pocałunków*) Całe dwanaście godzin, żebyśmy byli szczęśliwi.

KURTYNA

* * *

IV INTERLUDIUM

Prawa boczna kurtyna podnosi się. Pojawia się mężczyzna w podartym ubraniu z niedopałkiem papierosa w ustach.

MĘŻCZYZNA

(*przekłada niedopałek papierosa z jednego kącika ust w drugi*)

No i znowu nam ucięli...
Renta coraz mniejsza,
A ja z tego tylko kpię.
Nikt mi nie namiesza..

No bo co mi przyjdzie z tego,
Że się denerwuję,
Tylko mi na żółć zaszkodzi
I zdrowie popsuje.

Tamtym to by pasowało,
Że nas nerwy jedzą.
Nie, nie ze mną drodzy państwo,
Wszyscy wam powiedzą.

Kiedym głodny, to śpię więcej.
A gdy racje mniejsze,
To w żołądku nie zalega
I przyjemność większa.

Mówię wam, nie tak źle z nami:
Jak wam dadzą – bierzcie,
Jak nie – to język za zębami
I życiem się cieszcie !

Drugi mężczyzna wychodzi z tyłu i ustawia się przed pierwszym.

DRUGI MĘŻCZYZNA

Raz pewien handlarz sobie żył,
Który miał klacz rasową.
I całą duszą się z nią zżył,
W przyjaźni żyli z sobą.

Każdego dnia, który Bóg dał,
Dawał jej mniej do żarcia.
Nie skarżąc się, biegała w krąg,
No i nie było starcia.

„No tak", powiedział handlarz stary,
„Nawyk to rzecz potężna!"
Aż nagle trach! – zdechła mu klacz,
Rzecz wprost nie do pojęcia.

„Widać", rzekł handlarz, „pecha mam!
Tylko nieco mniej jadła,
Od razu mi padła."

KURTYNA

* * *

OBRAZ V

Na ekranie pojawia się dużymi literami doniesienie prasowe: W s t r z ą s a j ą c y w y p a d e k w U r z ę d z i e P r a c y. Tak długo, jak długo kurtyna jest spuszczona, słyszymy pieśń męskiego chóru.

Spokój! Spokój! Zawsze tylko spokój!
Obywatelski obowiązek to nasz!

Kurtyna podnosi się, widzimy kilku mężczyzn w pomieszczeniu Urzędu Pracy.

MĘŻCZYŹNI CHÓREM
Co by się nie robiło, jak by ci źle nie było,
Trzymać język za zębami, nawet gdy o życie grasz.
Spokój! Spokój! Zawsze tylko spokój!
Obywatelski obowiązek to nasz!
PIERWSZY BEZROBOTNY
Zaciskanie zębów na nic się wam zda.
Nic nie można zrobić, taka to już gra.
Gdy wam głód żołądek kurczy,
Usłyszycie: „Sza! Nie burczeć!"
A i waszych płucek świsty
Wcale nie są oczywiste.
Wstrzymaj oddech! Cicho siedź!
Tylko wówczas dobrze jest!
Nie oddychać, nic nie mówić,
Wtedy da się was polubić!

WSZYSCY RAZEM
Nie oddychać! Nic nie mówić!
Wtedy da się was polubić!
PIERWSZY BEZROBOTNY
Spokój! Spokój! Zawsze tylko spokój!
Obywatelski obowiązek to nasz!
A kto odważny – ten ma fart!
Wybierać może nowy start:
Stryczek, trucizna, ostry nóż –
Wolność wyboru ma się już.
DRUGI BEZROBOTNY
A jak wybierzesz słodki gaz,
Specjalna zniżkę też już masz.
TRZECI BEZROBOTNY
Możesz się nim do woli schlać
I ani grosza za to dać.
CZWARTY BEZROBOTNY
I tak ostatni twój rachunek
Smakuje jak najlepszy trunek.
WSZYSCY RAZEM
Spokój! Spokój! Zawsze tylko spokój!
Obywatelski obowiązek to nasz!
STRAŻNIK
(*podchodzi do grupy*) A co to za hałasy wyprawiacie, ludzie?! Do domów! No już! Nie ma pracy!
PIERWSZY BEZROBOTNY
Coś pan powiedział? Dokąd to mamy iść?! Do domów?! No to może będziesz pan też tak łaskawy i powiesz nam szybko, gdzie to je? Bo my właśnie adresu zapomnieli!
STRAŻNIK
Kretyn! (*odchodzi*)
DRUGI BEZROBOTNY
Tak, nie wie, co powiedzieć! Taki to sobie przyjemniutko co wieczór w dziupli siedzi. I takiemu to całkiem pomada, gdzie my się podziejem. Jak już ma się coś swojego...
PIERWSZY BEZROBOTNY
A ja go kiedy zaproszę, niech se zobaczy, jak to u mnie „w domu" je. Dwa metry kwadratowe nad łóżkiem i jeden obok. A do tego wszędzie pełno robactwa pełza...
TRZECI BEZROBOTNY
A ja to nawet czasem wszom zazdroszczę – taka to se może po wszystkich ścianach wte i wewte połazić. A u nas to se wszyscy po nogach deptają.
PIERWSZY BEZROBOTNY
A ja tylko ciekaw jestem, jak długo potrwa ta cała historia...
DRUGI BEZROBOTNY
Nikt tego wiedzieć nie może. Koniec jeszcze daleko i przewidzieć się nie da. A tymczasem to coraz gorzej z nami będzie.

TRZECI BEZROBOTNY

Tylko po cośmy tych wszystkich wielkich panów ministrów i posłów naszymi podatkami tuczyli, jak oni teraz za nic nie mogą wykombinować, jak nam jakąś robotę załatwić?

CZWARTY BEZROBOTNY

A my mamy przecież prawo do roboty. Tak stoi wyraźne w naszej konstytucji.

DRUGI BEZROBOTNY

A gdzie tam! Co czarno na białym stoi, już dawno wyparowało razem z drukarskim tuszem.

PIERWSZY BEZROBOTNY

A ja już długo więcej tak nie pociągnę, nie długo więcej! Przez pierwsze pół roku dawali mi przynajmniej osiemnaście marek na tydzień. No to ja przynajmniej się najeść do syta mógł. Ale po sześciu miesiącach zamiast więcej dać, bo już się i buty przetarły i duży palec przez okno wyzierał, a kurtka to już jak kawał wytartej słoniny wyglądała – no to oni, psia jego mać, nagle mniej niż pół dają, a jak jeszcze parę miesięcy minie, to już człowiek na dobroczyństwo będzie skazany. Dobroczyństwo! To mi się dopiero na śmiech zbiera! A co to ja kaleka czy sierota jestem, że mam pozwolić sobie jakieś nędzne okruchy od dobroczyńców podarowywać? No a dobroczyństwo – co to właściwie znaczy? Kto tu komu jakie dobro czyni?

CZWARTY BEZROBOTNY

No to czemu pozwalamy na to wszystko? Czemu to sobie sami nie pomożemy? Czemu nie zbierzemy się wszyscy do kupy i dawaj na sklepy! Dawaj na fabryki!

PIERWSZY BEZROBOTNY

Zwariowałeś, człowieku? Plądrowaniem własnej sprawie zaszkodzilibyśmy jeszcze bardziej. A ci inni, to by się tylko bardzo ucieszyli, że mogą nas do jednego garnka z przestępcami wrzucić!

DRUGI BEZROBOTNY

I gliny, te by od razu w nas trzasnęły!

PIERWSZY BEZROBOTNY

Tak jest – „stróże porządku"! Ładny mi to porządek! Kiedy ćwiartka całej ludności po ulicach leży.

DRUGI BEZROBOTNY

Eee tam, do niczego cała ta gadanina!

Wyraźnie pobladły mężczyzna, w krzywo zapiętej marynarce i rozpiętym kołnierzu, podchodzi od tyłu chwiejnym, zataczającym się krokiem, jakby był pijany.

PIERWSZY BEZROBOTNY

No co z tobą, człowieku? Co się stało? Jak ty wyglądasz? Dałeś se w dziób w ten nie letki czas, czy co?

DRUGI BEZROBOTNY

Hej, to przecie Schütter, ja go znam!

PIERWSZY BEZROBOTNY

No to gadajże, Schütter, co w ciebie wlazło? No, przecie my się znamy. Co tak się dziwacznie na mnie gapisz?

SCHÜTTER

(*patrząc przed siebie, nie zwracając uwagi na innych*) Mieze,... źle zrobiła... ona źle zrobiła, Mieze! Bardzo źle zrobiła!...

PIERWSZY BEZROBOTNY

Co to wszystko ma znaczyć? Co ona zrobiła, ta twoja Mieze?

SCHÜTTER

(*patrzy nagle Pierwszemy Bezrobotnemu prosto w oczy*) Możesz pójść i sam zobaczyć – ona tam dalej tak leży, jak to zrobiła. Nawet jej nie dotykałem. I do izby możesz wejść – ja najprzód w ogóle tam nie weszłem, do izby...

PIERWSZY BEZROBOTNY

Siadaj, człowieku, trzęsiesz się na całym ciele! Siadaj tu, bo inaczej na nos runiesz. (*przysuwa Schütterowi krzesło, na które ten opada*)

SCHÜTTER

Przychodzę ja do domu i chcę do izby – kładę rękę na klamce i widzę, że klamka całkiem krzywo – tak, jakby kto od środka ją do dołu naciskał – no to się śmieję i wołam: „A co to za kawały wyprawiasz, Miezunia? Nie chcesz to mnie do izby wpuścić?!..." A tam w środku cicho jak w grobie... Nagle straszny strach mnie ogarnął... No to popycham ja kolanem drzwi i odsuwam je całkiem do przodu. No i słyszę, że coś ciężkiego szura po ziemi – i klamka znowuż siedzi prosto, jak trza... No to przez tę szparę wsuwam się do środka i patrzę, a tam... (*pauza. Otwiera szeroko oczy, nie może dalej mówić*) Mieze. Mieze ze sznurem na szyi. *Ciężkie milczenie.*

DRUGI BEZROBOTNY

Nie przeciąłeś sznura?

TRZECI BEZROBOTNY

Nie zawołeś straży pożarnej?

SCHÜTTER

Już za późno było. Ona już zimna była.

Długie milczenie.

PIERWSZY BEZROBOTNY

Nie wiesz, czego ona to zrobiła?

SCHÜTTER

Kartkę tam położyła, na stole. (*wyjmuje kartkę i trzyma ją przed sobą, nie patrząc na nikogo*)

PIERWSZY BEZROBOTNY

(*zabiera mu kartkę*) Daj, Schütter.

DRUGI BEZROBOTNY

Co ona napisała?

PIERWSZY BEZROBOTNY

„Kochany Paul! Byłam u doktora i jest, jak myślałam..., nie usunie mi go, tylko trzeba by go do przytułka, mówił... Bo my nie możemy go przecież wychować. Sami nie mamy co jeść. A ze mną i tak jest bardzo nędznie – to lepiej od razu z tym skończę. Bądź szczęśliwy, Paul. Całuję cię, twoja Mieze."

Pauza.

SCHÜTTER

(*patrzy nieruchomo w dal*) Źle zrobiła. Mieze źle zrobiła!

PIERWSZY BEZROBOTNY

Mogła przecież odczekać! Zanim dziecko by przyszło na świat, dawno już byś miał robotę!

SCHÜTTER

Ja już nie dostanę roboty. Już nie. To Mieze dobrze wiedziała. Już piętnaście miesięcy tak się szwędam – niektórzy to choć okazję mieli, żeby złapać jaką robotę, a ja nie, nie, ja nic. W ogóle szczęścia nie miałem, nawet żem grosika nie zarobił. W tym to Mieze miała rację. Ale to..., żeby tak..., ona nie powinna była!

PIERWSZY BEZROBOTNY

Jeśli się coś takiego robi, to już musi być wszystko jedno.

SCHÜTTER

To już wszystko jedno..., nie, nie, to wcale nie tak. Jak już ktoś wytrzymać nie może, bo już o wiele za długo się go tłamsi i dręczy, to nie wpełza się po cichu do pokoju i nie wyziewa się ostatniego dechu na własnej klamce, i nie leży się tam, jak kawałek zimnego żelaza przy własnych drzwiach! Nie! Nie, nie, nie, to robi się inaczej, to robi się całkiem inaczej! (*podnosi się z gwałtownym szarpnięciem*) Jak ktoś tak ze wszystkich stron jest szykanowany i katowany, jak mu nie chcą żadnego miejsca na ziemi przydzielić, to się bierze rozbieg i się skacze, gdzieś w powietrze, na jakąś wieżę, na dach... (*jednym skokiem wskakuje na parapet*) I kiedy tak stoi się na górze, na wolnym powietrzu, no to się wygląda jak pomnik jakiegoś przywódcy z żelaza – i potem wyciąga się ramiona (*robi to*) i krzyczy się w powietrze, tak żeby wszycy słyszeli: hej, ludzie, patrzcie tu, patrzcie na mnie wszyscy! Ze wszystkich stron tylko cierpienia i męki, zadręczaliście mnie tylko – waszymi ustawami, waszymi paragrafami, waszym porządkiem, waszymi kłamstwami! Wy wszyscy, którzyście nie chcieli dać mi miejsca na ziemi, wy wszyscy jesteście winni, winni, że tu stoję, wy wszyscy jesteście winni, że to teraz robię! Miejsca na ziemi człowiek potrzebuje! Patrzcie, biorę to, czego nie chcieliście mi dać... (*nagle odrwaca się na framudze okna*) Zróbcie miejsce – idę!

Rozpościera ramiona jak samolot i wyskakuje z okna.

BEZROBOTNI

(*wołają*) Schütter!! Schütter!!

KURTYNA

Kurtyna zmienia się w przezroczysty welon. Wszyscy samobójcy ze sztuki widoczni są za welonem. Mają jasno oświetlone głowy, podczas gdy reszta ich ciał rozpływa się w szarości.

Chór samobójców porusza się do przodu.

MĘŻCZYŹNI

Ustąpić miejsca!

KOBIETY

Idziemy!

WSZYSCY

Miejsce dla nas – to my!

Zawsze tu! zawsze tu! zawsze tu!

INGE

Choć oko nas nie dojrzy...

PANI HELBIG
Nie odkryje słuch...
WSZYSCY
Nasza twarz niezniszczalna jak wszechwieczny duch.
KOBIETY
A gdy mgła gęsta zalepi wam wzrok,
Pod zamknięte powieki wpełzniemy wam w mrok.
MĘŻCZYŹNI
Nawet gdy zgniliśmy już i rozkładamy się,
Ciągle jednak jesteśmy...
KOBIETY
Nocny wiatr to wie.
ELSE
W wietrze...
INGE
Na wietrze...
WSZYSCY
Kołacze się wóz.
KOBIETY
My – na zewnątrz...
MĘŻCZYŹNI
Wy – w środku...
KOBIETY
My – to brud i kurz,
Na miał starci, zdeptani.
MĘŻCZYŹNI
A przez środek nas
Wóz przejeżdża, wy w środku...
WSZYSCY
Przez sam środek nas.
INGE
Paplanina i śmiechy w wagonie się kopcą...
HELBIG
A pod kołami – my, zmiażdżeni i obcy.
LUTZ
Hej, radośni podróżni, uwaga! Uwaga!
Wóz już pęka w strukturze,
Już wam się rozpada.
HELBIG
Od drgających rąk setek,
Co utknęły w szprychach,
Zataczają się koła i silnik wam zdycha
Pod ciśnieniem do granic pęknięcia rozgrzany.
INGE
Zaraz ogniem wystrzeli ze spustowej jamy.

KOBIETY

I choć dziś jedziecie wciąż i wzrok macie srogi,
Chorągiewki wetknięte wam sterczą jak rogi.

MĘŻCZYŹNI

Jutro w y tu będziecie
Leżeć w poprzek drogi.

WSZYSCY

Tu z nami, tu z nami, tu z nami
I wy...
Postaci znikają, welon zaciemnia się.

* * *

DRUGA SCENA RAMOWA

To samo pomieszczenie, jak w Prologu.

KÄTE

Tam z wami! Tam z wami! Tam z wami... (*podrywa się*) Nie! Nie! Tak się nie stanie! Tak nie może już dłużej być! Bo to my sami jesteśmy winni, kiedy tak się dzieje, winni, bo na to pozwalamy! Bo nie bronimy się przed tym! To od nas zależy, aby zmienić świat! Zaczynajmy wreszcie! Każdy człowiek potrzebuje miejsca na ziemi – nie możemy spocząć, dopóki każdy nie będzie go miał!

KURTYNA

Henryk Mann

Potęga uczucia

***Doniesienia drobne* Eleonory Kalkowskiej, których niedawna popołudniowa premiera odniosła wielki sukces, weszły dziś na stałe do wieczornego repertuaru Schiller Theater.**

Owa kobieta musiała właśnie przejść poważną operację, inaczej nie przeżyłaby tego wszystkiego. Musiała stanąć twarzą w twarz ze śmiertelnym przerażeniem, musiała zostać uratowana i w pewnym sensie narodzić się na nowo: dopiero wówczas mogła „rozpoznać" rzeczywistość. Przedtem po prostu przechodziła obok niej – jak większość z nas. Jej stopień pobudzenia wzrósł – jednak nie chorobowo, lecz bardziej ludzko, bo z reguły zdolność odczuwania mieści się w granicach, które nazywamy ludzkością. Jej mąż, który nie doświadczył śmiertelnego niebezpieczeństwa, tego nie pojmuje. To przecież tylko zwyczajne stare meble, to przecież najzwyklejsze słońce; a jego właśnie powracająca do domu żona wszystkiemu dziwi się i wszystkim raduje, jakby ktoś podarował jej gwiazdkę z nieba. On wybacza jej tę nagłą przesadność, bo ją kocha. Miłość to między innymi zdolność bycia wyrozumiałym, pobłażliwym dla tego, czego się samemu nie doświadcza.

A ona popada w stan, który przeciętny człowiek uznałby za absolutne przeciwieństwo miłości. A jednak jest on jej tożsamy.

Z jednej strony kobieta ta reaguje na swój dom i na promienie słońca, jakby była to radosna, zaskakująca niespodzianka, z drugiej strony dostrzega nagle, że na świecie istnieje zło, nieszczęścia i samobójstwa. Mogła zauważyć to przedtem, wiedziała, że zło istnieje, jest to zjawisko znane wszem i wobec. Jednak dopiero po wyjściu ze szpitala, już w pierwszych chwilach, odnajduje nową siłę, siłę a nie słabość, siła jest jej nagle dana, tak aby mogła rzeczywiście zobaczyć i ocenić, co dzieje się na świecie. Patrzy na to z uczuciem. Jej uczucie jest poważne i dlatego twórcze. Postaci zbliżają się do niej na odległość dłoni i dręczą ją, i kobieta ta, nagle obdarzona uczuciem, może je dotykać, poczuć ich zapach, wyziewy nędzy i zimny pot, który towarzyszy ich śmierciom.

Jest to najstraszliwszy i jednocześnie najwznioślejszy moment jej małego pojedynczego bytu, bo inne pojedyncze byty stają się dla niej tak prawdziwe, jak nigdy przedtem, jak dla nikogo innego. Tych postaci tam nie ma, pokój jest pusty, jej mąż nie widzi nic, i dla wszystkich innych byłyby one nierozpoznawalne, owe postacie, które stworzyło uczucie. Dla wszystkich innych bieda jest czymś trudnym do wyobrażenia, choć groźnym, ale dla tej właśnie przebudzonej – tak nie jest. Samobójstwo jest czymś niepojętym, zanim nie staje się sprawą osobistą. Dopóki tak się nie stanie, te wszystkie samobójstwa istnieją w oczach dotąd oszczędzonych jako zbiór linijek w doniesieniu prasowym – nie wykraczają poza jego ramy. Jednak wystarczy moment przebudzenia, moment jasnego, niczym nie zahamowanego uczucia i nareszcie się wie! Bo tak naprawdę, wie się tylko tyle, ile jest się w stanie poczuć.

Obecnie w samym tylko Berlinie w ciągu jednego miesiąca popełnia samobójstwo ponad dwieście osób. Dogłębnie rozumie to autorka dramatu *Doniesienia drobne*. Pani Kal-

kowska przemawia tu w imieniu swych sióstr i uczuciu użycza słów – w całej jego godnej szacunku wielkości, którą najszybciej pojmują kobiety. Uczucie kobiece, uczucie ludzkie, jest tu omawiane; każda scena sztuki jest okrzykiem, tak logicznie i kunsztownie się to rozwija; wszystkie razem tworzą prawdę, prawdę ostateczną, która jest wyrażeniem uczucia. I tak odchodzą ludzie, jeden po drugim – nie dobrowolnie, to nie jest „dobrowolna śmierć", oni tak chętnie by tu zostali.

Sądząc po tym, co się stało ze światem, wkrótce będzie już tysiące takich, w jednym jedynym kraju, którzy odwrócą się do nich plecami, każdego miesiąca, każdego dnia. „Zlitujcie się nad zmarłymi, wkrótce będziecie wśród nich" przemawia głos rapsodii Franza Werfla.

Trzeba najpierw być świadomym zmarłych, inaczej nie rozpozna się żyjących, i każdy jest tylko cieniem drugiego.

Zwolniony z pracy portier ze sztuki pani Kalkowskiej starannie napisał, uporządkował i wysłał 700 podań o pracę – dopiero potem odkręcił gaz*. W międzyczasie przeszedł na ulicy obok niezliczonej liczby osób, niektóre z nich mogłyby mu, być może, pomóc, mogłyby go zatrzymać. Ale dla nich był on tylko cieniem pośród cieni. Jeszcze nie zlitowali się nad zmarłymi, dlatego nie rozpoznali tego, który już za chwilę znajdzie się między nimi. On nie prosił, nie błagał, a jego twarz miała taki sam wyraz, jak twarz tych wszystkich, którzy właśnie myślą o następnym posiłku. Więc pozwolili się temu cieniowi prześlizgnąć obok.

Nikt nie popatrzył też na muzyka, któremu zastawiono fortepian, ani na nauczycielkę języków, której wymówiono pokój; ponieważ, i to jest niesamowite, oboje byli dobrze ubrani. To niesamowite, ludzie w ubraniach, które nie są znoszone, ale które też nie są jeszcze spłacone, przemierzają swą drogę po ulicach, jakby to było zupełnie normalne, swą ostatnią drogę, bo w domach czeka ich już tylko trucizna lub sznur. Obcość i odrębność wszystkich nas – to najgłębsza prawda sztuki Eleonory Kalkowskiej. Przeczy ona w pewnej mierze powszechnemu rozumieniu poczucia wspólnoty. Nieprawda? Dwieście pięćdziesiąt samobójstw miesięcznie w Berlinie, wkrótce tysiące w całym kraju, niebawem może dziesięć tysięcy. Nieprawda?

Chór Przegranych w zdziczałej walce o życie wychodzi na końcu na proscenium i zwraca się groźnie w stronę widzów, ale to już nie są widzowie.

Dzisiaj ja, jutro ty, to nasza własna sprawa jest tu na scenie omawiana, nasza wielka, okropna sprawa, życie i śmierć. Zlitujcie się nad zmarłymi, wkrótce będziecie wśród nich! Na samym końcu kobieta, dla której doniesienia prasowe ożyły, w kształcie i uczuciu, krzyczy: „Ja nie mogę tego zmienić – ale wy wszyscy, wy wszyscy!". Ma prawdopodobnie na myśli utopię, tę zupełnie przezwyciężoną, całkowicie odpartą utopię – a mianowicie zdrowy rozsądek. Gdyby rozsądek nie był odrzucony i pokonany, wówczas ta zamęczona masa przyszłych samobójców posłałaby do diabła politycznych przywódców, tych którzy się nawzajem judzą i szczują; a wyzwoleni od nienawiści, pojednani i oddychający z ulgą odzyskalibyśmy to, co do nas należy: Życie.

Berliner Tageblatt, 12 II 1932.

Przełożyła Barbara Bernhardt

---

* W zachowanym tekście sztuki portier Helbig podejmuje decyzje utopienia się w kanale miejskim, Mann musi nawiązywać do spektaklu, w którym reżyser widocznie zmienił rodzaj samobójczej śmierci.

SPIS TREŚCI

Jagoda Hernik Spalińska
Eleonora Kalkowska – przywracanie pamięci 3

Eleonora Kalkowska
Dlaczego zostałam dramatopisarką? 19

Sprawa Jakubowskiego 23

Doniesienia drobne 83

Henryk Mann
Potęga uczucia 145

Nota wydawnicza 148

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

NOTA WYDAWNICZA

Dramaty Eleonory Kalkowskiej ukazują się drukiem w Polsce po raz pierwszy. Tekst sztuki *Sprawa Jakubowskiego* został odtworzony z egzemplarza reżyserskiego z kolekcji tekstów dramatycznych biblioteki Teatru Miejskiego we Lwowie (1930), znajdujących się obecnie w zbiorach Biblioteki Śląskiej w Katowicach (tytuł egzemplarza *Jakubowski*). Tekst *Dlaczego zostałam dramatopisarką?* wydrukowany w programie do prapremiery *Sprawy Jakubowskiego* w Städtische Bühnen w Dortmundzie (14 III 1929) został udostępniony tłumaczce z prywatnych zbiorów profesora Tomasza Szaroty.
Tłumaczenia dramatu *Doniesienia drobne* dokonano na podstawie maszynopisu opublikowanego przez wydawnictwo teatralne Crescendo Theaterverlag, Berlin 1933.

5.01.06

b 17896277

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001002818385